

WASZYNGTON – MOSKWA – KIJÓW

Błędy Polski w sprawie wojny
na Ukrainie – punktuje Warzecha



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 8/617 17-23 LUTEGO 2025

CENA 12,90 zł (w tym 8% VAT)

DO RZECZY

TRUMP ZAKRĘCA KUREK Z DOLARAMI

**Popłoch w lewackich
mediach w Polsce**

Czy żyjemy jeszcze
w państwie prawa



**KLUCZ DO WYSPY,
CZYLI RECENZJA
DEBIUTANCKIEJ POWIEŚCI
MARKA
MAGIEROWSKIEGO**

Kto będzie
następnym papieżem?



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 44 500 egzemplarzy

epasa.pl ec240cfcde

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY”: „PRAWNA OBRONA PRZED POŁONOFOBIA” + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

489,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 989 zł

~~1478 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl ec240cfdc

Olaboga, PiS odkrył skandal



PAWEŁ LISICKI

Ujawnione przez Donalda Trumpa skala oraz forma pomocy przekazywanej przez USAID różnym lewicowo-liberalnym podmiotom w Europie, w tym w Polsce, wywołały wstrząs. I tak poseł PiS Janusz Kowalski napisał: „Organizacje pozarządowe, które atakowały rząd PiS za obronę wschodniej granicy przed operacją białoruskiego KGB i Kremla, finansowane były przez administrację USA z czasów Joe Bidena”. I dodał: „Ten atak administracji demokratów na Polskę – sojusznika USA w NATO – wymaga wyjaśnienia przez administrację Donalda Trumpa”. Warto zauważyć, że bardzo podobnie polityczny wymiar działalności amerykańskiej agencji ocenia Richard Grenell, specjalny wysłannik Donalda Trumpa: „Programy zagraniczne USAID były używane przeciwko politykom, którzy nie są „woke”. Konserwatywni politycy na świecie byli celami tych ataków. Rumunia jest ostatnim tego przykładem” – stwierdził.

Przypomnę, że w swoim komentarzu z grudnia 2024 r. („Do Rzeczy” nr 51/2024) napisałem, że chociaż formalnie decyzję o unieważnieniu pierwszej tury wyborów prezydenckich w Rumunii podjął tamtejszy Trybunał Konstytucyjny, to wszystko wskazywało na to, iż uległ on presji administracji Bidena. „Ale czy to faktycznie TK podjął decyzję? Zanim ją ogłosił, osobne oświadczenie wydała ambasada USA w Bukareszcie, która wyraziła najwyższe zaniepokojenie przebiegiem pierwszej tury. Złowrogo zabrzmiały słowa, że zmiana rumuńskiej polityki zagranicznej „będzie miała poważny, negatywny wpływ na współpracę w dziedzinie bezpieczeństwa USA z Rumunią”. Dodatkową pogroźką była zapowiedź wstrzymania amerykańskich inwestycji [...]. Czy według USA naród rumuń-

ski ma prawo do takiej decyzji czy nie? Wygląda na to, że nie, co sugeruje kolejne oświadczenie, tym razem Departamentu Stanu USA, już po unieważnieniu pierwszej tury. W prawdziwie orwellowskim stylu Mark Miller powiedział: „Rumuni muszą mieć pewność, że ich wybory odzwierciedlają demokratyczną wolę narodu rumuńskiego i są wolne od wrogich, obcych wpływów mających na celu podważenie uczciwości wyborów [...]”. Stany Zjednoczone potwierdzają nasze zaufanie do demokratycznych instytucji i procesów Rumunii, w tym dochodzeń w sprawie obcych wpływów”. Być może coś mi umknęło, ale z oświadczeń amerykańskich wynika, że obce wpływy, o których mowa, to nie są wpływy USA i ich sojuszników. Czy Rumunia została, nie wiedząc o tym, stanem USA?”

Przepraszam za ten długi cytat, ale ujmuje on dokładnie nie tylko problem rumuński, lecz także polski. Bo spokojnie można założyć, że ważnym czynnikiem przegranej PiS w wyborach w październiku 2023 r. było zaangażowanie amerykańskie na rzecz ówczesnej opozycji.

Były ambasador Mark Brzezinski nawet nie krył, po której jest stronie. Otóż najbardziej wstrząsające jest to, że podczas swoich rządów politycy PiS z nieprawdopodobnym wręcz uporem nie byli w stanie dostrzec tego, co jest jasne jak słońce: liberalna Ameryka postawiła na lewicowo-liberalny rząd Tuska. Pytanie nie brzmi zatem, czy tak było, ale dlaczego mimo wszelkich możliwych danych, że tak się rzeczy mają, politycy PiS, a także jego intelektualne zaplecze wieszali się u klamki Bidena? Dlaczego mimo wyraźnych sygnałów, że demokratyczny Waszyngton wspiera ich oponentów i dąży do usunięcia od władzy partii Kaczyńskiego, nie była ona w stanie podjąć żadnych

kroków przeciw tej strategii. Niemożliwe, żeby to, co było widoczne gołym okiem – a więc bezpośrednia ingerencja w polskie sprawy Amerykanów – było niewidoczne dla polskich służb, analityków i polityków. Co zatem się stało? Skąd ten niezwykle paraliż i całkowite podporządkowanie się? Dlaczego tak polski prezydent, jak politycy PiS robili, co mogli, żeby tylko wykazać, że są posłusznymi narzędziami Waszyngtonu? Dlaczego godzili się nawet na upokorzenia? Bo trudno mi inaczej nazwać sytuację, w której cały obóz rządowy grzecznie czeka na wystąpienie Joe Bidena w Warszawie, a Jarosław Kaczyński, komendant i naczelnik państwa, musi zasiadać obok lewackiego awanturnika, Barta Staszewskiego, bo tak to sobie wymyślili Amerykanie.

Odpowiedź jest prosta. Absurdalna polityka bezalternatywności, zgodnie z którą Polska uznaje istnienie tylko jednego możliwego wroga, a więc Rosji, doprowadziła do tego, że wbrew własnym interesom i interesom państwa polski rząd zamykał oczy na oczywiste nadużywanie swojej pozycji przez USA wobec Warszawy. Uznanie, że Moskwa stanowi jedyne niebezpieczeństwo dla polskiej suwerenności, a Ameryka jedyne wybawienie, pozbawiło polską pravicę instynktu samozachowawczego. Zamiast otwarcie sprzeciwić się Amerykanom, postanowiono odgrywać rolę prymusa, licząc na to, że Biden prędzej czy później zmieni zdanie i łaskawie doceni polskie posłuszeństwo. Tymczasem stało się inaczej. Waszyngton przeformował zmianę polityczną w Polsce, PiS został na lodzie. Jedyne, co pozostało teraz jego politykom, to oburzanie się i wołanie: „Jak to było możliwe, że nasz sojusznik tak się zachował?” oraz wołanie Trumpa o pomoc.

Ech, jeśli to nie jest dziecinada, to co nią jest? ©©

TEMAT TYGODNIA

14 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

BIAŁY DOM ZAKRĘCA KUREK

Środowiska
liberalno-lewicowe
tracą finansowanie

17 WOJCIECH GOŁONKA

PŁAĆ I RZĄDŹ



KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

STARE NUMERY TUSKA

Ile są warte zapowiedzi premiera RP

23 PIOTR SEMKA

POLSKA POLITYKA BEZ KAGAŃCA

26 ROZMOWA Z DR. ARTUREM BARTOSZEWICZEM

TRZEBA OSUSZYĆ TO BAGNO

28 RADOŚLAW WOJTAS

LIDERKA Z ZAPĄŁKAMI

KULTURA

30 ROZMOWA Z MACIEJEM ŚWIERKOCKIM

**OD SZTUCZNEJ INTELIGENCJI
WOŁĘ HEGLA**

Czy powstanie „maszynowa” filozofia?

34 PIOTR GOCIEK

ŚWIĘTO NIEISTOTNOŚCI

NIE PRZEGAP

36 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

40 MARIUSZ MUSZYŃSKI

**CZY ŻYJEMY JESZCZE
W PAŃSTWIE PRAWA**

Jak władza łamie konstytucję

43 ŁUKASZ WARZECHA

UKRAIŃSKIE ZAPĘTLENIE

46 MARIUSZ JAGÓRA

**CIEMNE CHMURY
NAD BLACKROCK**

49 ROBERT BOGDAŃSKI

USUNIĘTY WPIS AMBASADORA USA

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI

KTO BĘDZIE NASTĘPNYM PAPIEŻEM?

HISTORIA



52 PIOTR SEMKA

**SZCZECIN NA SZLAKU
„KURIERÓW WYKŁĘTYCH”**

Fragment książki „Najdalsza Polska.
Szczecin 1945–1950”

56 ROZMOWA Z MONIKĄ MILEWSKĄ

STONKA, ŻUBROŃ I KRYL

ŚWIAT

58 IAN BOGATKO

NIEMIECKI PACJENT

Jaki rząd po wyborach do Bundestagu?

61 MACIEJ PIECZYŃSKI

PUTIN POWOLI SKRĘCA W PRAWO

64 ROZMOWA Z ALEJANDREM PEÑĄ ESCLUSĄ

ZAMACHY STANU BEZ UŻYCIA BRONI

68 KRYSZTOF KRATIUŁ

SCENARIUSZ RUMUŃSKI

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI

CELNA GRA TRUMPA

Transatlantycka bitwa o gospodarkę

SPORT

74 ŁUKASZ MAJCHRZYK

POŁAWIACZE PEREŁ

Jak się szuka piłkarskich talentów

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociel, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwels, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharzyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-**
Pieczyska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygado
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoedytacja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczuk-Stefaniak
RYŚOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
 Okładka: **Paul Hennessy/SOPA Images/LightRocket/Getty Images**
WYDAWCA: **Orle Pióro SA**

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej **PMPG Polskie Media SA**, notowanej na GPW.


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 44 500 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Zapiski z Transylwanii, czyli z Siedmiogrodu”, Ryszard Czarnecki, „DRz” nr 5/2025

W ciekawym artykule autorstwa Ryszarda Czarneckiego „Zapiski z Transylwanii, czyli z Siedmiogrodu” znalazła się informacja, jakoby książkę **Jeremi Wiśniowiecki** był hetmanem, co nie odpowiada prawdzie. Był natomiast wojewodą ruskim, starostą przemyskim, przasnyskim, nowotarskim, hadziackim i kaniowskim. Dowodził obroną Zbaraża i jazdą lewego skrzydła wojsk polskich pod Beresteczkiem, gdzie przyczynił się do zwycięstwa Polaków nad siłami kozacko-tatarskimi.

Z poważaniem
Stanisław Zubek

Od autora

Szanowny Panie,
 bardzo dziękuję za dobre słowo o moim artykule o Transylwanii/Siedmiogrodzie i polskich śladach tamże. Zgoda, książkę **Jeremi Wiśniowiecki**, ojciec późniejszego króla, był wybitnym dowódcą wojskowym i „hetmanił” – mówiąc językiem staropolskim – czyli przewodził, ale formalnie funkcji hetmana nie pełnił.

W ramach rewanżu sprostowanie do sprostowania: pisze Pan, że nasz książkę „Młot na Kozaków” dowodził obroną Zbaraża (1649). Formalnie wszak dowódcą był, decyzją króla, regimentarz **Andrzej Firlej**. To tak jak z faktem, że „hetmanił”, choć hetmanem nie był – tak tu w praktyce dowodził, choć dowódcą nie był.

Obaj się pewnikiem zgodzimy z **Henrykiem Sienkiewiczem**, że „polski Wład Palownik” dobrze zasłużył się Rzeczypospolitej, choć **Paweł Jasienica** talentów dowódczych niesprawiedliwie mu odmawiał...

Z poważaniem
Ryszard Czarnecki

Uzupełnienie informacji pt. „Z Londynu do Nowego Jorku”, „DRz” nr 6/2025

Przy prędkości większej niż prędkość dźwięku hałas przelatującego samolotu Concorde poprzedzał głośny huk, porównywalny z dźwiękiem pękającej dętki. Dlatego Concorde latał tylko nad oceanami. Hałas przelotu samolotu XB-1 poprzedza dźwięk podobny do trzasku zamykanych drzwi samochodowych. Dzięki temu będzie zgoda na bardzo szybkie przeloty nad terytorium USA. I z tego cieszą się Amerykanie!

Z pozdrowieniami
 prof. dr hab. **Rufin Makarewicz**,
 wykładowca akustyki na Uniwersytecie
 im. A. Mickiewicza w Poznaniu

Nadchodzi katastrofa klimatyczna.
 Przestanie padać deszcz pieniężny



c e z e r y z y j e t o n e



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Zimny prysznic z USA

Niby wszyscy w Europie słyszeli i znali te poglądy Donalda Trumpa, ale jakoś mało kto wierzył, że nowy amerykański prezydent będzie aż tak obcesowy. Najpierw europejscy liderzy się zaklinali, że mimo wszystko wygra Joe Biden, a potem Kamala Harris. Kiedy biznesmen z Nowego Jorku mimo wszystko wygrał – wierzone, że to, co opowiadał w kampanii, nie stanie się programem nowej administracji.

No to stało się. W czasie wizyty w kwaterze głównej NATO nowy amerykański sekretarz obrony Pete Hegseth zapowiedział, że Ameryka nie daje dłużej gwarancji, że będzie za wszelką cenę bronić Europy. Dał do zrozumienia, że nie widzi Ukrainy w NATO, i wykluczył udział US Army w ewentualnym rozdzielaniu linii ukraińskich i rosyjskich w razie zamrożenia walk. Ameryka będzie nadal prowadziła politykę wzmacniania potencjału obronnego europejskich państw sojuszu, ale przede wszystkim to sami mieszkańcy Starego Kontynentu muszą tym się martwić. Europejskie media są w szoku. Stało się to, przed czym

od lat ostrzegali tacy analitycy jak Jacek Bartosiak czy Marek Budzisz. Stare NATO z Ameryką stojące na straży wiarygodności art. 5 paktu to pieśń przeszłości.

W polskich warunkach takie deklaracje sekretarza obrony USA wywołają zapewne dwie przeciwstawne reakcje. Platforma wróci do idei budowy wspólnej armii europejskiej. Z kolei Konfederacja ponownie sięgnie po hasła dogadania się z Rosją i spisania Ukrainy na straty. PiS może przyjąć założenie, że rozmowy pokojowe Trumpa z Putinem rychło mogą pokazać, iż Rosja to partner wiarodolny, i przywódca USA będzie musiał wrócić do ostrzejszego języka. I że spełni swe obietnice chronienia Ukrainy jako rezerwuaru metali rzadkich dla gospodarki Ameryki.

Co robić w nowej sytuacji? Moim zdaniem trzy rzeczy. Na pewno przede wszystkim budować wspólną politykę obronną z „chętnymi i gotowymi” krajami NATO (czyli państwami bałtyckimi, Finami i Szwedami) oraz z Ukraińcami. W tych krajach poczucie zagro-

żenia ze strony Rosji jest realne. Po drugie, pamiętać, że wszelkie triumfy po polskiej stronie wobec ewentualnej klęski Kijowa to samobójczy odruch. Niepodległa od Rosji Ukraina to nadal element wzrostu bezpieczeństwa Polski. I po trzecie – tłumaczyć Amerykanom, jak tylko się da, że Rosja musi być powstrzymana także w ich interesie. I czekać, aż wydarzenia i polityka Moskwy potwierdzą tę prawdę. Gdy piszę te słowa, Pete Hegseth odwiedza Warszawę. Miejmy nadzieję, że uważnie wysłucha polskich opinii na temat optymalnych scenariuszy przyszłości. To, że Warszawa znalazła się obok Brukseli i Niemiec na trasie pierwszej wizyty sekretarza obrony USA, to też fakt godny odnotowania.

Wkraczamy w niebezpieczny okres. To nasza podróż przez mroczną dolinę. Szukajmy w ten niepewny czas każdego sojusznika, który rozumie, że Rosja może w każdej chwili wrócić do polityki agresji. Liczmy na siebie i na tych, którzy rozumieją, że wolność trwa dopóty, dopóki są ci, którzy gotowi są jej bronić. ©©

INFLACJA ZNOWU MOCNO W GÓRĘ

Inflacja w Polsce wyniosła w styczniu tego roku 5,3 proc. – poinformował w piątek Główny Urząd Statystyczny. Odczyt był wyższy od prognoz analityków, którzy oczekiwali wyniku na poziomie 5,0 proc. Do wyższej dynamiki wzrostu cen przyczyniły się głównie nośniki energii (wzrost o 13,2 proc. rok do roku), koszty związane z mieszkaniem (wzrost o 8,8 proc.), a także żywność i napoje bezalkoholowe (zdrożały o 5,5 proc. rok do roku). (jap) ©©



dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Oglądamy dużo kryminałów, więc wiemy, że gdy policjant zaczyna prowadzić śledztwo w sprawie korupcji i nagle komendant go zawiesza, to znaczy, iż komendant jest skorumpowany. Minister sprawiedliwości Adam Bodnar zawiesił nagle prokuratora Michała Ostrowskiego, gdy ten zaczął śledztwo w sprawie zamachu stanu. No i co my mamy o tym sądzić?

WIPN trwa właśnie kontrola dywanowa NIK. Szef Izby, Marian Banaś, pchnął na odcinek „zatluc Nawrockiego” tak liczne oddziały Izby, że centrala przy Filtrowej świeci pustkami. Za to kontrolerzy sprawdzają w IPN dosłownie wszystko: od zamówień na papier toaletowy, przez delegacje służbowe, do podejmowania zagranicznych gości. Codziennie stawiają nowe pytania, zakreślając minimalne czasy na odpowiedź. Chyba nie musimy dodawać, że kontrolerzy mają pełne przyzwolenie na wycieki na Wiertniczą i Czernską. I nie zawahają się z tego skorzystać.

Tymczasem szef NIK Marian Banaś zamierza kandydować na prezydenta Polski. Jako, he, he, kandydat obywatelski. Wspierają go w tym dziele odszczepiecy z PiS, zwani w tej partii pieszczotliwie „zdrajcami”. Główną sprężyną jest podobno niejaki Kazimierz Jaworski, były senator PiS z Podkarpacia. Uważamy, że Podkarpacie zasługuje na więcej.

Mamy Muska na miarę Tuska” – ten żart nadesłał do naszej rubryki jeden z miłych czytelników, komentując umizgi Złego Donalda z Sopotu do Rafała Brzozki, z zawodu milionera. I to zanim jeszcze inni rzucili ten dowcip. Jako że jesteśmy złośliwi z natury, chcielibyśmy jako pierwsi zadać publiczne pytanie: Czy współpraca polityczna Tuska z Brzozką, twórcą i właścicielem InPostu, będzie miała jakiś wpływ na automaty paczkowe Orlen Paczka? Akurat niedawno wydzielono je do osobnej spółki, żeby łatwiej było odpnąć albo zlikwidować. Tak tylko pytamy.

Tymczasem Zły Donald z Sopotu spotkał się z panem od Google i ogłosił wielkie inwestycje Google w Polsce. Wystarczy jednak zajrzeć do Google, by odkryć, że są to małe inwestycje. Na pytania czytelników,

w co może inwestować Google w Polsce, odpowiadamy: skoro to wyszukiwarka, to zapewne w wyszukiwanie przestępstw PiS.

Kultura. Neo-Institut Książki skasował program „Kanon Polski”. I zastąpił go programem „Inne tradycje”. Skoro inne, to znaczy, że niepolskie. Proste. Pewne wiadomości komentują się same.

Niemiecka agencja ochrony środowiska utrzymuje, że w Berlinie panuje smog, bo w Polsce jest brudne powietrze. Odpowiadamy: w Polsce powietrze jest czyste, za to w Niemczech – brudna przeszłość.

Bruxsela. Na 17 lutego marszałek kandydat Szymon Hołownia zaprosił europosłów. Na wystawę, którą otwierał będzie sam Szymon. Sądzymy, że gości przybędzie niewielu, gdyż inaugurację ekspozycji zaplanowano na godz. 15.45 w poniedziałek. A posłowie zwykle na seję zaczynającą się we wtorek przyjeżdżają, owszem, w poniedziałek, ale wieczorem.

Wystawa, na którą zaprasza Szymon, nazywa się „Republika innowacji” i ma pokazywać „polityczne kamienie milowe polskiej i światowej demokracji”, w których brali udział nasi rodacy. Cóż, w sumie to proste: urodziny Tuska, urodziny Szymona, 13 grudnia – już macie trzy kamienie milowe. Przy okazji chcielibyśmy zauważyć, że – biorąc pod uwagę skromne środki, w porównaniu z konkurencją – w Polsce jedyną prawdziwą republiką innowacji jest TV Republika.

W neo-TVP świętują śladowe wzrosty oglądalności. Chodzi o to, że najbardziej trwały elektorat silnych

razem śmiertelnie obraził się na TVN24, gdzie wciąż zapraszani są PiS-owcy. Więc przerzucił się na TVP. Obecnie takie tuzy jak Olejnik czy Morozowski uważane są bowiem przez ośmiogwiazdkowców za cieniasów lub zdrajców. Fetowana jest natomiast ambasadorowa z neo-TVP. A dokładniej Dorota Wysocka-Schnepf. Żona faceta, który pilnuje ambasady w Rzymie, podając się za ambasadora.

Tymczasem w służbach specjalnych poszerza się strefa marazmu. Gadaliśmy niedawno z naszą wiewiórką z jednej ze służb. W sumie zadowolona. Za PiS harowała jak wół. Teraz ma takie luzy, że gdyby nie przyszła do roboty, to nikt nie zwróciłby na to uwagi. Twierdzi, że kilka osób wyjechało na ferie z dziećmi, nie biorąc urlopu. I nikt się nie zorientował.

Podobny klimat panuje w dyplomacji. Radek już się nawet nie wysiła, by słać propozycje nowych nominacji ambasadorskich do Pałacu Prezydenckiego. Twierdzi, że lawina zmian i tak ruszy w sierpniu, kiedy Rafał wprowadzi się do Pałacu. Między nami mówiąc – przy Szucha panuje w tej kwestii głęboki sceptycyzm.

Skoro o zagranicy. Tom Rose został ambasadorem USA w Polsce, tzn. nowym namiestnikiem w Vistula Country. Wiadomość ta ucieszyła PiS, choć trzymano tam kciuki za prof. Jima Mazurkiewicza, Polaka z Teksasu. Wiemy też, za kogo PiS kciuków nie trzymał. „Byle nie Lewandowski” – mówiono. Chodziło nie o Janusza, lecz Coreya, cieszącego się opinią trudnego w obsłudze bufona. Przy okazji – nie jest prawdą, jakoby jedynie Adam Bielan znał Toma Rose’a. Jeszcze lepiej zna go – i to od dawna – Anna Fotyga.

Sensacja. Izraelska Partia Likud premiera Netanjahu ogłosiła, że będzie jako obserwator uczestniczyć w pracach frakcji Patrioti dla Europy. Tak, tej samej, w której są Marine Le Pen oraz polska Konfederacja. Likud nie rezygnuje zarazem z roli obserwatora w Europejskich Konserwatystach i Reformatorach, gdzie jest PiS. Oznacza to, że właściwie można już wymieniać jednym tchem Netanjahu, Bosaka i Morawieckiego. A to się Grzegorz Braun ucieszy. ©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Jakby zamach

Ato Polska właśnie – chce się słowami Wyspiańskiego skomentować całą sprawę śledztwa w sprawie zamachu stanu. Zawiadomienie o zamachu złożył prezes Trybunału Konstytucyjnego, więc osoba poważna. Podjął je zastępca prokuratora generalnego, bo sam minister prokurator generalny jest w sprawie jednym z podejrzanych. Podejrzany minister prokurator zażądał wglądu w akta rozpoczętego śledztwa (pamiętają państwo to wycie, gdy wglądu w akta jakiejkolwiek sprawy żądał Ziobro?), po czym zawiesił swego zastępcę i zapowiedział śledztwo przeciwko niemu za to, że rozpoczął śledztwo, co prawda, tylko „w sprawie”, ale przecież wszyscy wiedzą, jaka to sprawa i kto jest winien. W wolnej

chwili niech państwo spróbują sobie wyobrazić, co by się działo w Polsce i na świecie, gdyby minister robiący to, co zrobił Bodnar, był z PiS.

Zamach stanu oczywiście nie musi polegać na wyprowadzaniu wojska na ulicę czy innym jednoznaczowym akcie brutalności. Hitler np. zbudował dyktaturę w sposób bardzo podobny, jak robi to Tusk: objawwszy władzę legalnie, po demokratycznych wyborach, krok po kroku zniszczył wszystkie instytucje ustrojowe, które pozwalałyby mu tę władzę odebrać albo tylko kontrolować. Więc zawiadomienie prezesa Świączkowskiego powinno być traktowane serio.

Trudno jednak nie spytać: Jeśli mamy zamach stanu, to co robi prezydent RP, z urzędu zobowiąza-

ny „strzec konstytucji”? Oznajmia, że budżet, który mu przedłożono, jest niekonstytucyjny, po czym go podpisuje i odsyła do Trybunału, o którym wie, że rząd jego wyroków prawem kaduka nie uznaje.

Ponadto sprawcy zamachu, którzy osiem lat krzyczeli, że „neoseñdziowie” nie są sędziami, ogłosili właśnie, i to ustami szefa Iustitii, że ich wyroki „co do zasady” są ważne. Chyba że są nieważne. Zależy, czy pasują władzy czy nie pasują.

Bohater „Dnia świra” mówił, że już nic nie jest na serio, tylko „jakby”. Praworządność była jakby zniszczona i jest jakby przywracana, choć Komisja Wenecka jakby uznała te działania za jakby bezprawne. Więc to „przywracanie” jest zamachem stanu – ale też tylko jakby? ©©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Co może katolik?

Obiecałem się odnieść do wymysłów (również na tych łamach) na temat Deklaracji Szesnaściorga. Oto pierwszy przykład. Nie wiem, czy lid do artykułu pani Anny Mandreli „Chanuka czy Boże Narodzenie” pochodził od autorki; raczej (jak to lid) od redakcji. W każdym razie jego treść to najczystszej wody dezinformacja: „Czy katolik może obchodzić żydowskie święto religijne? To pytanie podzieliło polskich publicystów”. Powtórzmy prościej to zdanie: „Polskich publicystów podzieliło pytanie, czy katolik może obchodzić żydowskie święto religijne”. Których publicystów? Tych, którzy już na początku

swej deklaracji piszą: „My, katolicy, nie obchodzimy tego święta”?

Jakie jest źródło tej dezinformacji (a podaję tu tylko jeden przykład)? Wydaje mi się, że psychologiczne. Istotą naszej deklaracji był sprzeciw wobec gloryfikacji gañniczego gwałtu wobec drobnego żydowskiego symbolu świątecznego. Zarówno sam symbol (mała menora), jak i święto, w którym jest używany (Poświecenie Świątyni), mają źródła biblijne, jako takie są więc częścią chrześcijańskiej pamięci religijnej. Przypomnienie o tym wywołało falę irytacji, ale samej kwestii gañniczej unikano, atakując za to (jak wyżej) wymyślone tezy.

W sumie oczywiście to dobrze, że sprawa burdy „nie podzieliła polskich publicystów”, przynajmniej otwarcie. Szkoda tylko, że jest za mało tych, którzy potrafiliby się ideologii gañniczej otwarcie sprzeciwić. Tak właśnie dojrzewa przyzwolenie na kolejne podobne wyczyny. Bo oczywiście o wiele łatwiej dywagować na temat wymyślonych problemów, niż rozważyć parę kwestii zupełnie realnych. Czy katolik może popierać burdy? Czy wokół burd powinna się organizować pravicowa opinia? I – przede wszystkim – dokąd to polską opinię publiczną zaprowadzi? ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

gratów... gratów...



Cezary Krzysztopa

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O Dniu Niepamięci

We Włoszech 10 lutego to Dzień Pamięci o 350 tys. wygnanych i kilkunastu tysiącach zamordowanych Włochów z Istrii, Dalmacji i Wenecji Julijskiej przez komunistycznych partyzantów Tity w latach 1943–1945 (więcej na ten temat pisaliśmy w „Do Rzeczy” nr 7/2025). Zbrodniarzom w czystce etnicznej pomagali towarzysze włoscy. Ciała, a także żywe ofiary wrzucali do kilkusetmetrowej głębokości grot, tzw. studni krasowych, po włosku „foibe”. Słowo stało się synonimem tej zbrodni.

Ale jako że była to zbrodnia komunistyczna, za sprawą dominacji lewicy we włoskiej kulturze, mediach i nauce nie wolno było o tym mówić głośno. Dzień Pamięci ustanowiono dopiero w 2004 r. Przedtem, za sprawą komuni-

stycznych łgarzy, obowiązywała wersja, że w foibe skończyli wyłącznie faszyci z krwią na rękach. Ktokolwiek twierdził inaczej, karany był ostracyzmem. Naturalnie wygnańcom też przylepiono faszystowską łatkę. Spotkania z pisarzem Giampaolem Pansą, który opisał tę zbrodnię, rozpędzały lewicowe bojówki. Choć to nie do wiary, to zakłamanej wersji historii „foibe” do dziś trzymają się Związek Partyzantów Włoskich, oszołomieni postępowcy i powalająca ignorancją część włoskiej gówniarzerii licealnej i uniwersyteckiej, mimo że dziś prawdę o tragedii można znaleźć wszędzie, choćby w Wikipedii.

Z jednej strony prezydent Sergio Mattarella 10 lutego oddaje hołd pamięci ofiar na uroczystości w Pałacu Kwirynalskim transmi-

townej przez wszystkie włoskie telewizje, a z drugiej zideologizowani idioci upstrzyli mury Rzymu, Turynu, Bolonii i Cagliari haniebnymi napisami: „Faszystowska padlino! Wracaj do foibe”, „Śmierć faszystom”, „Rewizjonizmowi mówimy NIE!”. Wysmarowali farbą tabliczki i pomniki poświęcone ofiarom.

W związku z Dniem Pamięci do elitarnego rzymskiego liceum im. Roberta Rosselliniego, kształcącego przyszłych filmowców, dyrekcja zaprosiła na spotkanie senatora Roberta Menię, syna wygnańców z Istrii. Oburzyły się lewicowe kolektywy uczniowskie („Niech wraca do foibe!”). Zaproszenie wycofano. Patron liceum na pewno przewraca się w grobie. © ©

Author jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

DRAMA NISKICH LOTÓW

Za takie traktowanie celebrytów powinno się iść do więzienia. Od razu na długie lata. No bo jak to tak?! Klaudia Halejcio wyżyła się swoim fanom na sytuację, która spotkała ją na polskim lotnisku. – Ale w ogóle, jakie jest inne podejście u nas na lotnisku i tutaj na przykład. W pierwszą stronę leciałam w takich adidasach przed kostkę, miałam tylko szerokie spodnie. No i baba do mnie na tej kontroli zaczęła się drzeć, że mam zdjąć buty – relacjonowała. – Ja mówię, no dobrze, no to ściągnę, nigdy nikt mi nie kazał adidasów przed kostkę ściągać, no ale okej. Zwłaszcza że to jest takie śmieszne, jak jedziesz jeszcze tym fast trackiem, to co byś nie miała, to ci nigdy nic nie każe ściągać. To jest po prostu niesamowite i jakaś abstrakcja – oburzała się aktorka. Tymczasem za granicą, ach, ach. Tam kontrole, jak przekonuje Klaudia, przeprowadzane są na dużo większym luzie. – Tutaj znowu

jestemy na lotnisku i już wracamy, ale wracam w wielkich moon bootach, więc pytam panią już przy kontroli, pytam, gdzie są woreczki, no bo pewnie muszę zdjąć te wielkie buty. A ona mówi tak: Nie. Po co? Jak będzie coś nie tak, to po prostu pani do mnie wróci. Ja mówię, okej. No dobra, przeszłam, nikt się do mnie nie przyczepił, pan czeka, patrzy, zero problemu. W ogóle fajna jeszcze kolejna sytuacja, zapomniałam, że ja mam iPada. Nie wyciągnęłam tych rzeczy, wyciągnęłam aparat, dałam Oskarowi do laptopa, mówię: ja nic nie mam. Zapomniałam o tym iPadzie. No i pani wzięła torbę, mówi: O, chyba tam był iPad. Pani wyciąga mi iPad i takie ulotki, nie wiem, skąd to wzięłam, ale ulotki z całymi nożami, więc pani się śmiała, wzięła to i mówi po kontroli: „Pani noże są okej” – wspomina gwiazda. – Więc to jest takie śmieszne, jak zupełnie inne podejście, jak w ogóle inaczej jest. Ja nie wiem, skąd to się bierze, że my mamy taką wrodzoną wredność w sobie – dywagowała Halejcio, na co wtrącił się jej ukochany, Oskar. – W Szwajcarii minimalna pensja wynosi 10 razy tyle co nasza – zauważył. – Czyli dlatego są szczęśliwsi ludźmi? – zapytała Klaudia. – No pewnie, że tak – skwitował partner celebrytki. Nie dość, że Polacy są wredni, to jeszcze biedni. Faj.

NIEŻYCZLIWI

Wokalistka Natalia Niemen od dłuższego czasu jest niezwykle wylewna. Co w myśli, to i w mediach społecznościowych. „Długo zastanawiałam się, czy napisać ten post, ale w końcu się zdecydowałam” – rozpoczęła kolejny ze szczerych wpisów. Wróciła wspomnieniami do chwil z początków kariery, które nie należały do najszcześniejszych. To np. występ w Opolu w 1998 r., którego nie może zaliczyć do sukcesów. „Nie mam obeznania ze sceną, ale pchali mnie do kariery autorzy wspomnianego albumu. Następnego dnia w gazetach recenzje festiwalu opolskiego. Czytam, że nie umiem śpiewać i jestem beztalenciem. Załamuję się kompletnie” – wyznała. Córka Czesława Niemena dodaje, że

wiele złego doznała też od kolegów po fachu. „O mojej osobie wypowydwały się również z pogardą osoby publiczne: Kazik Staszewski, Paweł Kukiz, Michał Wiśniewski czy Agnieszka Chylińska. Ta ostatnia nie brała jeńców. W swoich felietonach w gazecie „Elle” poświęcała sporo akapitów, aby zdeprecjonować mnie, mój talent i umiejętności. A nawet wygląd. Tam nie padały personalia. Ale w roku 1998 bodaj (może w 99?) na urodziny mojego taty, kiedy jakaś gazeta poprosiła wybranych muzyków o złożenie życzeń Niemenowi, imię Agnieszka Chylińska nie przebiegała w słowach. Bez owijania w bawełnę powiedziała, że życzy Niemenowi, aby był bardziej obiektywny w ocenie talentu i umiejętności muzycznych swojej córki. Niestety, nie zacytuje, bo nie mam przy sobie wycinka tej gazety. Ale poszukam i upublicznję. Świadomie sypię nazwiskami. Przełało mi się po latach” – wskazuje Natalia Niemen. Czyli ciąg dalszy nastąpi.

BO TO ŻLI MĘŻCZYŹNI BYLI

Doda Elektroda, oprócz imponującego głosu, znana jest z bujnego życia miłosnego. Oras tego, że nie ma oporów przed zdradzaniem mediom szczegółów swoich relacji. W podcaście „Bliskoznaczni” Rabczewska podzieliła się refleksjami na temat swoich przeszłych miłości. Nie ukrywa, że nie były to związki szczęśliwe. – Miałam seksoholika, alkoholika, narcomana i takiego totalnego atencjusza, który jakby intencjonalnie wciągnął mnie w związki do budowania swojej kariery. Tutaj mogłabym napisać doktorat na ten temat – podkreśliła. – Każdy jeden to porażka, porażka moich wyborów i jakiejś mojej naiwności – stwierdziła. Doda przekonuje, że mężczyźni czuli się przy niej onieśmieleni. – Tych, którzy się mnie nie boją, w ogóle nie wpuszczam na level drugi. I to też było złe, bo wybierałam sobie tylko takich, którzy lubili za bardzo adrenalinę – wspominała, dodając, że była dla nich „trofeum i zdobycz”. Niby wiedziała, ale sama wybierała. Ciężko się potapać. ☹☹



FOT. PAWEŁ WODZIŃSKI/FAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

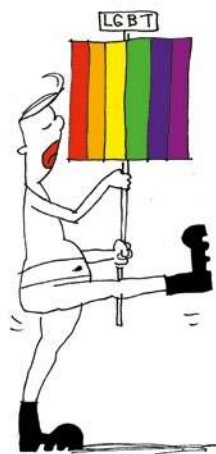
Kochani, zaraz po tym, jak Donald Trump zaprosił do współpracy Elona Muska, pan Premier Donald Tusk zaprosił do współpracy Rafała Brzostkę. Trochę nas to martwi, iż jeżeli rozpoczęła się tym samym transformacja z jednego Donalda w drugiego Donalda, to możemy się spodziewać wielu przykrych rzeczy. Mamy nadzieję, że pan Premier będzie czerpał tylko te dobre wzorce, ale wyobraźmy sobie, co się stanie, jeśli nie.

Po pierwsze, zmiana nazwy Morza Bałtyckiego na Morze Polskie. Skoro Trump ogłosił, że chce Kanał Panamski, to dlaczego nasz lokalny Donald nie miałby chcieć Kanału Sueskiego? Słyszeliśmy plotki o aneksji Kanady. To zupełnie tak, jakby ten kraj miał wchłonąć Czechy, Słowację i z rozpędu Węgry. Straszne megalomaństwo.

Na szczęście megalomaństwo to ostatnie, o co możemy podejrzewać rząd pana Premiera Tuska, a to wszystko, co opisaliśmy, pozostanie raczej w sferze tzw. science fiction.

Pan Premier zapowiedział, iż w ciągu kilku lat ten kraj zajmie miejsce w pierwszej dziesiątce rankingu „World Happiness Report”, czyli po prostu takiego rankingu szczęśliwości i zadowolenia z życia. Podziwiamy odważne plany, jednakże pozwolimy zachować sobie życzliwy i zdrowy sceptycyzm.

Pamiętajmy bowiem, iż wciąż ok. 30 proc. mieszkańców tego kraju popiera pis, istotny procent optuje za nacjonalistami, a zatem siły antydemokratyczne, ponure, brunatne i brzydkie wciąż mogą stanowić nawet prawie połowę mieszkańców tego kraju. Mówimy of kors o mieszkańcach mniejszych ośrodków.



Unia Europejska
idzie na wojnę z Trumpem

Do tego niedługo będzie coraz intensywniej wchodził Zielony Ład, wreszcie niebawem będą respektowane prawa kobiet i mniejszości (jak tylko uda się odsunąć pis całkiem od władzy), odejdziemy od węgla, przesiądziemy się na samochody elektryczne. Słowem: przeciętny janusz z podkarpackiej wioski będzie miał więcej powodów do niezadowolienia i stroszenia wąsów, niż miał wcześniej.

W związku z tym nie do końca wierzymy, iż zapowiedź pana Premiera ma szansę się sprawdzić, ale widzimy pewien sposób na to, aby w rankingu i tak awansować, iżby dbać o nasz PR za granicą i budować wizerunek fajnego, uśmiechniętego kraju, w którym korporacje będą mogły nadal zakładać sobie biura w celu pozyskiwania nieprzesadnie drogiej, acz wykwalifikowanej kadry pracowniczej do kopiowania tabelk w Excelu.

Otóż wystarczy, iżby w rankingu byli uwzględniani tylko ci, którzy rzeczywiście są zadowoleni. Skoro mamy okazałe grono współobywateli, którym – no taka prawda – nigdy nie będzie dobrze, to może po prostu przestańmy się nimi przejmować i pozwólmy im na wywieranie wpływu na to, jak jesteśmy postrzegani, a nawet klasyfikowani.

Przeprowadzajmy takie badania w grupach osób w wieku 18–39 lat, mieszkających w większych ośrodkach, ewentualnie w wieku 65+, ale pod warunkiem przynależności do KOD. I wtedy się może okazać, iż pierwsza dziesiątka nie będzie wcale wyzwaniem. Może wówczas nawet pierwsza piątka, kto wie? Bo wyżej nie celujemy, nie ma co przesadzać z tą szczęśliwością, bo i tak nikt nie uwierzy. ☹☹



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Bardziej ludzki

Karol, połóżmy tę kampanię, jeśli się nie wyluzujesz. Musisz jakoś wyjść poza schemat. Adam, no przecież się uśmiecham. O, proszę.

Ale nawet ten uśmiech masz jakiś sztywny. Mogę krawat zdjąć.

To są detale. Musisz zacząć być bardziej ludzki.

Ale że co? Że niby ludzki nie je... Że niby ludzki nie je... Że niby ludzki nie je...

Co ci się stało? Zaciąłeś się?

„Zresetuj urządzenie, przytrzymując przycisk umieszczony na karku pod włosami”.

Jaki przycisk?! Że niby tutaj?

O, dziękuję. Wracając: że niby ludzki nie jestem? ☹☹

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„[...] teraz legalna, demokratyczna władza przywraca zręby państwa prawa [...], oczywiście na razie bez ustaw”.

MICHAŁ WAWRYKIEWICZ, europoseł, KO w TVP Info o działaniach rządu blokowanych przez prezydenta RP i Trybunał Konstytucyjny

ATAK AFGAŃCZYKA W MONACHIUM

Dwudziestoczteroletni Afgańczyk Farhad N. wjechał samochodem w tłum w Monachium. Rannych zostało 28 osób. Policjanci, aby zatrzymać zamachowca, oddali w jego kierunku strzały.

Jak podał minister spraw wewnętrznych Bawarii Joachim Herrmann, sprawca posiadał status osoby ubiegającej się o azyl, ale był doskonale znany lokalnej policji, która zatrzymywała go wcześniej m.in. za handel narkotykami oraz kradzieże w sklepach.

Według włoskiej agencji ANSA Afgańczyk przyłynął na wybrzeże Kalabrii już w 2016 r. W tym samym roku zamieszkał w Brescii w północnych Włoszech, skąd w roku 2017 przeniósł się do Niemiec.

Kolejny już zamach dokonany przez imigranta – w maju 2024 r. sześć osób zostało rannych w ataku krzyczącego „Allah akbar!” nożownika na rynku w Mannheim, a w styczniu obecnego roku 28-letni Afgańczyk zabił w parku w bawarskim mieście Aschaffenburg dwie osoby, w tym dziecko – rozbudził na nowo dyskusję na temat nieudolnej polityki migracyjnej niemieckich władz, które nie potrafią egzekwować przepisów.

Ubiegłotygodniowy zamach może wzmocnić prawicowe AfD przed wyborami do Bundestagu, które odbędą się już 23 lutego.

(jap) © ©

PHOTO: ANTONIO MAB





Biały Dom zakreca kurek



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Setki tysięcy dolarów płynęły przez lata do lewackich organizacji w Polsce. Decyzja prezydenta USA Donalda Trumpa o zamknięciu programu USAID to dla nich potężny cios

Wygłąda na to, że ukradziono miliardy dolarów z USAID i innych agencji rządowych. Wiele z tego przekazano fake-newsowym mediom jako »odpłatę« za tworzenie pozytywnego przekazu o demokracjach. Lewackie Politico otrzymało prawdopodobnie 8 mln dol. [...]. To może być największy skandal w historii! – to tylko jeden z wielu wpisów przywódcy USA poświęconych USAID.

Na początku lutego Donald Trump ogłosił zamknięcie programu będącego największą agencją pomocową świata.

Działające od 1961 r., założone przez Johna F. Kennedy'ego USAID kierowało miliardy dolarów na różne cele – od działań na rzecz walki z AIDS, poprzez wsparcie wzrostu gospodarczo w krajach słabiej rozwiniętych, do dotowania mediów. Okazuje się, że przez lata amerykańskie środki płynęły głównie do wydawców liberalno-lewicowych, takich jak wspomniane przez Trumpa Politico. Agencja Stanów Zjednoczonych do spraw Rozwoju Międzynarodowego dysponowała budżetem rocznym przekraczającym 50 mld dol., co czyniło ją jedną z największych oficjalnych

agencji pomocowych na świecie, a także stanowiło ponad połowę całej pomocy zagranicznej

udzielanej przez USA. Decyzja o zamknięciu USAID, a także podpisane w styczniu przez prezydenta USA rozporządzenie zawieszające wypłatę środków z programów amerykańskiej pomocy zagranicznej na 90 dni (wyjątkiem od decyzji Trumpa są podmioty organizujące „nadzwyczajną pomoc humanitarną”)

mocno zabolowały także polskie organizacje. Trump przy pomocy Elona Muska (stwierdził, że USAID to „organizacja kryminalna”), szefa Departamentu Wydajności Rządu, zapowiedział dogłębny audyt wydatkowanych środków i szczegółowe rozliczenie. Wstrzymanie finansowania dla organizacji o charakterze lewicowym wpisuje się w zdroworozsądkową rewolucję, którą od pierwszych godzin urzędowania przeprowadza 47. prezydent USA. Chodzi nie tylko o ideologię, choć ta też jest ważna, lecz także o sprawdzenie, czy miliardowa pomoc zagraniczna jest „zgodna z amerykańskimi interesami”. Biały Dom przekazał, że „w wielu przypadkach” wydane środki były „sprzeczne z amerykańskimi wartościami”.

W Polsce nie działają przepisy nakładające na organizacje pozarządowe obowiąz-



FOT. ADREE STOCK

zek ujawniania finansowania zagranicznego. Choć za rządów Zjednoczonej Prawicy pojawił się pomysł, aby to zmienić. Dzięki ruchowi przywódcy USA mogliśmy się dowiedzieć, w jak dużym stopniu organizacje kreujące się na obywatelskie i niezależne podmioty były uzależnione od niepolskich pieniędzy – w latach 2020–2025, bo tego okresu dotyczyły publikowane dane. Część środków już przyznano, część została wstrzymana. Częściowe dane można pozyskać z bazy uspending.gov, która według ambasady USA w RP jest „oficjalnym i otwartym źródłem informacji o wydatkach federalnych USA, w tym informacji o nagrodach rządu federalnego USA, takich jak kontrakty, dotacje i pożyczki”. Dane te są częściowe, ponieważ część beneficjentów grantów poddano anonimizacji, a część zaliczono do jednej kategorii „laureaci zagraniczni”. Wiadomo, że przekazano im od 1 do 6,4 mln dol., m.in. na „umacnianie społeczeństwa obywatelskiego”.

PRZECIW INTERESOM USA

Sporo podmiotów przyznało jednak otwarcie, że pieniądze z USA na razie do nich nie popłyną. Wśród nich jest Stowarzyszenie im. Stanisława Brzozowskiego, wydające „Krytykę Polityczną”. „Dostałam mejla od organizacji, z którą współpracujemy i realizujemy projekt dotyczący wspierania mediów niezależnych. Wiadomość miała tytuł: »grant suspension«, czyli »zawieszenie dotacji« – przekazała redaktor naczelna „KP” Agnieszka Wiśniewska. Podkreśliła, że bez wsparcia zagranicznego nie będzie możliwa realizacja licznych projektów. „Bez tych środków nie moglibyśmy działać. Ważne jest dla nas wsparcie indywidualnych darczynek i darczyńców, bo granty – jak widzimy – Trump może nagle zatrzymać” – wskazała. „Wasze wsparcie jest ważne właśnie w takich momentach, kiedy czytamy w mejlu od grantodawcy: »Musimy wstrzymać wszystkie nasze działania finansowane ze środków rządu USA. Zawieszamy wszystkie dotacje i kontrakty od piątku 24 stycznia«” – dodała Wiśniewska, apelując o pomoc finansową od czytelników: „Czekamy na rozwój wydarzeń. Pracujemy. Piszemy. Publikujemy. Bywa ciężko, ale motywuje nas wsparcie czytelniczek i czytelników”.

Ciekawy komentarz pod wpisem dziennikarki opublikował związaną z „Dzienni-

kiem Gazetą Prawną” publicysta historyczny Andrzej Krajewski: „No ale tego, że »Krytyka Polityczna« wisi na grantach wydzielanych przez Wuję Sama, to się jednak nie spodziewałem. Wychodzi na to, że Trump może eksterminować lewicę w Polsce i nawet nie będzie o tym wiedział”. Ta ocena pokazuje skalę nieświadomości opinii publicznej w zakresie tego, jak finansowane są lewicowo-liberalne organizacje nad Wisłą. Głos w sprawie sytuacji „KP” zabrał też szef InPostu Rafał Brzoska. „Moi Drodzy – proszę Was wszystkich o przyłączenie się do mnie i wspólną zrzutkę na Krytykę Polityczną, aby jej szczytne dzieło walki z krwiożerczym kapitalizmem mogło być kontynuowane po tym, jak wyschły fundusze od rządu USA. A na serio – chętnie pomogę, jak będzie trzeba, i oczekuję w zamian – jak dotychczas – bezkompromisowej krytyki,

Z amerykańskich pieniędzy korzystała fundacja wspierająca upolitycznionych sędziów wojujących z PiS

bo... kompletnie się mylicie [tu trzy emotikony śmiechu aż do łez], ale pluralizm w mediach jest serio ważny!” [pisownia oryginalna] – napisał biznesmen.

Argument republikańskich władz USA o tym, że amerykańskie pieniądze wysyłane w świat nie realizowały często interesów tego państwa, potwierdza jeden z wywiadów opublikowanych na portalu „KP”. Dyplomata Piotr Łukasiewicz podważał w nim sens zakupu dużej ilości uzbrojenia z Ameryki. „Jesteśmy w stanie szybko pozyskać duże ilości sprzętu, głównie z Korei Południowej i ze Stanów Zjednoczonych [...]. Mam wrażenie, że to, co rząd robi w kwestiach obronności, zwłaszcza wymiany sprzętu wojskowego, zupełnie się rozjeżdża ze stanem prawnym, zasadą dobrej legislacji, planowaniem – z uporządkowaną i zrównoważoną polityką państwa. Mamy np. bardzo pospieszne zakupy wojskowe, których skalę trudno określić, bo nie mają nic wspólnego z budżetem” – ocenił w maju 2023 r., czyli jeszcze gdy w Polsce rządził PiS. O ile opinia ta, w kontekście

rozważań nad polskimi finansami, może brzmieć rozsądnie, o tyle oczywiste jest, że nie bierze pod uwagę interesu USA.

USAID KONTRA RZĄD POLSKI

Z amerykańskich pieniędzy nie skorzysta już Fundacja Aktywna Demokracja, organizator projektu „Tour de Konstytucja” (w jego ramach m.in. upolitycznieni sędziowie objeżdżali Polskę). Fundacja otrzymała dofinansowanie na kolejny projekt, tym razem realizowany bezpośrednio w szkołach „Tour de Konstytucja – Jesteśmy za Godnością”. Jednak po decyzji Trumpa inicjatywa jest zagrożona. W związku z zablokowaniem środków pieniężnych pod znakiem zapytania stanęła realizacja całego przedsięwzięcia. „To decyzja bezprecedensowa i głęboko niepokojąca. Zawieszanie legalnie przyznanych funduszy, podważanie zobowiązań państwa i deprecjonowanie pracy organizacji społecznych oznacza, że umowy przestają mieć znaczenie, a kluczowe inicjatywy mogą być blokowane ze względów politycznych. Nie zgadzamy się na to. Umów należy dotrzymywać. Projekty edukacyjne takie jak »Tour de Konstytucja« mają fundamentalne znaczenie dla społeczeństwa obywatelskiego i nie mogą stać się ofiarą arbitralnych decyzji administracyjnych. Wzywamy do ponownej oceny tego stanowiska i przywrócenia środków na realizację działań” – przekazali w oświadczeniu organizatorzy. Szybko rozpoczęto zbiórkę pieniędzy, wystawiając na aukcję m.in. plakat filmu Agnieszki Holland „Zielona granica”.

Przez lata „TdK” wspierał jako rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, a wśród organizatorów akcji były Komitet Obrony Demokracji, Ogólnopolski Strajk Kobiet, Stowarzyszenie Sędziów Polskich „Iustitia” i Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Okazuje się, że ta ostatnia także korzystała z amerykańskich funduszy. Chodzi o 9,2 tys. dol. na „pokaz amerykańskich filmów dokumentalnych o prawach człowieka na 24. MFF Watch Docs”.

Środki z USA dostał też „Tygodnik Powszechny”. Chodzi o 10 tys. dol. przeznaczonych na częściowe pokrycie kosztów organizacji „Lekcji czytania” w projekcie literatura amerykańska. „TP” krytykuje, co nie dziwi, prezydenta USA za zawieszenie USAID. „Chyba nikt nigdy wcześniej nie zadał tak poważnego

■ ciosu w amerykańskie interesy na całym świecie: uderzenie nastąpiło jednocześnie w blisko 130 krajach [...]. Jednocześnie jest to sprawa, która jak w soczewce skupia patologie nowej amerykańskiej administracji” – czytamy w tekście Wojciecha Brzezińskiego i Agaty Kaźmierkiej. „Amerykanie lubią powtarzać, że są największym darczyńcą na świecie, a inni na pomoc zagraniczną wydają znacznie mniej. Tyle że mają też najpotężniejszą na świecie gospodarkę” – dodają autorzy, niejako przekonując, że skoro Ameryka jest tak bogata, to powinna płacić wszystkim za wszystko. Pada sugestia, że zablokowanie USAID to efekt prywatnych porachunków Elona Muska: „Sprawa może mieć [...] drugie dno. Paul K. Martin, inspektor generalny USAID, od kilku miesięcy prowadził audyt wartego 3 mln dol. kontraktu, który firma Muska zawarła z tą agencją na 5 tys. terminali Starlink dla Ukrainy. Dochodzenia nie dokończył”.

Decyzja nowej administracji USA uderza w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin. W przypadku placówki jest to kwota 60,3 tys. dol. Z bazy usaspending.gov wynika, że Muzeum realizowało i miało realizować program pod hasłem „Rekrutacja i podróz 12 nauczycieli uczestniczących w programie szkoleniowym dla nauczycieli holokaustu w USA w latach 2020–2021. Program przedłużany. Marzec 2020–grudzień 2026”. Instytucja niejednokrotnie angażowała się w spór polityczny w Polsce, z tym zastrzeżeniem, że tylko do momentu utraty władzy przez Zjednoczoną Prawicę. Jeden z darczyńców, Victor Markowicz, z oburzeniem protestował przeciw powołaniu na członka Rady Muzeum publicysty Bronisława Wildsteina. „Losy Muzeum Historii Żydów Polskich Polin leżą mi na sercu, w końcu przyczyniłem się do jego powstania. Tymczasem zbierają się nad nim czarne chmury – już sam fakt powołania przez ministra kultury Piotra Glińskiego na członka rady muzeum skompromitowanego swoimi e-mailami Bronisława Wildsteina daje dużo do myślenia [...]”. Obecny zamiar rządu wykreowania nowego obrazu Zagłady jest niepokojący, a działalność Wildsteina może doprowadzić do następnego niepotrzebnego konfliktu” – pisał Markowicz w sierpniu 2022 r. na łamach „Gazety Wyborczej”. Po zmianie władzy w skład Rady Muzeum przy Muzeum Historii

Wśród grantobiorców USAID były m.in. Muzeum Polin, organizacje LGBT+, Ferminoteka

Żydów Polskich Polin do rady powołano m.in. prof. Barbarę Engelking i dr. hab. Michała Bilewicza. Oboje badacze są znani z przypisywania Polakom współodpowiedzialności za Holokaust.

MARSZE RÓWNOŚCI I ABORCJA

Sporą kwotę – ok. 177 tys. dol. – przyznano z amerykańskich środków Fundacji Centrum Edukacji Obywatelskiej. Cel? „Pokrycie kosztów organizacji wieciodniowej akademii obywatelskiej 2023 dla uczniów szkół średnich (marzec 2023–luty 2025) oraz na pokrycie kosztów programu «Szkoła Demokracji» dla przedstawicieli samorządów uczniowskich w polskich szkołach (sierpień 2024–czerwiec 2025)”. Organizacja zajmuje się tematami takimi jak różnorodność w szkole, nauka o klimacie czy działania antydyskryminacyjne. Jej szef, dr Jędrzej Witkowski, był gorącym zwolennikiem okrojenia podstawy programowej, na co zdecydował się resort edukacji pod kierownictwem Barbary Nowackiej.

Na pierwszy rzut oka widać już, że wśród grantobiorców niezwykle licznie reprezentowane są organizacje promujące ruch LGBT+. I tak na liście opublikowanej przez portal money.pl widnieje m.in. Stowarzyszenie na rzecz osób LGBT Tolerado – 49,7 tys. dol. na organizację VI Kongresu Miast Maszerujących (czyli takich, w których odbywają się Marsze Równości). Do tej kategorii można też zaliczyć dofinansowanie w wysokości 48,5 tys. dol. dla Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę na program „LGBT Plus Me: wzmacnianie polskiej młodzieży jako sojuszników LGBT+”. Kolejny podmiot to Federacja Znaki Równości – 30 tys. dol. – i „wzmocnienie pozycji członków społeczności LGBTQI+ wchodzących na rynek pracy”. Fundacji Herstory przyznano prawie 40 tys. dol. na „budowanie potencjału aktywistów i usługodawców pracujących ze społecznością LGBTQI+ w Polsce poprzez programy edukacyjne, warsztaty, sesje mentorskie

dla terapeutów, personelu medycznego edukatorów” oraz „projekt edukacyjny Rainbow Empowerment”. W latach 2021–2022 na środki z USA mogło też liczyć „My, rodzice – Stowarzyszenie matek i ojców sojuszników osób LGBTQIA (16,5 tys. dol. na projekt dot. różnorodności w rodzinie). Znana powszechnie Kampania przeciw Homofobii pozyskała prawie 15 tys. na „warsztaty korporacyjne sojuszników LGBTQIA”. Uwagę przykuwa grant dla Fundacji Wspomagania Wsi – to ponad 100 tys. dol. na „organizację warsztatów leaderskich i mentoringu dla 24 uczestników oraz budowanie wspierających społeczności dla osób LGBT+ na obszarach wiejskich”.

Wśród „poszkodowanych” jest też Feminoteka, czyli działająca od 2001 r. fundacja feministyczna. „Ponad 250 tysięcy złotych – tyle pieniędzy mamy obecnie zamrożone ze względu na decyzję prezydenta Stanów Zjednoczonych. To środki, które zaplanowane były do wykorzystania na profesjonalne wsparcie dla kobiet, które doświadczyły przemocy seksualnej. Zarówno Polek, jak i migrantek [...]”. Na celowniku są organizacje, których praca obejmuje obszary »aborcji, planowania rodziny, różnorodności, równości, integracji, operacji dla osób transpłciowych czy innej pomocy nieratującej życia« (warto przy okazji podkreślić, że większość wymienionych tu działań przyczynia się właśnie do ratowania życia)” – czytamy na Facebooku Feminoteki. W związku z zablokowaniem środków nie jest na razie możliwa realizacja zadań z dwóch obszarów. Pierwszy to „prowadzenie Femki: jedyne w Polsce punktu pomocy dla kobiet po gwałcie”. Drugim są „szkolenia dla pracowników i pracowników, które w swojej działalności zawodowej mogą mieć kontakt z osobami, które doświadczają przemocy seksualnej lub przemocy w relacji intymnej”.

Rzecznik Feminoteki Joanna Gzyra-Iskandar nie gryzie się w język i ostro krytykuje prezydenta USA. „Donald Trump jest prezydentem zaledwie dwa tygodnie, a już podpisuje jeden dokument za drugim. Problem w tym, że jego jeden podpis decyduje o tym, co dzieje się na drugim końcu świata, i wpływa na to, że kobiety doświadczane przemocą seksualną mogą nie otrzymać pomocy” – powiedziała Wirtualnej Polsce.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Donald Trump i Elon Musk w Gabinetcie Owalnym w Białym Domu, 11 lutego 2025 r. FOT. ALEX BRANDON/AP/EAST NEWS

Płacić i rządzić



Wojciech Golonka

Ujawnienie przez Elona Muska skali korumpowania przez amerykański deep state elit medialno-politycznych na świecie obnażyło przede wszystkim to, jak bardzo bantustany pokroju naszego kraju są bezbronne i podatne na najróżniejsze obce wpływy, byle były one odpowiednio ubrane, a zwłaszcza wystarczająco okraszone benefitami

Dokonywany przez Elona Muska w amerykańskich wydatkach audyt, mający w rzeczywistości znamiona rewolucji czy wręcz, w ostatnich dniach, pełzającej wojny domowej o pieniądze podatników, uwydatnił skalę kupowania za granicą wpływów przez administrację Joe Bidena, choć właściwiej należałoby powiedzieć: skalę korumpowania od dłuższego czasu przez amerykański deep state elit medialno-politycznych na świecie, na rzecz realizacji własnej agendy. Musk ze swym przebojowym zespołem do

spraw wydajności rządu USA pozwala zatem nagłośnić mechanizmy i skalę tego procederu, choć faktycznie rzecz biorąc, być może ustalone dotychczas przezeń i tak szokujące informacje są tylko wierzchołkiem góry ludowej. Wszak Pentagon oblał siedem audytów z rządu, nie będąc w stanie uzasadnić wydatków na miliardy dolarów, z kolei CIA, znana przecież z tego, że stanowi swoiste państwko w państwie, była poddana audytowi Kongresu z prawdziwego zdarzenia już dobre ponad pół wieku temu, stąd równie dobrze Muska i jego ludzi

czeka jeszcze syzyfowa praca mierzenia pojemności czarnej dziury.

Otóż obok niewątpliwego aspektu komicznego, a także – co ważniejsze – podstaw do nadziei, że zakręcenie dolarowego kurka odetnie na dłużej tlen największym aberracjom, które w ostatnich latach znajdowały tak wielki posłuch i rezonans wśród polityków, mediów i NGOśw na świecie, trzeba zdać sobie przy tej okazji sprawę, że cała ta sytuacja obnażyła przede wszystkim, jak bardzo bantustany pokroju naszego kraju są bezbronne i podatne na najróżniejsze obce wpływy, byle były one odpowiednio ubrane, a zwłaszcza wystarczająco okraszone benefitami.

REWOLUCYJNY PROCEDER

To jednak, co w tym zjawisku jest naprawdę wyjątkowe, to potencjał wywoływania zdumienia, oburzenia czy przerażenia – reakcji skądinąd słusznych – podczas gdy w rzeczywistości mamy, mimo wszystko, do czynienia ze swego rodzaju tajemnicą poliszyneł. Innymi słowy, gdzieś z tyłu głowy wszyscy

Wiedzieliśmy, że odpowiedzenie sobie na pytanie: „Ile minut zajmuje wydrukowanie kilku milionów dolarów?” jest czasem najsensowniejszym wytłumaczeniem decyzji bądź przynajmniej orientacji sterujących naszą rzeczywistością polityczną i społeczną, w innym wypadku niezrozumiałych.

Jest to zresztą sekret od czasu do czasu potwierdzany przez twarde fakty, jak np. udowodnione historycznie finansowanie części ojców założycieli Unii Europejskiej przez kontrolowane przez CIA think tanki, fundacje itp. Sęk jednak w tym, że w obecnym przypadku mowa, po pierwsze, o niesłuchaniu silnych, zespolonych wpływach w skali globalnej. Po drugie, mowa nie o pospolitym lobbingu, a o działaniu natury właściwie wywrotowej, o czymś, co można by wręcz nazwać antydemokratycznym finansowaniem walki politycznej w poszczególnych krajach celem pacyfikacji niepokornych rządów i polityków. W końcu mowa o finansowaniu – jak już wspominałem – wojny antycywilizacyjnej wypowiedzianej zarówno poszczególnym narodom, jak i w sumie ogółowi ludzkości (skoro aż w takim dalekim Nepalu finansowano szerzenie ateizmu za pomocą zielonych banknocików z napisem: „W Bogu nasza ufność”).

Chodzi zatem o rewolucyjny proceder, który można by – w zasadzie bez publicystycznego nadużycia – porównać pod każdym względem do działań stolicy Babilonu z Apokalipsy św. Jana: „Winem zapalczywości swojego nierządu napoiła wszystkie narody, i królowie ziemi dopuścili się z nią nierządu, a kupcy ziemi wzbogacili się ogromem jej przepychu” (Ap 18, 3).

Ma się rozumieć, w Muskowych odkryciach amerykańską opinię publiczną rozpałił przede wszystkim aspekt „kupowania” wpływów medialnych, których stronnictwo doświadczała w ostatnich wyborach, nie mówiąc o parasolu ochronnym, który rozpięły one nad przykrą niedołętnością Joe Bidena podczas jego prezydentury czy skandali dotyczących jego rodziny. Szokuje Amerykanów również niedorzeczność finansowanych projektów rzekomej pomocy humanitarnej, jak np. realizacja irańskiej wersji „Ulicy Sezamkowej” czy zajęcia z garncarstwa w Maroku – a są to w sumie łagodniejsze przykłady. W każ-

dym razie, ogólnie rzecz biorąc, przedmiotem skandalu w USA jest przede wszystkim gigantyczne trwonienie środków publicznych, które rodzi wręcz pytanie o ich kradzież.

Nas natomiast powinien zwłaszcza zastanawiać mechanizm kupowania zagranicznych wpływów – jego skala i złożoność oraz, w sumie, brak realnych zapór przeciw jego negatywnym skutkom. Mówiąc o złożoności tego zjawiska, trzeba tu mimo podgrzanej atmosfery zaznaczyć, że nie jest ono bynajmniej czarno-białe i zero-jedynkowe. Choć USAID jest tylko jedną z twarzy tego skandalu, to pamiętajmy, że ta przechodząca obecnie burzę i być może docelowo skazana na likwidację agencja została utworzona przez prezydenta Johna Kennedy’ego w dobie zimnej wojny, pod wdzięczną nazwą Amerykańskiej Agencji na rzecz Międzynarodowego Rozwoju. I rzeczywiście to amerykańskie pieniądze przyczyniły się do budowania opozycji do sowieckiego totalitaryzmu u schyłku zimnej wojny czy następnie do rugowania postsowieckich wpływów w bloku wschodnim w latach 90.

Należy to oczywiście zaliczyć Amerykanom na plus, choć beneficjentom nie zawsze towarzyszyły świadomość i czujność, że nie ma czegoś takiego jak dolary za darmo, a otrzymaną pomoc spłaca się czasem latami, choćby – a jest to tylko jeden z licznych możliwych przykładów – w formie nie zrównoważonego systemu podatkowego, do dziś umożliwiającego w Polsce obcemu kapitałowi minimalizację podatkową, z czego tenże zagraniczny kapitał, jak wiadomo, ooczko korzysta.

Nie rzecz tu jednak rozstrząsać plusy i minusy doby transformacji; chodzi o znacznie późniejszą ingerencję w wewnętrzne sprawy państw demokratycznych i wpręganie ich w wieloraką lewacką agendę globalną co, w ostateczności, przybrało w ostatnich latach nawet znamiona cichego przywracania ko-

munisty tylnymi drzwiami, w czym siły postępu z Waszyngtonu, Davos i Brukseli wykazywały zaskakującą zbieżność mimo możliwych różnic interesów.

BARBARZYŃSKIE PRAWIDŁO DEMOKRACJI

Przykładów tej nachalnej ingerencji politycznej nie trzeba szukać daleko. Być może najbardziej wymownym casusem, ogólnie, w naszym regionie jest przypadek Węgier. Warto tu przytoczyć komentarz Viktora Orbána do tych informacji wpływających do nas w ostatnim czasie z USA (potwierdzony w swej istocie przez wysłannika prezydenta Trumpa do spraw misji specjalnych, Richarda Grenella, w przeszłości dyrektora wywiadu krajowego). Cytuję za portalem Kresy.pl: „Liberalna globalna elita wykorzystała amerykański budżet i amerykański rząd, aby finansować swoje cele finansowe i ideologiczne. To zostało ustawione jako pomoc, ale w rzeczywistości było narzędziem wpływów politycznych. Pieniądze otrzymali z jednej strony od fundacji Sorosa, a z drugiej z oficjalnego budżetu rządowego Stanów Zjednoczonych. Wykorzystali te pieniądze, aby niszczyć swoje społeczności, wspierać migrację, politykę antyrodzinną, finansować działania związane z szaleństwem płciowym na całym świecie” (w rzeczywistości fundacja George’a Sorosa również była dotowana na niesłuchaną skalę przez USAID, więc inwestował on w rewolucję zarówno własne pieniądze, jak i te zebrane od amerykańskich podatników).

Przed wszystkim premier Węgier piętnował finansowanie działalności mającej za rzeczywisty cel odsunąć jego partię od władzy, a cały ten opis równie dobrze pasowałby do rządów Zjednoczonej Prawicy w Polsce, przynajmniej od strony ciągłego atakowania obozu władzy z każdego powodu i pod każdym względem, nawet najbardziej zakłamanym, choć szczerze przedstawianym. Jest to w sumie barbarzyńskie prawidło współczesnych demokracji, ale w tym wypadku w dodatku dofinansowanym z zagranicy. Otóż jeśli wieści o planowanym w USA śledztwie w kwestii wpływania administracji Joe Bidena na zmianę władzy w Polsce nie okażą się tylko plotkami, to być może kwestia ta nabierze w niedalekiej przyszłości dodatkowego znaczenia.

W Muskowych odkryciach amerykańską opinię publiczną rozpałił przede wszystkim aspekt „kupowania” wpływów medialnych

Sęk jednak w tym, że jakkolwiek byłyby to interesujące dla nas informacje, nie zmienia to faktu, że same elity skupione wokół Jarosława Kaczyńskiego nie brzydziły się finansowaniem rewolucji przez amerykańskie agendy, byle działania wywrotowe były skierowane w rosyjską strefę wpływów za naszą wschodnią granicą.

DOLAR DOLAROWI RÓWNY

Tu znowu Muskowe sensacje w zasadzie potwierdzają tajemnicę poliszynela: pomarańczowa rewolucja czy Majdan, a w sumie także gruziński epizod – wszędzie tam znajdziemy ślad amerykańskiego banknotu, którego posmak przecież niczym dla beneficjentów się nie różni, niezależnie, czy jest on wydawany na obalenie wpływów Kremla, promowanie agendy LGBT czy budowanie apokaliptycznej narracji na temat klimatycznej zagłady. Jeden zaś dolar wydany na obalenie rządów Wiktora Janukowycza jest arytmetycznie dokładnie wart tyle samo, co dolar finansujący podkopanie rządu Wiktora Orbána. Osobiście podejrzewam, że to w tym schizofrenicznym podejściu do amerykańskich dolarów – bardziej niż w strachu przed krzykiem liberalnych mediów, skądinąd przez te dolary zasilanych – tkwił bodajże zasadniczy powód niezdolności polskiej prawicy do zaprowadzenia choćby kontroli nad obcymi wpływami na naszą rzeczywistość polityczną i społeczną, choć temat był podnoszony niejednokrotnie – czy to przy okazji niedosłej ustawy o repolonizacji mediów, czy to wraz z próbą ówczesnego ministra środowiska, Michała Wosia, rzucenia w Polsce hasła wprowadzenia autentycznej ustawy o agentach wpływu.

Ten ostatni casus z 2020 r. jest o tyle ciekawy, że ówczesna negatywna reakcja NGO-sów na samą inicjatywę Wosia wiele nam mówi o korzyściach z podobnego ustawodawstwa, choćby natury psychologicznej. W rzeczy samej Ewa Kulik-Bielińska, dyrektor Fundacji Batorego, argumentowała wówczas, że podobne prawo jest zbędne, jako że obowiązujące przepisy podatkowe przy pewnych pułapach dotacji zagranicznych już zobowiązują organizacje pozarządowe do spowiadania się urzędem skarbowym z tejsze pomocy, co oczywiście było bardzo płytką odpowiedzią na pomysł zobowiązania podmiotów do

bezwzględnej transparentności wobec opinii publicznej pod groźbą surowych grzywien pieniężnych. Ale należy w tym wątku pójść o wiele głębiej: kwintesencją ustaw o agentach zagranicznych – niezależnie od tego, jaką konkretnie formę przybierają one w danym kraju – jest po prostu nazwanie rzeczy po imieniu: co do zasady nie ma czegoś takiego jak zagraniczne bezinteresowne finansowanie, a przynajmniej podstawowa ostrożność nakazuje, aby uznawać, że coś takiego nie istnieje, więc otrzymując dofinansowanie z zagranicy, po prostu określasz wobec nas, a także wobec siebie to, kim jesteś – a czy chcesz czy nie chcesz, jesteś wówczas obcym agentem wpływu.

Ma się rozumieć, podobne ustawodawstwo mogłoby w pewnych warunkach z automatu uruchamiać działalność służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa, ale myślę, że już sam ten pierwszorzędny element psychologiczny jest nie do przecenienia. Po pierwsze, ludzie skądinąd bezkrytycznie nastawieni do działalności finansowanej przez obce pieniądze prawdopodobnie kilkakrotnie zastanowiliby się, czy chcą być jawnie postrzegani jako obcy agenci wpływu. Po drugie, niezależnie od tego, czy dotyczyłoby to osób czy samych podmiotów, przede wszystkim opinia publiczna, a także szeregowi urzędnicy i politycy – wszyscy potencjalnie zainteresowani wiedzieliby jakby z automatu, że dana działalność, niezależnie od tego, jak bardzo chwalebna i nawet pożądana, ma mimo wszystko – i to z natury – znamiona obcej działalności wpływu, dlatego wymaga realnego nadzoru i hamulców możliwych do zaciągnięcia.

Potwierdzeniem zasadności takiego ustawodawstwa jest sam fakt jego istnienia w przypadku poważnych, gdyż wciąż suwerennych państw – w przypadku USA powstało tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej celem kontroli i ograniczenia wpływów nazistowskich. Z kolei Rosja – bo mówimy o największych graczach – wprowadziła swą ustawę w 2012 r., nie czekając na rewelacje Elona Muska, aby powiązać sobie kropki na geopolitycznej szachownicy. Bliżej nas prezydent Francji promulgował w 2024 r. w trakcie paryskich igrzysk olimpijskich – tak że weszła ona w życie praktycznie bez rozgłosu – ustawę mającą za

Dla beneficjentów smak dolara niczym się nie różni, niezależnie, czy jest on wydawany na obalenie wpływów Kremla, promowanie agendy LGBT czy budowanie apokaliptycznej narracji na temat klimatycznej zagłady

cel zapobieganie obcym ingerencjom we Francji. W tym celu wykorzystano ustawę z 2013 r. o transparentności życia publicznego, dodając do niej sekcję dotyczącą działań na rzecz obcego mocodawcy. Nie milkną z kolei echa krytyki ustawy o „przejrzystości obcych wpływów”, wprowadzonej również w 2024 r., tyle że w Gruzji, gdzie parlamentowi udało się jednak odrzucić weto prezydent Salome Zurbiszwili – fakt podnoszenia tej kwestii jako jednej z głównych kości niezgody na linii Gruzja – Unia Europejska (gdy tymczasem chodziło o rejestrację mediów i organizacji pozarządowych czerpiących ponad 20 proc. źródeł swego finansowania z zagranicy, co przecież jest znaczącym już odsetkiem) pokazuje, jak bardzo podobne finansowanie, ale bez transparentności, jest pożądanym narzędziem wpływu dla zachodnich ośrodków politycznych.

Jeśli te wymowne przykłady nie byłyby wystarczające, to wnioski dla naszego porządku prawnego wobec afery USAID powinny narzucać się same, aczkolwiek ewentualne moralizatorstwo hołubiące suwerenność nic nie zmienia czy to wobec niemocy krajowej do wytworzenia i wdrożenia podobnych aktów prawnych, czy to wobec Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej gotowego ukroić polskie akty prawne zapewniające nam zbyt rzeczywistą odporność na zagraniczną zależność. Wobec tych przeszkód pozostanie nam być tym bożym igrzyskiem, na którym bogowie – wprawdzie docześni i przemijający, ale niestety obcy nam bogowie – rozgrywają swe zawody z pomocą angażowanych w nie tubylców.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wszystko wskazuje na to, że Donald Tusk cynicznie wciągnął Rafała Brzostkę (po prawej) w odpowiedzialność za niechcąco kłapę. FOT. PAWEŁ SUPERNIAK/PAP

Stare numery Tuska



Rafał A. Ziemkiewicz

Cała szumnie zapowiadana konferencja o „roku przełomu”, wielkich inwestycjach i nadchodzącej nowej erze polskiej potęgi i dobrobytu od początku do końca była typowym dla Donalda Tuska łgarstwem. Jedynym jej sensem było rzucenie koła ratunkowego Rafałowi Trzaskowskiemu, który swą nieudolną kampanią zamienił nadchodzące wybory prezydenckie w plebiscyt nad oceną recydywy rządów PO

Jak w „Panu Jowialskim” Aleksandra Fredry: „Znacie?”, „Znamy!”, „To posłuchajcie...”. Zapowiadana z emfazą i nadymana propagandowo przez poddane władzy media konferencja,

na której Donald Tusk ogłosił, że rok 2025 będzie „rokiem przełomu” i Polska dokona wielkiego skoku rozwojowego (w domyśle: jeśli społeczeństwo pozwoli mu domknąć system w wyborach prezy-

denckich), nikogo niczym nie zaskoczyła. Wszystkie chwytły, których użył na niej premier, stosuje on rutynowo od prawie 20 lat. Internet zresztą zaroził się od przypomnień podobnych „przełomów” z jego poprzednich rządów: od starych filmów, na których Tusk zapowiada dwie elektrownie atomowe do roku 2020, wejście do strefy euro do 2011, rewolucję legislacyjną, powołanie Rady Gospodarczej i komisji Palikota przygotowującej radykalną deregulację gospodarki i ułatwienia dla biznesu etc.

POWTÓRKA BAJECZKI

Wszystko powtarza się nawet w drobiazgach – np. zarówno w każdej z poprzednich spraw, jak i obecnie Tusk do ostatniej chwili nie poinformował nikogo,

nie tylko koalicjantów, lecz także nawet własnych bliskich współpracowników, co zamierza ogłosić. Do ostatniej chwili nie wiedzieli oni, na jakie pytania mediów się przygotować; nie dziw, że wielu zakuło się podobnie jak w 2008 r. minister finansów Jan Vincent-Rostowski, gdy zmuszony był uzasadniać rychły termin przyjęcia unijnej waluty, o którym dowiedział się kilka minut wcześniej. Nawet w gorliwie rządowej TVP oddany obecnej władzy Dariusz Rosati zmuszony był stwierdzić, że „chyba ktoś się pomylił”, bo 650 mld zł obiecanie przez premiera na inwestycje to wcale nie jest – jak twierdził tryskający optymizmem Tusk, „kwota rekordowa; takiej nie było jeszcze w historii polskiej gospodarki!”, ale przeciwnie – kwota wyraźnie mniejsza niż za rządów PiS (16,5 proc. PKB, gdy w roku 2023 było to 18 proc.) i lokująca nas „na szarym końcu Unii Europejskiej”.

Zresztą i ta kwota jest wzięta, najdelikatniej mówiąc, z sufitu. Do owych „najostrożniej szacując” 650 mld zł wliczył bowiem Tusk oczekiwane inwestycje zachodnich koncernów, oznajmiając, że np. „są już prawie dopięte” inwestycje w Polsce Google i Microsoftu. To powtórka bajeczki o „inwestorze z Kataru”, puszczanej w obiegu po tym, jak decyzją komisarz europejskiej Neelie Kroes zamknięte zostały za rzekome złamanie unijnego prawa o pomocy publicznej stocznie w Gdyni i Szczecinie. Warto przypomnieć, że decyzja ta dotyczyła jednocześnie także kilku innych europejskich krajów, ale tylko Polska się jej podporządkowała. Rządy niemiecki, belgijski i francuski zamiast zmyślać dla uspokojenia opinii publicznej fikcyjnego inwestora, odwołały się bowiem od decyzji do TSUE – i wygrały.

Oczywiście Google i Microsoft w przeciwieństwie do „wielkiego inwestora z Kataru” istnieją naprawdę, ale gdyby rzeczywiście zamierzały w Polsce inwestować na taką skalę, by miało to wpływ na pobudzenie gospodarki, i gdyby inwestycje takie naprawdę były już w fazie „ostatecznego dopinania”, musiałyby być o nich wiadomo co najmniej rok przed konferencją. Świat korporacyjny ma swoje żelazne reguły. Wielkie inwestycje wymagają zgodnego z nimi przygotowania, wyboru doradcy inwestycyjnego, audytów, obsługi prawnej, wymiany listów intencyjnych i gwarancji – firmy, najogólniej

mówiąc, konsultingowe, nie mogą takich planów nie znać z wyprzedzeniem, a gdy one się dowiadują, dowiadują się także biznesowe media.

Tymczasem jedyna inwestycja zapowiadana dotąd w Polsce przez Google to zakup warszawskiego wieżowca, który obecnie koncern wynajmuje na swoje biura. Zapowiedź ta pochodzi zresztą z roku 2022 i z jakichś powodów transakcji dotąd nie sfinalizowano, ale choć jej wartość jest poważna – media biznesowe pisały o 700 mln euro – to trudno zakup biurowca uznać za znaczący impuls rozwojowy dla polskiej gospodarki.

Triumfalne ogłoszenie przez propagandę rządową jako „wielkiej inwestycji” umowy o strategicznym partnerstwie z Google w dziedzinie implementowania AI w sieciach energetycznych i innej infrastruktury może zrobić wrażenie tylko na bardzo nieuważnym czytelniku, który przegapił, że chodzi o zainwestowanie przez technologicznego giganta 5 mln dolarów. Tak – milionów. Około 20 mln zł, i to w ciągu 10 lat. Trochę jakby mniej niż obiecanie 650 mld, ale ziarnko do ziarnka...

Podobnie Microsoft – jedyna publiczna zapowiedź jego inwestycji w naszym kraju to plan organizowania szkoleń polskich pracowników w zakresie wykorzystywania w ich zawodach narzędzi sztucznej inteligencji.

NISZCZENIE POLSKIEJ NAUKI

Szczytów bezczelności sięgnął premier urzędującego od roku rządu, ogłaszając sześciopunktowy plan osiągnięcia „gospodarczego przełomu”, który jakoby ma wynieść Polskę szybko do poziomu najbogatszych krajów Unii Europejskiej. Każda z tych sześciu obietnic jest dokładnym zaprzeczeniem praktyki rządzenia ostatnich 14 miesięcy. Punkt pierwszy to „inwestycje w naukę i badania”. Po tym, jak minister Wierczonek z wiceministrem Gdulą zniszczyli najbardziej innowacyjną i odnoszącą największe sukcesy w polskiej nauce instytucję badawczą – centrum badań sztucznej inteligencji IDEAS Piotra Sankowskiego („restrukturyzacja” IDEAS miała się skończyć we wrześniu, potem w październiku, listopadzie, najdalej do końca ubiegłego roku – i nadal ma się skończyć w najbliższym czasie)! Czy jednak bodaj niepierwszą decyzją rządu

Tuska w nauce było wycofanie finansowania projektu budowy komputera kwantowego na Uniwersytecie Poznańskim? Poza tym ludzie Tuska zniszczyli też Sieć Badawczą Łukasiewicz, z której wyszczuto naukowców po Oksfordzie, MIT i innych renomowanych uczelniach, powierzając kierownicze stanowiska partyjnym koleśiom. I oto nagle się okazuje, że „nauka i badania” to zdaniem premiera tego rządu podstawa obiecywanego „przełomu” i cywilizacyjnego awansu!

Lista spustoszeń poczynionych przez PO w samej tylko nauce jest długa, a przecież nie można nie powiedzieć tu, jak mają się zapowiedzi do praktyki w pięciu pozostałych filarach obiecanego gospodarczego przełomu. Tusk triumfalnie zapowiada „drugą elektrownię atomową” – po tym, jak odłożył na święty nigdy budowę pierwszej; wielkie inwestycje w polskie porty – po tym, jak zablokował udrożnienie żeglugi na Odrze; budowę terminali zbożowych w Gdyni i Świnoujściu oraz rurociągu z portu gdańskiego do Petrochemii Płock. Obiecuje też miliony na PKP (co prawda, do roku 2032 – w takiej konwencji obiecać można też wysłanie Polaka na Marsa do roku 2040 albo i budowę polskiej Maszyny Czasu do 2064 r.), w chwili gdy likwidowane jest PKP Cargo i gdy oficjalnie już wykastrował Tusk projekt CPK z uzupełnienia lotniska kolejowymi „szprychami”, które miały połączyć je ze średnimi i mniejszymi miastami.

Najgłośniejszym jednak nusem z konferencji – z całą pewnością wygenerowanym świadomością jako typowa dla Tuska PR-owska przykrywka – było wciągnięcie na rządowy pokład znanego biznesmena Rafała Brzozki, twórcy odnoszącego sukcesy nie tylko w Polsce InPostu, któremu Tusk zaproponował publicznie i „spontanicznie”, by przygotował mu „wytyczne” do oczekiwanej przez biznes deregulacji, a ten propozycję przyjął. Nie ma wśród komentatorów zgody, czy była to wyreżyserowana ustawka czy też Tusk zaskoczył Brzozkę swą propozycją. W drugim wypadku byłoby to zagranie ryzykowne, bo przecież biznesmen mógł (i powinien) odpowiedzieć: „Panie premierze, pan nie potrzebuje żadnych więcej wytycznych i propozycji, co i jak deregulować, ma ich pan już tyle, że może się w nich kąpać! Po prostu

■ weź pan je wreszcie wprowadź w życie, zamiast prosić o następne!.

W istocie, poza być może likwidowaniem szarej strefy i kolejnymi reformami służby zdrowia przez na przemian współpłacenie/odchodzenie od współpłacenia, o żadnej chyba dziedzinie nie nagađano się w polskiej polityce tak wiele i nie na-produkowano tylu projektów, jak właśnie w kwestii „deregulowania”, „odbiurokratyzowania” i „tworzenia przyjaznych warunków dla przedsiębiorczości”. Prace nad odbiurokratyzowaniem prowadzili i wicepremier Leszek Balcerowicz, i wicepremier Jerzy Hausner, komisje analogiczne do tej, którą teraz ma poprowadzić Brzoska, powierzano już innym biznesmenom – Romanowi Klusce i Januszowi Palikotowi; była też komisja Adama Szejnfelda, były deregulacyjne projekty Ryszarda Petru i Jarosława Gowina, a już zupełnie niedawno był projekt deregulacyjny przygotowany przez PiS i w kwietniu 2024 r. przejęty (rzadki wypadek) przez rządzącą koalicję oraz skierowany do dalszych prac w rządzie. Przedziwne, swoją drogą, że Mateusz Morawiecki, który – delikatnie mówiąc, niezbyt zręcznie – próbował wykorzystać zagrywkę Tuska i odwrócić ją przeciwko niemu, deklarując publicznie gotowość udziału w pracach postulowanej „komisji Brzoski”, zamiast tego nie przypominał o tym gotowym już od dawna i procedowanym od prawie roku przez rząd Tuska projekcie.

Kwintesencją absurdu jest fakt, że wspomniany projekt omawiał rząd Tuska (o czym premier raczej nie mógł nie wiedzieć, chyba że akurat przysnął) na posiedzeniu odbytym zaledwie tydzień przed sławną konferencją „Polska. Rok przełomu”. Zrelacjonował to „Dziennik Gazeta Prawna”, informując, że sprawa ugrzęzła w martwym punkcie, bo przy deklaratywnej zgodzie, że deregulować trzeba, koalicjanci ani w ząb nie mogą się dogadać, który konkretnie przepis zlikwidować. Jak zwykle w takich razach, gdy z poziomu ogólników przechodzi się do konkretnów, każda brana na tapetę regulacja okazuje się akurat strategicznie ważna dla kraju (czytaj: dla jakiegoś lobby, wobec którego jak nie ten, to inny koalicjant ma zobowiązania) i jej niestety ruszyć nie można. Poza wszystkim nawet gdyby koalicjanci doszli do zgody, deregulacja polskiej gospodarki wymagałaby

jako warunku sine qua non wyjścia z Unii Europejskiej, bo to niezliczone unijne dyrektywy i rozporządzenia są głównym źródłem większości biurokratycznych absurdów – i to tych właśnie najbardziej dolegliwych. A o takim naruszeniu pryncypiów mowy przecież nie ma i być nie może w najśmielszych nawet deregulacyjnych snach!

WROBIĆ RAFAŁA BRZOSKĘ

Wszystko wskazuje więc na to, że świadom kompletnej niemożności w kwestii „poprawy warunków dla biznesu” Tusk cynicznie wciągnął Brzoskę w odpowiedzialność za niechybną klępkę. Znowu stary numer: tak samo przecież pograł sobie Tusk z Jerzym Owsiakiem, przewalając na niego odpowiedzialność za pomoc (czy raczej właśnie jej brak) dla powodźian. Owsiak wszedł w to ochoczo, przytulając w zamian dla swej fundacji grube miliony ze spółek Skarbu Państwa i ministerstw. Jakie są motywacje Brzoski? Tego na razie nie wiemy. Teza, że został przez Tuska zaskoczony i postawiony publicznie w niezręcznej sytuacji, wydaje się karkołomna, ale na jej rzecz przemawia to, że biznesmen nie mu

na pozycję 70., jak raz obok Kambodży; w rankingu dobrobytu na przedostatnie, 26. miejsce w Europie, a pod względem dynamiki wzrostu gospodarczego wyprzedziła nas Rumunia. Przygotował też już sobie na przyszłość drogę do wycofania się ze wszystkich deregulacyjnych zapowiedzi: „Otworzyłem się na postulaty biznesmenów – powie – ale wiecie-rozumiecie, oni się okazali kierować swoim klasowym egoizmem, nie można się na ich propozycje zgodzić, rozwój gospodarczy – tak, ale nie kosztem ochrony pracowników i zwykłych Polaków” itd. Mało kto zauważył, że nagośnionemu wciągnięciu w deregulację Brzoski towarzyszyła też zapowiedź stworzenia jakiejś enigmatycznej na razie „komisji naukowców”, dublującej prace tego pierwszego.

Dodajmy, że jeszcze niedawno spekulowano (choć sam biznesmen nigdy tego nie potwierdził) o jakimś nowym projekcie politycznym, któremu miałyby założyciel InPostu patronować. Teraz się spekuluje, że unurzanie go w nieuchronnym fiasku „deregulacji” miało ze strony Tuska posłużyć spaleniu tego projektu, zanim jeszcze się narodził.

Zostawmy te polityczne, personalne pogrywki na boku, wróćmy do meritum – polskiej gospodarki. Otóż cała szumnie zapowiadana konferencja o „roku przełomu”, wielkich inwestycjach i nadchodzącej nowej erze polskiej potęgi oraz dobrobytu od początku do końca była typowym dla Tuska łgarstwem. Jedynym jej sensem było rzucenie koła ratunkowego Rafałowi Trzaskowskiemu, który swą nieudolną kampanią zamienił nadchodzące wybory prezydenckie w plebiscyt nad oceną recydywy rządów PO. Aby nie wypadł on tak samo, jak w USA wypadł analogiczny plebiscyt nad recydywą rządów Demokratów Joe Bidena, Tusk próbuje zbudować propagandową symetrię, w której wyborcy zamiast pomiędzy tym, co było za PiS, a tym, co jest za PO, wybieraliby pomiędzy tym, co było za PiS, a tym, co ma być za rządów PO – wielką, bogatą Polską z kwitnącą, innowacyjną nauką, portami, kolejami, taną energią, „inteligentnym rynkiem kapitałowym” (cokolwiek by to miało znaczyć) itd., a wszystko to „do roku 2032”.

Cała reszta to pic. Ta wizja zresztą – też, ale picowanie to przecież drugie imię Tuska.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Nawet oddany obecnej władzy Dariusz Rosati stwierdził, że deklarowana przez Tuska kwota na inwestycje lokuje nas w ognie UE

tu absolutnie niczego do ugrania (Nawet gdyby, teoretycznie, Tusk coś mu zakulisowo obiecał, czym mógłby go skusić przy tej skali interesów, które prowadzi?), za to ma wszystko do stracenia, z tak ważną w biznesie reputacją na czele.

Tusk natomiast nie tylko zdołał odłożyć na później rozwiązanie nierozwiązywalnego problemu (Trzeba teraz przecież dać komisji Brzoski czas na zebranie się i zadziałanie, prawda? Aby do wyborów!) i przykryć, że w najnowszym międzynarodowym rankingu przyjazności dla biznesu Polska spadła pod jego rządami w stosunku do roku 2023 aż o 10 miejsc,

Błyskawiczne zawieszenie w czynnościach Michała Ostrowskiego, zastępcy prokuratora generalnego, zarządzane przez Adama Bodnara, to kolejna próbka pałkarskiego stylu ekipy Donalda Tuska. Sama próba prokuratorskiego sprawdzenia, czy doszło do złamania prawa, została stłumiona z absolutnym lekceważeniem ducha i litery prawa.

Odwołując Ostrowskiego, Bodnar powołał się na art. 150 par. 1 Prawa o prokuraturze. Głosi on: „Prokurator może być zawieszony w czynnościach na okres do sześciu miesięcy, jeżeli z uwagi na charakter przewinienia dyscyplinarnego konieczne jest natychmiastowe odsunięcie go od wykonywania obowiązków”. Artykuł precyzuje, że przepis ten stosuje się wyłącznie w sytuacjach nadzwyczajnych i skrajnych, jak np. złapanie prokuratora na gorącym uczynku popełnienia przestępstwa. Żadna z tych okoliczności w wypadku legalnych działań prokuratora Ostrowskiego nie zachodziła. Ale Bodnar przyzwyczaił się już do działania „na rympał”. I nikim w koalicji to nie wstrząsnęło.

Co charakterystyczne, prorządowe media nie bardzo wiedziały, jaką taktykę przyjąć wobec kolejnego przykładu odgórnego bezprawia. Jedne kontynuowały wyśmiewanie twierdzeń prezesa Trybunału Konstytucyjnego Bogdana Świączkowskiego o faktycznym stanie wojennym wprowadzonym w polskim prawie przez ekipę Tuska. Inne, jak np. „Gazeta Wyborcza”, poświęciły zawieszeniu Ostrowskiego minimalną ilość miejsca.

Nie znaczy to jednak, że ten ostatni przykład brutalnych metod stosowanych pod hasłem „demokracji walczącej” nie wywołał złych przeczuć.

Dziennik „Fakt” zamieścił ostrzeżenia eurodeputowanego PiS Jacka Ozdoby, że rządzący zrobią wszystko, żeby sfałszować wyniki wyborów prezydenckich. Ozdoba ostrzegł: „Już pojawiają się głosy, że jeżeli Sąd Najwyższy nie będzie mógł zatwierdzić wyborów, no to będzie to rzeczywiście pat konstytucyjny – chociaż przepisy i stan prawny jest oczywisty i to, co robią rządzący, to są ich wymysły”. Głos niepokoju pojawił się też zza Odry. Portal Deutsche Welle w redakcyjnym komentarzu wyraził obawę, że ewen-

tualna wygrana Karola Nawrockiego, obywatelskiego kandydata PiS, jest wciąż możliwa i może to oznaczać „powtórkę scenariusza Dudy”. Przywołany przez „DW” sprzyjający ekipie Tuska politolog Piotr Buras ostrzega, że ewentualna porażka Rafała Trzaskowskiego może spowodować kryzys koalicji i przedterminowe wybory parlamentarne, po których do władzy może powrócić PiS. „Rzadko kiedy stawka wyborów prezydenckich w Polsce była tak wysoka dla największych obozów politycznych”.

Na zasadzie symetrycznej równowagi PiS się obawia, że przy negowaniu przez Platformę prawomocności izby Sądu Najwyższego zatwierdzającego dotąd prawidłowość wyborów Donald Tusk w razie porażki Trzaskowskiego metodą siłową przeforsuje korektę wyników elekcji.

Taki stan wzajemnej podejrzliwości dwóch największych sił politycznych trzy miesiące przed wyborami prezydenckimi nie wróży dobrze polskiej polityce. Błyskawiczne zawieszenie prokuratora

Polska polityka bez kagańca



Piotr Semka

Stan wzajemnej podejrzliwości dwóch największych sił politycznych trzy miesiące przed wyborami prezydenckimi nie wróży dobrze polskiej polityce. Ludzie Tuska nie mają żadnych zahamowań. Z kolei PiS się obawia, że skala demonstracji w obronie demokracji i uczciwości wyborów jest trudna do przewidzenia. Jeśli nie będą one masowe, to Tusk może zdecydować się na ich siłową pacyfikację

Obie wypowiedzi pokazują więc, że po obu stronach politycznej barykady równolegle do kampanijnej gorączki pojawia się obawa o przyszłość. Publicyści związani z Platformą biją na alarm, że ewentualna porażka Rafała Trzaskowskiego może wywrócić dominację Donalda Tuska i przynieść powrót do władzy partii Jarosława Kaczyńskiego. Niedawno sporą karierę w sieci zrobiło nagranie prorządowej dziennikarki Dominiki Długosz, która w jednym z programów ponuro wieszczyła skalę politycznego odwetu PiS nad PO w razie wygranej.

Ostrowskiego pokazuje, że ludzie Tuska nie mają żadnych zahamowań. Z kolei PiS się obawia, że skala demonstracji w obronie demokracji i uczciwości wyborów jest trudna do przewidzenia. Jeśli nie będą one masowe, to Tusk może zdecydować się na ich siłową pacyfikację.

NIEMIECKI WUJEK DOBRA RADA

Klaus Bachmann to autor, którego analizy sytuacji politycznej w Polsce czytane są bardzo uważnie po lewej i prawej stronie polskiej sceny politycznej. Ten politolog i wykładowca Szkoły Wyższej

Psychologii Społecznej w Warszawie zasłynął ponad półtora roku temu tekstem na łamach niemieckiego dziennika „Berliner Zeitung”, w którym postawił złowrobną tezę. Ogłosił wówczas, że jeżeli dojdzie do władzy ekipa Donalda Tuska, to rząd, który naprawdę będzie chciał rządzić i rozliczać PiS, będzie musiał posłużyć się całą siłą państwa policyjnego. Bachmann martwił się co prawda, że będzie to kłopotliwa sytuacja dla Komisji Europejskiej, która będzie świadkiem sytuacji, w której Polska nie będzie wcale bardziej demokratyczna ani bardziej konstytucyjna w porównaniu z epoką PiS. Ale ta melancholijna uwaga sprawiała wrażenie pośredniego uznania, że nie ma innej drogi, aby trwale odsunąć partię Jarosława Kaczyńskiego od wpływu na Polskę.

Tekst Klausa Bachmanna przyjęto po prawej stronie jako swoistą zapowiedź, że decydujące czynniki unijne mogą przyznać Tuskowi swoistą *carte blanche* na łamanie prawa przy rozliczaniu PiS. Wszystko to ziściło się w kolejnych miesiącach.

Z tym większą uwagą warto przyjąć najnowszy tekst Bachmanna na łamach „Wyborczej” z 30 stycznia br. Tytuł był dość konfrontacyjny: „A jeśli po wyborach Duda nie wyprowadzi się z Pałacu Prezydenckiego?”. Bachmann kreśli w nim wizję możliwego konfliktu wokół wyników wyborów. Jak profetycznie przewiduje: „Jest czerwiec 2025 roku, wybory prezydenckie się odbyły, ale wynik nie jest jasny. Przeciaki z PKW wskazują na to, że między kandydatami drugiej rundy jest bardzo niewielka różnica, a zwycięstwo zależy od tego, czy PKW uwzględni głosy oddane na jednego z kandydatów po zamknięciu lokali wyborczych. PKW ostatecznie uwzględni je, ale w skład komisji wchodzi sędziowie, którzy w myśl uchwały trzech połączonych izb Sądu Najwyższego nie są sędziami. Przegrany komitet wyborczy natychmiast odwołuje się do Sądu Najwyższego, gdzie pierwsza prezes SN kieruje jego skargę do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, która w opinii jednego z komitetów (i w myśl orzecznictwa Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości UE) nie jest sądem”.

Bachmann kreśli wizję codziennych demonstracji pod budynkiem SN, w któ-

rych stają naprzeciw siebie zwolennicy obu komitetów. W jego wizji urzędujący prezydent Andrzej Duda ogłasza, że do rozstrzygnięcia sprawy przez polski i tylko polski sąd nie ma zamiaru opuszczać gmachu przy Nowym Świecie (błąd rzeczowy Bachmanna – Pałac Prezydencki znajduje się przy Krakowskim Przedmieściu).

Bachmann formułuje mroczną diagnozę: „Po wyborach w maju Polska będzie jak Gruzja? To całkiem realna groźba. Wszystkie niezbędne elementy takiego kryzysu mamy już obecnie. Więcej – wiemy też, która strona taką konfrontację wygra: ta, która ma poparcie rządu. Rząd bowiem ma aparat, urzędników, rozdzielą pieniądze z podatków i wydaje rozkazy policji, służbom specjalnym i wojsku. Jeśli chce, może wyprowadzić sędziów TK, prezydenta i całą IKNSP z budynku oraz zamknąć ich w areszcie [...] W takich konfliktach zawsze wygrywają ci, którzy mają po swojej stronie zasoby państwa [...] Na tym kończą się podobieństwa

z Gruzją: tam wygrała opcja prorosyjska, antyunijna i antyliberalna, tu wygrałaby opcja prounijna i liberalna. W obu przypadkach zwycięzcą okazuje się ta strona, która już rządzi”.

Klaus Bachmann to publicysta lubiący stosować brutalną logikę i formułować drapieżne tezy. Nawet on jednak uznał, że taka polityczna ekstrapolacja nacechowana pośrednim zrozumieniem dla planów rozprawienia się przez ekipę Tuska z ewentualnymi demonstracjami oburzenia jawi się zbyt wyzywająco brutalnie.

Z tego powodu ostatnią część swego tekstu poświęca apelowi do obu najważniejszych stron sporu politycznego w Polsce o porozumienie w sprawie rozładowania kryzysu konstytucyjnego. Chodzić ma o wspólne działania, które miałyby odbudować prestiż Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego. Jednak natychmiast stwierdza, że skomplikowany proces zmiany konstytucji i przeforsowania nowych ustaw wyma-



Zawieszenie w czynnościach Michała Ostrowskiego (na zdjęciu), zastępcy prokuratora generalnego, zarządzane przez Adama Bodnara to kolejna próbka pałkarskiego stylu ekipy Donalda Tuska. FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP



gających zgody zarówno PO, jak i PiS w warunkach rywalizacji prezydenckiej jest bardzo trudny.

Trudno nie odnieść wrażenia, że o wiele ważniejsza jest pierwsza część tekstu, w której Bachmann z posępnym realizmem przewiduje, że w razie sporu o legalność wyborów wygra ta strona, która ma czynniki siłowe. Niemiecki publicysta mało wiarygodnie wypada w roli promotora pojednania. Jak można w ogóle brać pod uwagę rozmowy w sprawie zmiany konstytucji, które toczyć się mają równolegle do takich przykładów łamania prawa, jak odwołanie zastępcy prokuratora generalnego Michała Ostrowskiego? W tym samym tekście jako jeden ze scenariuszy dotyczących PiS Bachmann opowiada o politycznym planie, w którym „rządzającym udaje się rozbić PiS na kilka drobnych partyjek”.

Nie wątpię, że teksty Bachmanna są uważnie czytane w niemieckim MSZ. Jego ostatni artykuł można potraktować jako oswojenie polityków niemieckich

– a może i szerzej: unijnych – z wizją przeforsowania kandydata Platformy na najwyższy urząd nawet przy poważnych zastrzeżeniach co do przebiegu wyborów.

Zwraca uwagę jedno – Bachmann przez ostatnie półtora roku nie miał nic do powiedzenia na temat siłowych metod w przeforsowywaniu zasad „demokracji walczącej”, a raptem budzi się trzy miesiące przed elekcją prezydencką. Odkrywając, że w Polsce może powtórzyć się scenariusz z Gruzji. Ta skala cynizmu musi prowadzić do przekonania, że obawy o konflikt to zasłona dymna. Znacznie ważniejsza jest w tekście teza, że ewentualne złamanie protestów siłą może być znacznie ważniejszą koniecznością dla „zablokowania populistom drogi do władzy”.

CZY BĘDZIE „DRUGA RUMUNIA”?

A więc wariant siłowy? Nieco optymizmu przynoszą wiadomości z Rumunii. Ustąpił tam niedawno ze swego

stanowiska dotychczasowy liberalny prezydent Klaus Iohannis, który wcześniej chciał sprawować władzę i kontrolować sytuację aż do majowych powtórzonych wyborów prezydenckich. Przypomnijmy, że dwa miesiące temu Sąd Najwyższy Rumunii unieważnił pierwszą turę wyborów prezydenckich bardzo wątpliwym zarzutem znaczącego wpływu czynników zagranicznych na kampanię wyborczą w tym kraju. Bardzo wielu obserwatorów uznawało to za brzydki chwyt strony liberalnej, mający zapobiec wygranej skrajnie prawicowego i prorosyjskiego kandydata na prezydenta Călina Georgescu. Teraz, mimo powtarzania wyborów, Georgescu nadal w sondażach znajduje się w pozycji faworyta. A prezydent Iohannis zmuszony został do przedwczesnego odejścia.

Wszystko to pokazuje, że ewentualne zdarzenie na linii rząd – opozycja w razie wątpliwości wyborczych nie musi zakończyć się sukcesem ekipy Tuska. Ewentualne cuda nad urną nie zostałyby też zapewne zignorowane przez politykę USA pod rządami Donalda Trumpa.

A co z hasłem kompromisu konstytucyjnego? Oczywiście jest ono jak najbardziej słuszne. Ale trudno sobie wyobrazić jego realizację w trakcie aktualnej kampanii wyborczej. Ewentualne rozmowy na temat resetu konstytucyjnego mogłyby się rozpocząć tylko po porzuceniu przez Donalda Tuska planów zaciągnięcia do więzień prawie wszystkich istotnych liderów PiS. To, że z wielkimi fanfarami obóz rządowy rozpoczyna właśnie śledztwo w sprawie dwóch wień, które ma osiągnąć samego prezesa PiS, źle wróży jednak jakimkolwiek szansom na dialog.

Prawica spychana wciąż do narożnika nie ma innego wyjścia, jak tylko „gryźć trawę” i walczyć o jak najlepszy wynik Karola Nawrockiego. Podobnie jak w przypadku ubiegłorocznych wyborów w USA jedynie zdecydowana przewaga głosów oddanych na Nawrockiego oddalać będzie pokusy o „cuda nad urną”. To prawa strona ma dziś powody, aby obawiać się oparcia na czynnikach siłowych ekipy Platformy. I w ciągu najbliższych trzech miesięcy nic się w tej mierze nie zmieni. Tak jak nie zmieni się to, że zarówno koalicja, jak i opozycja będą nieufne wobec rywali do końca.

RYSZARD GROMADZKI: W wyborach prezydenckich w Polsce od 1990 r. nigdy nie zwyciężył kandydat antysystemowy, niezwiązany z żadną partią. Od 20 lat w drugiej turze wyborów rywalizują wyłącznie kandydaci PiS i PO. Ma pan pomysł, jak przebić się przez ten układ?

DR ARTUR BARTOSZEWICZ: Zdecydowałem się złożyć ofertę obywatelom Rzeczypospolitej w formie programu „trzech siódemek”, efekt jest nadzwyczajny. Polakom nie tylko odpowiada ten sposób myślenia, lecz także z własnej inicjatywy ruszyli do działań związanych ze zbiorą podpisów na rzecz mojej kandydatury. Tylko wtedy, kiedy zebranych zostanie 100 tys. podpisów i zostaną one złożone do PKW, a ta zweryfikuje ich poprawność, będę mógł jednoznacznie powiedzieć, że staję się kandydatem na prezydenta RP. Do tego momentu uprawianie tego typu narracji jest nieuprawnione.

Uważam, że określanie polityka, który pojawi się poza systemem partyjnym, mianem antysystemowca jest również nieuprawnione. Antysystemowe są dziś partie polityczne. Jestem zwolennikiem systemu politycznego opartego na konstytucji i realnym działaniu osób, które decydują się pełnić władzę w Rzeczypospolitej. To partie polityczne doprowadziły do destrukcji państwa i bezpieczeństwa obywateli Rzeczypospolitej, podważyły konstytucję i zniszczyły instytucje, które konstytucyjnie zapewniały nam bezpieczeństwo i pewność prawa.

Od 20 lat mamy do czynienia z tzw. PO-PiS-em, czyli jedną partią, która składa się z dwóch opcji walczących ze sobą na śmierć i życie, przy okazji wyniszczając społeczeństwo i gospodarkę. Nie liczy się nic poza ambicjami wodzów obydwu opcji, którzy trwają w beznadziejnym klinczu, niwecząc potencjał rozwojowy Rzeczypospolitej. Myślę, że Polakom nie udało się dotąd wydostać z tego politycznego bagna, bo cały czas podsycana jest wzajemna nienawiść, wmawia się nam, że jedynym wyjściem jest ostateczne zniszczenie drugiej strony. Skala zmęczenia obywateli Rzeczypospolitej tym beznadziejnym sporem jest bardzo wysoka, ale okno Overtona wskazuje, że przełamanie pata, w którym tkwimy, jest możliwe.

Jak pan chce osuszyć to bagno?

To bagno można osuszyć tylko w jeden sposób: poprzez trwałe odsunięcie



Z dr. Arturem Bartoszewiczem, ekonomistą Szkoły Głównej Handlowej, deklarującym start w wyborach prezydenckich rozmawia Ryszard Gromadzki

Trzeba osuszyć to bagno

FOT. TOMASZ JASTRZEBSKI/REPORTER

dwóch największych partii politycznych od zawłaszczenia Pałacu Prezydenckiego. Prezydent Rzeczypospolitej powinien być arbitrem, który niezależnie od preferencji politycznych rozstrzyga, co jest bezpieczne dla Polski, dla obywateli Rzeczypospolitej, dla polskiej gospodarki. Prezydent pochodzący z którejkolwiek partii politycznej, będący wręcz we własności lidera partii politycznej, tego nie zagwarantuje. Zarówno Rafał Trzaskowski, jak i Karol Nawrocki mają „właścicieli”, którzy określają, w jaki sposób każdy z nich ma odgrywać swoją rolę.

Czy prerogatywy są wystarczające, żeby zapewnić mu realną niezależność?

Uprawnienia prezydenta są wystarczające pod warunkiem, że nie jest on ni-

czyją „własnością”. Prezydent może mieć sprawczą rolę, jeśli ma format, który pozwala mu korzystać z jego prerogatyw dla dobra państwa i obywateli.

Nie widzę dziś potrzeby radykalnej zmiany jego pozycji konstytucyjnej, co nie znaczy, że zmiana konstytucji nie jest niezbędna. Obecna ustawa zasadnicza jest tak skonstruowana, że umożliwiła politykom zdemolowanie systemu polskiego państwa, podważenie instytucji konstytucyjnych. Żeby osuszyć to bagno, trzeba natychmiast uchwalić nową konstytucję, opartą na demokracji bezpośredniej, gdzie Polacy w referendum, w tym opartych na zasadzie jednoznacznego weta obywatelskiego, mogliby odrzucać rozwiązania dla nich niebezpieczne, niekorzystne dla społeczeństwa

i gospodarki. Przy użyciu narzędzi instytucjonalnych znanych z innych państw, takich jak Szwajcaria, i z powodzeniem tam stosowanych możemy sprowadzić partie polityczne do ich właściwej roli, czyli poszukiwania kompromisu w parlamencie. Tak aby rozwiązania proponowane przez obywateli mogły zostać wprowadzone do porządku prawnego. Ale nie może być tak, że to partie polityczne narzucają obywatelom swoje ideologie, „wielkie prawdy” oparte na wymysłach i nie ponoszą za to żadnych konsekwencji.

Partiokracja stała się w Polsce modelem rządzenia. Kaczyński i Tusk zawłaszczili państwo i próbują jeszcze wskazywać, kogo i z jakiej palety ich poddanych mamy wybrać sobie na prezydenta. Jako obywatel Rzeczypospolitej zdecydowanie się temu sprzeciwiam. To, co jest nadzwyczajne, to skala wsparcia, które otrzymuję, nie mając za sobą partii politycznej czy ruchu społecznego. Mam za sobą 37,4 mln Polaków, którzy nie mieszczą się w przestrzeni bytu partii politycznych.

W Polsce jest razem 200 tys. członków partii politycznych. Ci ludzie zbudowali w sobie przeświadczenie, jakoby przysługiwało im pełne prawo do podejmowania decyzji w imieniu całej reszty obywateli, którzy do żadnych partii politycznych nie należą. Duża część społeczeństwa zatrudniona w instytucjach państwowych i spółkach Skarbu Państwa została zmanipulowana i sterroryzowana przemocą finansową, poprzez którą zmusza się ją do głosowania na jedną z części sceny politycznej, bo ta zapewnia im możliwość przeżycia.

Jak idzie zbiórka podpisów pod pańską kandydaturą?

Bardzo dobrze. Skala poparcia, z którym się spotykam, zadziwia mnie. Dzięki tym wszystkim przyjaznym rozmowom, które odbywam, e-mailom i listom, które otrzymuję, jestem przeświadczony, że zbiorę 100 tys. podpisów niezbędnych do rejestracji mojej kandydatury przez PKW. Jestem zaskoczony liczbą głosów poparcia i zachęty, które odbieram nie tylko z różnych zakątków Polski, lecz także od Polonii ze Stanów Zjednoczonych, z Niemiec czy ze Szwajcarii. To daje bardzo pozytywnego kopa.

Kaczyński i Tusk zawłaszczyli państwo i próbują jeszcze wskazywać, kogo mamy wybrać sobie na prezydenta

Powiedział pan, że nie chce wypowiadać się jako pełnoprawny kandydat w wyborach prezydenckich dopóty, dopóki nie zarejestruje pan oficjalnie swojej kandydatury w PKW. Mimo to chce zaproponować panu krótki test prezydencki. Czy prezydent Artur Bartoszewicz wypowiedziałby pakt migracyjny?

Jestem przeciwny paktowi migracyjnemu, bo łamie on art. 4 Traktatu o Unii Europejskiej. Ale jestem za demokracją bezpośrednią.

Czyli ogłosiliby pan referendum w tej sprawie?

Bezwzględnie. Sam natychmiast podpisałbym wypowiedzenie tego paktu, ale to Polacy muszą zdecydować w tej sprawie. Prezydent jest silny dzięki ich woli. To, że dziś premier czy prezydent narzucają swój punkt widzenia obywatelom, stanowi niebezpieczeństwo dla całego narodu. To naród musi powiedzieć „nie” przymusowej relokacji migrantów do Polski. Jako prezydent natychmiast zawiesiłbym ten pakt, a następnie ogłosiłbym referendum, w którym to Polacy podjęliby ostateczną decyzję w tej sprawie.

Czy Ukraińcy pozostający w Polsce powinni mieć prawa wyborcze, jak postulują coraz głośniejsi niektórzy ukraińscy aktywiści?

Nie zgadzam się na nadawanie praw nienależnych komuś, kto nie jest obywatelem Rzeczypospolitej. Powinniśmy bardzo chronić obywatelstwo Rzeczypospolitej i stawiać wysokie wymagania tym, którzy chcą je uzyskać. Także w tej sprawie oddałbym decyzję Polakom, pytając ich w referendum, czy zgadzają się na taki przywilej dla tych, którzy żądają prawa, ale bez obowiązków.

Prezydent Bartoszewicz wycofałby Polskę ze Światowej Organizacji Zdrowia? Na taki krok zdecydowali się już prezydenci USA i Argentyny, argumentując, że oddawanie tak wrażliwej sfery jak zdrowie obywateli w zarząd międzynarodowej organizacji jest nie do przyjęcia.

Szkodliwość działań WHO obserwowaliśmy w czasie pandemii. Jej dyrektywy doprowadzały do nieprawidłowego działania państw i gospodarek. WHO nie jest transparentną instytucją, a tym samym nie ma pewności co do prawidłowości jej działania. I w tym przypadku oddałbym głos obywatelom poprzez referendum, wcześniej zawiesiwszy członkostwo Polski w WHO.

Podobny mechanizm zastosowałbym wobec Międzynarodowego Trybunału Karnego. Patrząc, w jaki sposób jest on wykorzystywany, aby manipulować bezpieczeństwem państw i narodów, trzeba zadać Polakom jednoznaczne pytanie: W jakiej roli powinno występować nasze państwo w tych instytucjach? Nie znaczy to, że Polska powinna występować z nich z automatu. Nasze państwo powinno zdefiniować na nowo swoją pozycję, tak jak robią to regularnie Szwajcarzy. Chciałbym uruchomić w Polakach świadomość prawa w tym zakresie. Prezydent powinien komunikować się z obywatelami poprzez orędzia i przekazywać im swój punkt widzenia i argumenty, które będą istotne dla decyzji władczej Polaków, a nie partii politycznych. Mamy prawo do demokracji bezpośredniej. Od partiokracji uwolnimy się wtedy, kiedy w oczach panów Kaczyńskiego i Tuska zobaczymy przegraną po wyborze na głowę państwa kandydata narodu, a nie tej czy innej partii.

Czy pana start w wyborach prezydenckich należy traktować jako „rozpoznanie walką”, które ma utworzyć panu drogę do kariery politycznej w przyszłości?

Nie zamierzam budować partii politycznej. Nie chcę wchodzić w ten wymiar aktywności. Wierzę, że Polacy dadzą mi prawo startu w rywalizacji o godność głowy państwa i 1 czerwca wybiorą mnie na ten urząd. Nie przyjmuję innego scenariusza. Nie idę do tych wyborów z żadnym ukrytym zamiarem budowania swojej pozycji. Przedstawiam Polakom jednoznaczną ofertę zmian w państwie. Jeśli dadzą mi szansę, to od 1 czerwca zmieni się logika funkcjonowania państwa polskiego, koniec partiokracji. Tu nie chodzi o moją osobę, lecz o bezpieczeństwo, suwerenność i niepodległość Rzeczypospolitej i ustrojowe bagno, które trzeba wreszcie osuszyć.

Liderka z zapałkami



Natalia Panczenko

FOT. RAFAŁ GUZ/PAP



Radosław Wojtas

Natalia Panczenko, jedna z najbardziej wpływowych przedstawicieli ukraińskiej diaspory w Polsce, skomentowała w ukraińskich mediach kampanię polityczną w Polsce. Przestrzegała, że antyukraińska retoryka może się skończyć dla Polaków źle: „walkami, podpaleniami sklepów, domów”. Później tłumaczyła, że jej słowa zostały zmanipulowane. Kim jest Ukrainka, która rozgrzała polską opinię publiczną?

Od napaści Rosji na Ukrainę, która rozpętała pełnoskalową wojnę u naszych wschodnich sąsiadów, minął niebawem równo trzy lata. Polacy wciąż na ogromną skalę pomagają uchodźcom wojennym, wciąż udostępniają im swoje domy. Państwo polskie nadal wspiera Kijów, a ukraińskie rodziny przebywające nad Wisłą obejmuje opieką, m.in. wypłacając „800+”. Po polskiej stronie ciągle jest dużo współczucia i aktów bezinteresownej pomocy, a po ukraińskiej – wdzięczności.

Jednak przez ostatnie 36 miesięcy sporo się zmieniło, także w sferze wzajemnych sympatii i animozji. Pokazują to m.in. cykliczne badania wykonywane przez dr. Roberta Staniszewskiego z Uniwersytetu Warszawskiego. Wynika z nich, że od początku konfliktu nastąpił spadek przychylności Polaków wobec Ukraińców we wszystkich – poza zgodą na przyjmowanie ukraińskich dzieci do polskich szkół – badanych sferach życia. Od stycznia 2023 r. do czerwca ubiegłego roku odsetek Polaków uważających, że Polska powinna zdecydowanie pomagać Ukrainie, zmalał z 62 proc. do 31 proc. W czerwcu tylko 17 proc. Polaków zgadzało się przyjmować

uchodźców z Ukrainy z opcją osiedlenia się (wcześniej: 37 proc.). 61 proc. Polaków chce, by uchodźcy wrócili do swojego kraju po wojnie. Miażdżąca większość (95 proc.) opowiada się za zmniejszeniem zakresu świadczeń pomocowych.

Nie jest to trend jednostronny. Z badania ukraińskiej pracowni Info Sapiens na zlecenie Centrum Mieroszewskiego wynika, że poziom sympatii Ukraińców wobec Polski i Polaków spadł z 83 proc. w roku 2022 do 41 proc. w roku 2024.

Nic dziwnego, że przy takich nastrojach społecznych temat polsko-ukraiński wykorzystywany jest w polityce wewnętrznej obu państw. Postulaty ograniczenia przywilejów socjalnych dla obywateli Ukrainy (których w Polsce przebywa ponad 1,5 mln) podnoszone w kampanii prezydenckiej w Polsce postanowiła skomentować Natalia Panczenko, jedna z najbardziej wpływowych ukraińskich aktywistek, od kilkunastu lat mieszkająca w Polsce.

Krążące w polskich mediach cytaty z wywiadu, którego Panczenko udzieliła ukraińskiemu Kanałowi 5, wywołały w Polsce prawdziwą burzę. – Jeszcze groźniejszy problem to populizm [...], w jakiej

formie jest to [postulat ograniczenia przywilejów socjalnych – przyp. red.] w Polsce przekazywane, to horror [...]. Polacy są zastraszeni bezrobotnymi Ukraińcami, którzy przybyli i pobierają świadczenia socjalne, chociaż jest to nieprawda – miała powiedzieć Panczenko. I dalej: – To jest przede wszystkim ogromne niebezpieczeństwo dla Polaków [...], bo dziś, kiedy co 10. mieszkaniec Polski jest Ukraińcem, to wzrastanie wrogości między Ukraińcami a Polakami jest już bardzo niebezpieczne, zwłaszcza dla Polski. Ponieważ na terytorium Polski zaczęły się walki, rozpoczną się podpalenia sklepów, domów itd.

Jeśli Natalia Panczenko próbowała przestrzec przed zaognianiem sytuacji między obywatelami Polski i Ukrainy, to zrobiła to w najgorszy możliwy sposób. Po takich słowach musiał wybuchnąć pożar. Niektórzy chętnie go podsycaли. Grzegorz Braun zaapelował do „patriotów w Wojsku Polskim w Sztapie Generalnym”: – Twórcie plany ewentualnościowe akcji „Wisła 2.0” Twórcie plan wykrywania i eliminowania zagrożeń wewnętrznych, o których mówi pani Panczenko. Wojsko Polskie, jeżeli ma jakąś wojnę do stoczenia, to jest to wojna z banderowską resztówką po zbankrutowanym, upadłym państwie ukraińskim.

Bodaj pierwszym politykiem, który wezwał do deportowania Panczenko, był Leszek Miller. – Tego nie wolno lekceważyć. ABW powinno już mieć tę panią w swojej siedzibie i według mnie ona powinna być deportowana – mówił. Do deportacji nawołują także politycy Konfederacji.

Po kilku dniach zareagowała ambasada Ukrainy w Polsce. Na facebookowej stronie ambasady napisano o „zmanipulowanych i nieprawdziwych informacjach”. „Natalia Panczenko jest jednym z najaktywniejszych

liderów społeczności ukraińskiej w Polsce, organizuje pomoc dla walczącej Ukrainy i nieustannie działa na rzecz rozwoju przyjaznych stosunków ukraińsko-polskich. Z tego powodu wielokrotnie była celem rosyjskich kłamstw i kampanii dezinformacyjnych [...]. Uważamy tę prowokację za wymierzoną w pogorszenie stosunków ukraińsko-polskich [...]. Po raz kolejny apelujemy do naszych polskich przyjaciół, aby nie wykorzystywali tematu ukraińskiego do osiągania swoich celów w wewnętrznych procesach politycznych” – napisano.

Do sprawy odniosła się sama Natalia Panczenko. Najpierw na Facebooku, gdzie wyjaśniała, że jej słowa zostały źle odebrane. „W ostatnim wywiadzie dla ukraińskiego »5 каналу« powtórzyłam to samo i odpowiadając na pytanie dziennikarza, powiedziałam jasno – w sytuacji, w której się znajdujemy, budowanie kampanii politycznej opartej na populizmie i nastawianie Polaków przeciwko Ukraińcom to bardzo niebezpieczna droga. Wyraziłam nadzieję, że polscy politycy będą mieli odwagę się zatrzymać i nie pójść za daleko, bo jeśli to się wymknie spod kontroli, to dojdzie do bójek i podpałów (tak jak to już było w stosunku do naszej społeczności) – a wtedy już nikt tego nie powstrzyma”. Później na antenie Polsat News przekonywała, że „przekręcone cytaty” przypisują jej „Konfederacja czy inne ugrupowania” oraz że „nie wyklucza udziału rosyjskich służb”. – Tego, że Ukraińcy będą kogoś podpalać czy coś robić, nigdy nie mówiłam – deklarowała.

Wystarczy jednak pobieżna lektura jej mediów społecznościowych, by się przekonać, że Panczenko sięga po podobne argumenty i robi to w tonie, który może być różnie rozumiany. „Politycy otwierają puszkę Pandory. Kiedy nienawiść wymknie się spod kontroli, będzie już za późno. [...] konsekwencje mogą być dramatyczne. Jeśli nienawiść się rozepędzi, to nikt nie będzie w stanie jej zatrzymać” – pisała pod koniec stycznia na Facebooku.

NIE PLANOWAŁA, ALE ZOSTAŁA

Natalija Mykołajiwna Panczenko, rocznik 1988, pochodzi ze wsi Tarasiwka w obwodzie połtawskim. Studiowała na Połtawskim Państwowym Uniwersytecie Rolniczym, w 2010 r. przyjechała do Warszawy na wymianę studencką. Jak dowiadujemy się z opisu wywiadu, którego udzieliła portalowi naTemat (który to

wywiad zniknął z sieci, o czym za chwilę), „polskiego nauczyła się w dwa miesiące. Po jakimś czasie dziekan SGGW zaproponował jej kontynuowanie nauki na darmowych studiach magisterskich i stypendium. Obrońnię się. Zaczęła pracować i, choć nigdy tego nie planowała, została w Warszawie”.

Oprócz studiów i pracy zajmowała ją także działalność społeczna, zaczęła aktywnie udzielać się w ukraińskiej diasporze. W 2013 r. współorganizowała Euromajdan w Warszawie, podczas którego codziennie protestowano przed ambasadą Ukrainy. „W momencie, gdy dowiedziałam się, że w Kijowie Berkut bije studentów, czyli 30 listopada, postanowiłam, że trzeba coś zrobić” – mówiła we wspomnianym wywiadzie. Zryw protestacyjny niebawem się sformalizował jako inicjatywa społeczna Euromaidan-Warszawa, a Natalia Panczenko została jego liderką.

Po 22 lutego 2022 r. organizowała m.in. blokady granicy białorusko-polskiej i granicy polsko-niemieckiej, domagając się od UE zakazu wwożenia towarów do Rosji. Na stronie internetowej Euromaidan-Warszawa czytamy, że największymi sukcesami są: przyczynienie się do przyjęcia przez Parlament Europejski wniosku o akcesję Ukrainy do UE, blokada handlu i obrotu handlowego między UE a Rosją, embargo UE na rosyjską ropę naftową, uznanie Rosji za państwo terrorystyczne. W maju 2022 r. założyła fundację Stand with Ukraine.

Nie bez przesady ukraińska ambasada nazywa Natalię Panczenko jedną z najważniejszych liderów społeczności ukraińskiej w Polsce. Świadczą o tym nie tylko przyznawane jej nagrody (np. przyznany przez Wołodymyra Zełenskiego Order Prezydenta za zasługi III stopnia czy ShEO Awards, nagrodę tygodnika „Wprost”, w kategorii Aktywistka Roku), lecz także twarde liczby. W mediach społecznościowych obserwują ją setki tysięcy osób, jest chętnie zapraszana przez media tradycyjne. Jej słowa i apele mają duży posłuch. Przykład: 31 grudnia 2024 r. Panczenko poinformowała, że fundacja Stand with Ukraine i Euromaidan-Warszawa zbierały w ciągu 12 miesięcy 1 125 286 zł na pomoc Ukrainie.

Swoją popularność Natalia Panczenko nierzadko wykorzystuje do tłumienia negatywnych emocji i prostowania nieprawdziwych informacji, które krążą czy to o Polsce w przestrzeni ukraińskiej, czy na odwrót. Niedawno na Facebooku

prostowała manipulacyjne przedstawianie w ukraińskiej przestrzeni medialnej jednej z wypowiedzi prezydenta Andrzeja Dudy. Organizuje nie tylko protesty. W 2022 r. zainicjowała marsz wdzięczności „Przyjaciele dziękujemy. Ukraińcy – Polakom”, w którym udział wzięło 20 tys. osób.

PIŁSUDSKI A BANDERA

Ale zdarzają się jej wypowiedzi, które Polaków i Ukraińców mogą jedynie dzielić. Jaskrawym przykładem jest tu wspomniany już wywiad dla portalu naTemat, który dziś można znaleźć tylko w internetowych archiwach. Pytana o to, czy dziwią ją alergiczne reakcje Polaków na banderowskie flagi widoczne w relacjach z Majdanu, odpowiada: „Szczерze mówiąc, trochę mnie dziwią. Bo jak Ukrainiec usłyszy nazwisko »Piłsudski«, to nie wywołuje to specjalnych emocji, choć ten polityk ma na sumieniu wielu Ukraińców. A jak Polak usłyszy »Bandera«, to od razu ma jakąś alergię”. I dalej: „To jest bardzo ciężki temat – tak dla Polaków, jak Ukraińców. Bo prawda jest taka, że Polacy mówią o Wołyniu, poczynając od wydarzeń 1943 r. A dlaczego nie mówi się o tym, co się tam działo od 1920 r.? Niech panu babcia opowie o tym, jak się paliło cerkwie ukraińskie, jak się mordowało rodziny ukraińskie [...]”. To, co wydarzyło się w 1943 r., nie wzięło się znikąd. Tak, było zabijanie. Tak, była rzeź wołyńska. Wielu Polaków zginęło. Ja tego nie kwestionuję. I jest mi z powodu polskich ofiar bardzo przykro. Ale dlaczego policzono, że było od 20 do 50 tys. ofiar rzezi, ale nikt nie policzył, ile było ofiar ukraińskich przez 20 lat II RP? Tylko to mnie interesuje”.

Zarówno w tym wywiadzie sprzed 10 już lat, jak i teraz Natalia Panczenko często sięga po kartę rosyjskich służb specjalnych, której zagranie ma ucinąć wszelkie trudne dyskusje. Zwłaszcza te, w których krytyce poddawane są jej własne słowa. Ma oczywiście dużo racji w tym, że rosyjska agentura chętnie wykorzystuje, zniekształca i podsycza niefortunne wypowiedzi, bo jak najgorsze relacje między Polakami a Ukraińcami mogą być korzystne tylko dla Moskwy. Jeśli jednak naprawdę uważa, że siedzimy na beczce prochu, która w każdej chwili może wybuchnąć, czyniąc trudne do przewidzenia szkody, to sama także powinna uważnie postępować z zapalnikami, które jako wpływowa osoba trzyma w rękach.



Z Maciejem Świerkockim, tłumaczem literatury anglojęzycznej,
pisarzem i scenarzystą
rozmawia Błażej Torański

Od sztucznej inteligencji wolę Hegla



BŁAŻEJ TORAŃSKI: Czy sztuczna inteligencja (AI) zwiastuje śmierć zawodu tłumacza?

MACIEJ ŚWIERKOCKI: Jeśli zagraża zawodowi tłumacza, to zagraża też innym zawodom humanistycznym i niehumanistycznym, które sztuczna inteligencja może wykonywać lepiej niż człowiek. A takich zawodów jest multum, łącznie z zawodem lekarza. Jeśli chodzi o literaturę, to uważam, że AI bardziej zagraża pisarzom aniżeli tłumaczom. Prościej jest napisać program, wedle którego sztuczna inteligencja pisałaby sama albo naśladowała styl danego pisarza. To się już zresztą dzieje. Powstają algorytmy naśladowujące style Dostojewskiego, Kafki czy Becketta.

O wiele trudniej przetłumaczyć jest Hemingwaya w stylu Zielińskiego czy Szekspira w stylu Słomczyńskiego. Oczywiście jedno i drugie jest możliwe, ale na razie trudniej wykonać zadanie drugie. W przekładzie ogromną rolę odgrywa intuicja, rozumiana jako władza intelektualna. A także gust i smak. Tego na razie

sztuczna inteligencja nie wytworzyła, co nie znaczy, że w przyszłości nie będzie miała również takich cech. Tymczasem jednak tej przyszłości żaden domysł nie rozświecili.

To nie jest pieśń przyszłości. W Europie już wydaje się książki tłumaczone przy użyciu sztucznej inteligencji. Największa grupa wydawnicza w Holandii – Veen Bosch & Keuning (VBK) – zapowiedziała, że będzie korzystać ze sztucznej inteligencji w tłumaczeniu literatury pięknej. Mówią wprost, że wykluczą żywych tłumaczy ze swojego projektu. Czy AI zastąpi prawdziwych tłumaczy?

Wiem o tym i nie twierdzę, że tak się kiedyś nie stanie. Że AI nie weszła do tego i nie wejdzie do innych zawodów. Jeśli to nie jest jakaś prowokacja, żart, jak w Off Radiu Kraków, gdzie dziennikarzy na kilka dni na antenie zastąpiła sztuczna inteligencja.

Po tym eksperymencie Off Radio Kraków zaczęło służyć codziennie na DAB+ i w Internecie od

8 do 14 tys. słuchaczy. Wcześniej było ich każdego dnia zaledwie 20–40 osób.

Ale autorzy wycofali się z tego, tłumacząc, że była to próba, prowokacja. Tak samo może być w przypadku hollenderskiej oficyny Veen Bosch & Keuning. Gdyby to była literatura piękna z wyższej półki, na razie nie może być dobrze – czyli gustownie i smakowo w sensie artystycznym – tłumaczona przez sztuczną inteligencję. Rodzi się też pytanie: Czy przełożone przez SI dramaty, poezja, powieści mogą mieć dla nas jakąkolwiek wartość artystyczną? Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć, ale intuicyjnie i osobiście uważam, że chyba nie. Wyżej cenimy nadal wytwory człowieka, jak w przypadku sztuk plastycznych, gdzie w wielu miejscach grafików zastąpiły „maszyny”. Wyobrażam sobie, że w dalekiej przyszłości w księgarniach – jeśli księgarnie przetrwają – na jednej półce będzie „literatura maszynowa”, a na drugiej „ludzka”. Niech czytelnik zdecy-



zaległości, np. prawnie regulować jej zastosowania.

Tłumacze jednak krytykują wykorzystywanie AI przez wydawców. Obawiają się utraty pracy. Ty także?

Nie obawiam się jeszcze o swoją pozycję. Nie mam też nic przeciwko eksperymentom, jak ten podejmowany przez holenderskiego wydawcę. Tylko niech czytelnik wie, na jaki wybór się decyduje. Niech wie, że utwór powstał przy pomocy sztucznej inteligencji lub całkowicie został przez nią wytworzony. Ale literatura i sztuka to są drobiazgi, bo sztuczna inteligencja zagarnia nas w każdym obszarze życia. Literatura nie jest wyjątkiem. Nie mam też wątpliwości, że nie tylko w sferze literackiej pojawia się oszustwa, gdyż AI ułatwia pracę leniwiemu z natury człowiekowi. Wiele pisarzy i tłumaczy już z niej korzysta, ale nie odnotowują tego faktu. Wydaje mi się, że popełniają oszustwo.

O pracę się nie martwisz, ale twoi koledzy tak. David McKay, tłumacz literatury holenderskiej na angielski, argumentuje: „Wyłączenie tłumacza z procesu stwarza możliwość błędnych lub wątpliwych przekładów, z których nie wyniknie nic dobrego dla czytelnika”.

Podzielim ten punkt widzenia, ale nie zakazywałbym tego rodzaju praktyk. Porównanie przekładów „maszynowych” i ludzkich może być bardzo ciekawe pod wieloma względami i dla uczonych różnych specjalności.

Ano właśnie. Czy kreatywność człowieka i kreatywność sztucznej inteligencji mogą współistnieć i się uzupełniać? Czy sztuczna inteligencja może być przedłużeniem ludzkiej kreatywności?

Może ją wspomagać. Moje koleżanki i koledzy korzystają już z tych narzędzi.

Koreanistka Marta Niewiadomska twierdzi, że wydany we wrześniu przez Znak Literanova „Wieloryb” Myeong-Kwan Cheona (Międzynarodowa Nagroda Bookera) został przetłumaczony przy użyciu Tłumacza Google. Polska tłumaczka nie odbierała telefonów od dziennikarzy.

Oczywiście, że to jest poważna sprawa, ale nie znamy prawdy. Nie mamy żadnych dowodów, że tak było. Tłumaczka zaprzecza. Nie jestem w stanie tego ocenić. Gdyby jednak tłumaczka rzeczywiście używała takiego narzędzia

Krótko mówiąc, chodzi o pieniądze. AI jest tania i wydajna. Śmiga 24 godziny na dobę i się nie męczy

i nie podpisała go jako „autora” przekładu, uważałbym to za niezbyt uczciwe. Ale jest jeszcze jeden, często pomijany aspekt wykorzystywania sztucznej inteligencji w kulturze. Otóż motywacje, jakie za tym stoją, najczęściej wcale nie są artystyczne, tylko bardzo przyziemne.

Chodzi o cięcie kosztów.

Krótko mówiąc, chodzi o pieniądze. Sztuczna inteligencja jest tania i wydajna. Śmiga 24 godziny na dobę i się nie męczy. Chciałbym zobaczyć „Uliksesa” przełożonego przez sztuczną inteligencję na obecnym etapie jej rozwoju. Byłoby to niezmiernie ciekawe, ale nie sądzę, że artystycznie wartościowe. Przeczytałbym też chętnie traktat filozoficzny stworzony przez AI, nie chciałbym jednak, żeby sztuczna inteligencja zastąpiła nam w przyszłości Hegłów i Kantów, chociaż nie można wykluczyć, że obok „maszynowej” literatury powstanie również „maszynowa” filozofia.

Wyobrażasz sobie w przyszłości powieść napisaną i przetłumaczoną przez AI?

To może dać asumpt do rozwoju nowego rozdziału naszej cywilizacji: kultury sztucznej inteligencji. Może być ona niezmiernie interesująca, ale wciąż wydaje mi się, że ważne, aby oddzielać te dwa poziomy: „maszynowy” i ludzki. W tej chwili nie jesteśmy jednak w stanie wyobrazić sobie tego przyszłego świata, zdominowanego przez AI. Mój kolega, profesor na kulturoznawstwie Uniwersytetu Łódzkiego, żartobliwie opisał to tak: dojdzie do buntu robotów, jak w „Terminatorze”, ale człowiek wyjdzie z tej wojny zwycięski. Nie podzielam jego optymizmu. Myślę, że o zwycięstwo będzie nam bardzo trudno. Głównie dlatego, że ludzkość musiałaby się zjednoczyć w tej walce, a ja teraz takiej możliwości nie widzę.

Bo nie ma wspólnoty interesów.

Otóż to. W literaturze czy sztukach plastycznych dominują motywacje

duże, po którą sięgnie. Po Hemingwaya, Steinbecka czy Capote’a tłumaczonego przez algorytm czy po tę książkę, którą przełożył np. Bronisław Zieliński.

Czytelnik już dokonuje takiego wyboru. Naukowcy z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu zbadali, jak oceniana jest twórczość literacka ludzi, a jak treści wygenerowane przez AI. Okazało się, że wiersz przypisywany sztucznej inteligencji otrzymywał w wielu aspektach niższe oceny.

Znam te badania. Potwierdzają moją tezę. Na razie wartość estetyczną przypisujemy raczej wytworom ludzkiego talentu i umysłu, co nie znaczy, że nie może się to zmienić w odległej przyszłości. I nie mam tu, rzecz jasna, na myśli milionów lat. Nie wiemy, co w tej materii się wydarzy. Jesteśmy w okresie przejściowym. Część ludzkości uświadomiła sobie jednak, że wpadliśmy w pułapkę sztucznej inteligencji i z dużym opóźnieniem próbujemy rozpaczliwie nadrobić

■ finansowe, a równocześnie AI, choć (także dla pieniędzy) stosowana w informatyce czy w przemyśle od kilkunastu lat nie rozwiązała najbardziej palących problemów intelektualnych w fizyce, matematyce czy futurologii, np. jak będzie przebiegała ewolucja kultury, ludzkości i jej samej, AI.

Siedem lat tłumaczyłeś „Ulissesa”. Zalewa nas fala nowych przekładów literatury światowej: „Anna Karenina”, „Rok 1984” czy „Boska komedia”. Nad arcydziełem Dantego poeta Jarosław Mikołajewski pracował 30 lat (sic!). Czy tłumaczenia się starzeją, a arcydzieła są ponadczasowe?

Starzeje się język przekładu, ponieważ język jest żywy, ewoluuje, ciągle się zmienia. Tłumacz musi więc dostosować język do obecnego stanu. Zmieniają się także ludzka wrażliwość, mentalność, postrzeganie rzeczywistości.

Nowy przekład jest zatem rodzajem odświeżenia. Czy tłumacze rywalizują ze sobą?

Niektórymi kieruje głównie ambicja, ale nowe przekłady nie unieważniają starych. Przeciwnie – wchodzi z nimi w dialog. Często za pośrednictwem słowa mamy ochotę na podróż w czasie. Czytając XIX-wieczne przekłady Leona Ulricha i Józefa Paszkowskiego dzieł Wiliama Szekspira, przenoszę się do innego świata: i Szekspira, i ówczesnych tłumaczy. Uwielbiam te podróże. Kiedy sięgam po przekłady Macieja Słomczyńskiego z lat 70., także przemieszczam się w czasie, ale do innego świata, wrażliwości i mentalności. Z przyjemnością i najwyższą pokorą rozmawiam z tymi tłumaczami. Ale wiem, że jestem w dwóch różnych epokach, a nawet głowach. To jest fascynujące. Czytałem też wielokrotnie Szekspira w oryginale i dostępowałem tej samej komunii, koniunkcji z autorem. Szekspir jednak też nie wziął się z niczego, można więc w nim szukać dalszych inspiracji i źródeł. Takie wędrówki zapewniają mi drugie życie.

Macieja Słomczyńskiego ograniczała także PRL-owska cenzura.

Cenzura, a czasami bardziej chyba autocenzura, tępiła mu wulgaryzmy, ataki na Kościół, aluzje i śmiałe odniesienia do erotyki.

Czy nowe przekłady nie są także poszukiwaniem nowych sensów, które poprzednim tłumaczom umknęły?

Nowemu tłumaczowi wydaje się, że te sensy są w tekście oryginalnym, ale ich nie wydobyto, bo postawiono na wydobywanie innych. Oklepaną już także prawdą jest i to, że każdy nowy przekład to kolejna interpretacja utworu. To jest więc nowe odczytanie klasyki (ale przecież nie tylko), proces w gruncie rzeczy nieskończony. Jest też wreszcie motywacja ściśle ambicjonalna, wynikająca z przekonania, że „ja to zrobię lepiej”. Hołdował jej m.in. Stanisław Barańczak, ale mnie akurat jest ona obca. Nie zmusiłaby mnie do tego, aby usiąść przy biurku i „pokazać

Tłumacz jest niejako reżyserem, który „wykonuje”, czyli „wystawia” oryginalne dzieło w swoim ojczystym języku

komuś”, że jestem lepszy, większy, silniejszy. Wydaje mi się to nieeleganckie. Pogardliwe. To motywacja dziecinna, infantylna, podwórkowa. I opiera się często na złudzeniu. Zazwyczaj szkoda na nią czasu i atlasu czytelnika.

Bywa, że stare tłumaczenie okazuje się lepsze?

Ano właśnie, różnie z tym bywa. Stare przekłady, potępiane, które chcemy zastąpić nowym, „lepszym”, w konfrontacji z nowym przekładem i przy bliższej analizie często nieoczekiwanie ujawniają zaskakująco wiele interesujących rozwiązań i propozycji. Okazują się wcale nie takie złe. Śledzenie pojedynczych uchybień tłumaczeniowych, np. leksykalnych, jest mało pouczające, bo mogą one wypływać z setek powodów: nieuwagi, gorszego samopoczucia, pomyłki wzroku czy ręki itd. Taka analiza przypomina dziobanie kury, jakby dla całościowego sensu utworu miało jakiekolwiek znaczenie, że tu jest drzewko, a powinno być drzewo. To do niczego nie prowadzi. Niczego nas nie uczy. Nie jest pożyteczne. O wiele ciekawsza byłaby natomiast próba prześledzenia strategii tłumacza, poznania jego wyobraźni, która prowa-

dzi go przez meandry prozy Faulknera, Joyce’a czy Tolstoja. Z tego można o wiele więcej wyciągnąć. Taka próba konfrontuje nas z partnerem, z którym wchodzimy w dialog. Dialog może prowadzić do konsensusu, nowego wniosku, odkrycia nowych aspektów utworu. I to jest pożyteczne.

Każdy tłumacz nadaje przekładowi indywidualny rys, który jest pochodną jego osobistej wrażliwości językowej i interpretacji utworu.

Tak mi się wydaje. Zawsze uważałem, że niewidzialność tłumacza, jego przezroczystość, jest jednym z dawnych, naiwnych postulatów należących dziś do ideałów mocno już zwietrzałych. Oczywiście wyobrażam sobie tłumaczy, którzy chcieliby się schować za autorem, ale to nie jest możliwe. Jesteśmy osobowościami i na wszystkim, co robimy, także w przekładzie, odciskamy własne indywidualne piętno. Zatem nie możemy być niewidzialni. Postuluję raczej coś innego: aby każdy tłumacz, świadomy swojej roboty, starał się przekłady przesiewać właśnie przez swoją osobowość. Sztucznej inteligencji trudniej byłoby naśladować konkretnego tłumacza, bo on nie zawsze jest wyrazisty, zwłaszcza jeżeli usiłuje się chować. Zdarzali się jednak przekładcy wyróżniający się własnym stylem, jak choćby Maciej Słomczyński, Boy-Żeleński, Robert Stiller czy Bronisław Zieliński, którzy przeszli do historii przekładu polskiego. Warto zatem na nowo przemyśleć postulat niewidzialności tłumacza. Nie należy zastępować autora, wypychać się przed niego, ale i nie warto chować się za nim. Bo to ja podpisuję tłumaczenie swoim nazwiskiem i siłą rzeczy odciskam na przekładzie swoją osobowość, swój charakter, swój sposób myślenia o literaturze i o świecie.

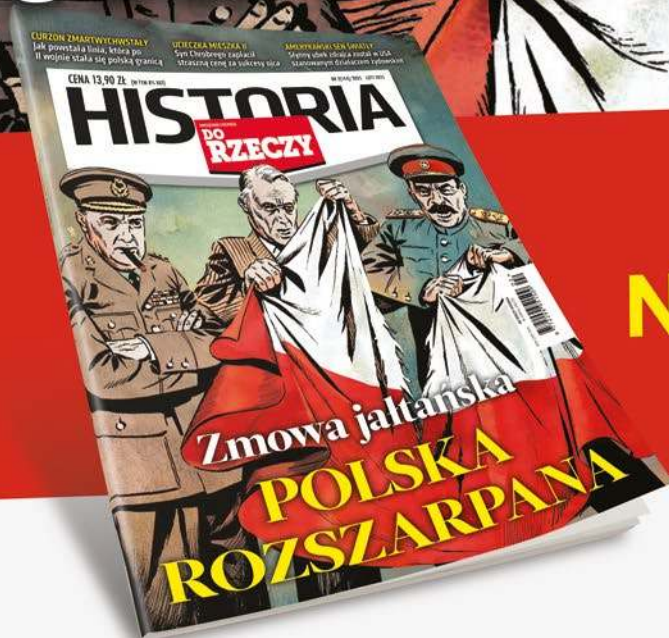
To uzasadnia stałe już pojawianie się nazwisk tłumaczy na okładkach, a nie ukrywanie ich między nazwiskami redaktora prowadzącego i korektora. Tego silnie domagał się prof. Jerzy Jarniewicz, poeta i tłumacz, laureat Nike.

Owszem, chociaż oczywiście nie tylko on. I bardzo dobrze, że do tego doszło. Tłumacz jest bowiem niejako wykonawcą – reżyserem? – który „wykonuje”, czyli „wystawia” oryginalne dzieło w swoim ojczystym języku i w swoim kręgu kulturowym.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



KTO NAS ZDRADZIŁ W JAŁCIE?

Churchill kontra Roosevelt i Stalin – Sowiecki dyktator mógł liczyć w Jałcie na zastanawiającą przychylność prezydenta USA

Curzon zmartwychwstały – Jak Brytyjczycy wyrysowali linię, której przebieg jest bardzo zbliżony do obecnej wschodniej granicy Polski narzuconej nam w 1945 r.

Ucieczka Mieszka II – Następca Bolesława Chrobrego zapłacił straszną cenę za sukcesy swojego ojca

Plajty, które zmieniły świat – Największe bankructwa w dziejach przyczyniały się do wielkich zmian politycznych i społecznych

Sok z człowieka – Opisywanie odrażającego obyczaju antropofagii to według niektórych badaczy „narzędzie białej supremacji”

Kozacki bał na Lenina – Ataman Aleksandr Dutow jako pierwszy rzucił wyzwanie bolszewikom. Wrogowie nie darowali mu tego nawet po jego śmierci

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Wyspa, fikcyjny kraj przypominający nieznaną nam dotąd państewko, chyba z Karaibów. Wyspa, czyli nigdzie; Wyspa, czyli wszędzie, bo w swojej pierwszej powieści Marek Magierowski czyni z niej współczesny świat w miniaturze. No dobrze, powiedzmy, że buduje miniaturę pewnego kawałka świata. Jest więc Wyspa krajem, który jakiś czas temu wybił się na niepodległość, zrzucając jarzmo francuskiej kolonizacji, ale wciąż wychodzi jeszcze z traumy wojskowej dyktatury. Mieszkańcy głosować mogą na 20 różnych partii, ale wpływowymi politykami zostają głównie ci, którzy mają odpowiednie koneksje. Duma narodowa przejawia się w pięknej retoryce, budowaniu pomników i podkreślaniu znaczenia gospodarczej ekspansji, ale kiedy odkryte zostaną złoża litu, Wyspa stanie się jedynie igraszką w rękach mocarstw.

Tytułowe „Dwanaście zdjęć prezydenta” to zarazem 12 rozdziałów, z których poznamy losy licznej grupy bohaterów, spośród których najważniejsza jest para prezydencka: Emmanuel Vastine i jego małżonka Yoselina, z domu Bourgault. Wokół nich obraca się światek Wyspy: jest tu cyniczny i bardzo sprawny specjalista od PR, jest brylujący na salonach i obdarzony wielkim apetytem seksualnym minister spraw zagranicznych; są dziennikarze, uczeni i łachudry; jest pisarz – zdobywca Literackiej Nagrody Nobla; nie braknie generałów, oligarchów i zwykłych bandytów.

Konstruując uniwersum Wyspy i włączając je do realnego świata (bo bohaterowie podróżują a to do USA, a to do Chin czy Indii; nie zapominajmy też o mateczce Francji), Magierowski stawia na detale, z wielką precyzją i starannością budując życiorysy swoich bohaterów. Czyni to z zamiłowaniem i pasją, które przypominają wczesne powieści Forsytha (chyba największego miłośnika faktów i researchu w dziejach literatury). Natomiast gdy idzie o styl, patronują Magierowskiemu raczej Kundera i Houellebecq, u których wszechwiedza narratora przesycona jest smutną i gorzką ironią.

W TRYBACH HISTORII

Ironia jest mocno uzasadniona, gdyż bohaterowie powieści są istotami pełnymi wad, a gdybym miał wskazać ich cechę wspólną, napisałbym: nieistotność. Nie

Święto nieistotności



Piotr Gociek

Witajcie na Wyspie.

Tu jak w prawdziwym świecie, kto nie przepracuje przeszłości, ten zasłuży tylko na brudną teraźniejszość



FOT. JACEK DOMINKUS/REPORTER

oznacza to, że Magierowski napisał powieść o ludziach i sprawach nieważnych. Chodzi o to, że ich mniemanie o własnej wartości, możliwościach, wpływie na wydarzenia – czasem o własnej szlachetności – jest mocno zawyżone. Wszystkich bierze bowiem w tryby historia, dla której wielcy i maluczcy bywają jednaką miazgą.

Przypowieść o ludzkim losie jest rozpięta u Magierowskiego gdzieś między wypowiedzianymi z Roberta Burnsa słowami „Przemysłne plany i myszy, i ludzi. / W gruzy się wał, / Nasze zapaly zawód zwykle studzi”, a myślą z „Gubernatora” Roberta Penna Warrena: „Trzeba tworzyć dobro ze zła, bo nie ma nic innego, z czego by można je tworzyć”. Czy to znaczy, że bohaterowie „Dwunastu zdjęć prezydenta” są źli? Raczej ułomni, bo przecież taka jest natura człowieka: permanentny stan upadku, z którego próbujemy się wydobyć z gorszym lub lepszym skutkiem.

Ci, dla których Magierowski to przede wszystkim polityk i dyplomata, z pewnością szukać będą w książce dowodów na to, że jest to powieść z kluczem, a może nawet z pękiem kluczy. Autor ucieka z pułapki i na takie łatwizny, na personalne przytyki, wyciągnąć się nie daje. Jestem za to pewien, że olbrzymią przyjemność dawało mu wplatanie w akcję tych kawałków rzeczywistego świata, które jako ambasador czy wiceminister poznał z autopsji.

Kiedy więc czytamy o nowojorskiej restauracji Sea Fire Grill, dostajemy relację z pierwszej ręki – knajpa istnieje w realu i nawet menu się zgadza. Podobnie jest, gdy Magierowski zabiera nas za kulisy nasiodówek w Aspen czy do saloników, w których politycy spędzają czas w zagranicznych podróżach. Gdy wymyśla historię Wyspy, wplata ją w prawdziwą historię regionu (wyspa leżeć musi nieopodal wybrzeży Ameryki Południowej), bo jego bohaterowie pamiętają np. Adolphe’a Brezeta, samozwańczego przywódcę efemerycznego Wolnego Państwa Counami, czyli chwilowej wersji również efemerycznej Republiki Niepodległej Gujany.

Jest to robota zręczna, koronkowa, łącznie z myleniem tropów w kwestii tego, co właściwie jest główną osią fabularną – historia prezydenckiego małżeństwa, dzieje Yoseliny, historia szpiegowska z Chinami w tle czy może coś

jeszcze innego. Wszystko jest równie ważne i zarazem równie nieważne, bo „Dwanaście zdjęć prezydenta” to powieść gobelin, każda nitka jest tu potrzebna.

KPINY Z HIPOKRYZJI

Do czego służy Magierowskiemu metafora Wyspy i jej transformacji ustrojowej? Oczywiście trudno uciec od skojarzeń z Polską – nic to, że miejscowa rewolucja zaczyna się na plantacjach, a nie w stocznicach. A skoro transformacja, to i pytanie o to, czy zyskali na niej ci najbardziej skrzywdzeni czy może tylko ci najsprytniejsi oraz ci, którzy w odpowiedniej chwili zmienili strony. Trudno nie myśleć o Polsce, kiedy przed wyspiarską Komisją Prawdy i Rozliczeń świadkowie demaskują wpływową postać nowego porządku jako zbrodniarzy reżimu. Albo gdy zaglądamy do świata mediów Wyspy: poważany redaktor naczelny awansował tylko tych, którzy ulegali jego homoseksualnym apetytom; ceniony publicysta, sumienie narodu, okazuje się w istocie zwykłym donosicielem, a dziennikarka prowadząca konserwatywną gazetę nie może liczyć na reklamy, bo przeciwnicy aborcji to przecież ciemnogród, a Wyspa ma być nowoczesna (w szerzeniu tej opinii przodkuje wspomniany donosiciel).

Magnaci przemysłowi są dawnymi bandziorami, w ekskluzywnych klubach za zamkniętymi drzwiami o przyszłości Wyspy radzą pospółu z przekupnymi politykami i agentami wpływu obcych mocarstw. Tak, wiele rzeczy wygląda na Wyspie ponuro, to znaczy znajomo. Ale jestem też pewien, że podobne wrażenie odniesie czytelnik z niejednego innego kraju. Lekcja jest surowa: kto nie przepracuje przeszłości, ten zasłuży tylko na bardzo brudną teraźniejszość.

Zrozumiałe nie tylko u nas będą kpiny z hipokryzji: sceny, w których francuski prezydent odwiedza Wyspę, by niby kajać się za dawne grzechy kolonizatorów, a tak naprawdę zrobić bardzo wiele, by nie powiedzieć – nic, są jednymi z najlepszych w książce. Pycha, bufonada i wyższość wielkich tego świata nieraz konfrontowane są u Magierowskiego z pamięcią maluczkich. Może nie decy-



**MAREK
MAGIEROWSKI**
**„DWANAŚCIE
ZDJĘĆ
PREZYDENTA”**
**OŚRODEK MYŚLI
POLITYCZNEJ 2024**

dują oni, czy kupić airbusy czy boeingi, ale za to żyją przyzwocie i wiedzą, kto łotr, kto święty, a kto świętego tylko udaje.

Jest w istocie ta powieść historią bardzo smutną, bo niemal wszyscy nie dorastają w niej do ról, które odgrywają. Widzę w tym wyraz rozczarowania autora światem wielkiej polityki i biznesu, któremu przyjrzał się z bliska i od wewnątrz.

Tym, którzy patrzą z daleka, wydawać się może, że każdy polityk to mąż stanu, każdy

minister to ekspert, każdy dziennikarz to Katon w służbie prawdy. Otóż nie – w powieści Magierowskiego to gromada małych ludzi od wielkich interesów, którymi bez trudu kręcą prawdziwi władcy tego świata. Jest to jednocześnie powieść bardzo zabawna, bo szyderstwa i kpiny autora są bardzo celne.

Czy jest nadzieja na ratunek dla mieszkańców Wyspy? Z jednej strony – wątpię, musieliby dokonać wysiłku jak z opowieści mistrza łgarzy barona Münchhausena, który rzekomo potrafił sam siebie wyciągnąć z bagna, łapiąc się za włosy. Z drugiej strony – opatrność Boża przejawia się na różne sposoby, a upadli potrafią powstawać w niespodziewanych chwilach. Prezydent Vastine nosi imię Emmanuel – „Bóg z nami”. Jego małżonka to Yoselina – „Bóg doda”. Do samego końca czytelnik nie będzie jednak wiedzieć, co przeważą, nawet po zamknięciu książki. Czy zaskakujące finały to wyraz Bożej sprawiedliwości, w ramach której niektórzy otrzymają drugą szansę? A może to też kpina, bo okazuje się, że wszystko tu jest niedokonane, nawet zemsta; za każdą przemianą czai się kolejna, historia nigdy się nie kończy, szlachetni upadają, mądrzy głupieją i... może odwrotnie? Ale czy na pewno?

Widzę w powieści Magierowskiego kontrpunkt do zawołania Andrzeja Horubały, który we „Wdowie smoleńskiej” (ale nie tylko) mówił: „A co, gdyby nasza mowa była tylko tak – tak, nie – nie?”. Świat Wyspy stworzony przez Magierowskiego – nasz świat – to miejsce, którym rządzi przeciwstawna logika. To świat, w którym sprawy istotne i dokonane składają się z rzeczy nieistotnych i niedokonanych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Tylko zło



★★★★★
**REŻ. ROBERT
 EGGERS**
„NOSFERATU”

wyst. wyst.
 Nicholas Hoult, Lily
 Rose-Depp, Willem
 Defoe

W filmie Murnaua „Nosferatu – symfonia grozy” (1922) wampir był symbolem zła: wąż wpęłzał do raju, którym było idylliczne miasteczko Wisburg. Wraz z nim pojawiały się plagi, był wyrazem lęków, którymi żyły weimarskie Niemcy po światowej wojnie i po epidemii hiszpanki. Werner Herzog (uważający film Murnaua za najlepszy w historii kina) pokazał w swojej wersji „Nosferatu” (1979) wampira cierpiącego i zarazem wampira buntownika, który przybył do sytego mieszczańskiego świata, żeby nim wstrząsnąć. Jaką interpretację klasycznej opowieści (wywiedzionej z „Draculi” Brama Stokera) daje nam Robert Eggers?

Wyśmienity technicznie i intrygujący wizualnie film jest

zarazem metaforą niepokojąco amoralną. Wisburg, do którego przybywa trasylwański krwio pijca, nie jest rajem, lecz piekłem liczykropów, bogaczy bez serca i nieszczęsnych niewiast o głęboko tłumionej seksualności. Naukowiec i okultysta prof. Albin Eberhart von Franz widzi w Nosferatu zbawienie dla upadłego świata; tym samym zbawcą ludzkości nie może być Chrystus. Nowa wersja opowieści Murnaua oferuje bohaterom wybór między złem a złem, co tłumaczy, dlaczego widz niespecjalnie ma ochotę któremukolwiek z nich kibicować. Kluczową figurą i bramą między światami jest przyzywająca potwora Ellen (świećna Lily-Rose Depp). Finał sugeruje, że najlepszym sposobem walki

z grzechem jest oddanie się mu, w dodatku dobrowolnie i z niejaką przyjemnością. Nie bez powodu dyskutanci Klubu Jagiellońskiego zastanawiali się w swoim podcaście, czy aby nie należało nazwać filmu Eggersa „bluźnierczym majstersztykiem”.

Dla odbiorcy z Europy Środkowej i Wschodniej jest też nowy „Nosferatu” okazją do śmiechu, ale w miejscach przez twórcę niezamierzonych. „Transylwański” akcent wampira bawi podobnie jak aktorzy w PRL-owskich serialach udający Niemców mówiących po polsku z niby taką złowrogą twardością. Chwila, w której widzimy wreszcie hrabiego Orloca vel Nosferatu w całej okazałości, zamiast mrozić krew w żyłach, skłania do pytań, czy to aby nie jest stary Boryna przebrany w za dużą baraniec. Podobnie jak w przypadku „Brutalisty” mamy tu do czynienia z opowieścią, w którą włożono bardzo wiele pracy, ale w służbie złej sprawy. Wróćcie do oryginału Murnaua, a ujrzycie arcydzieło. ©©

GRA TYGODNIA: „KINGDOM COME DELIVERANCE 2”

Przed wystawieniem maksymalnej noty powstrzymuję mnie tylko niedoróbki techniczne (zdecydowanie mniejsze niż w części pierwszej), jednak nie mam wątpliwości, że ta czeska produkcja będzie kiedyś grą na najwyższą ocenę. Jestem też pewien,

że będzie w topce gier roku albo i na samym szczycie. Twórcy wsłuchiwali się w głosy graczy, wyciągnęli wnioski, poprawili wiele rzeczy z jedyńki, zachowując z niej to, co najlepsze. To wspaniała przygoda w średnio-wiecznym świecie. Dobrze napisana



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
 i wciągająca. A że bliska czeska koszula polskiemu ciału – tym bardziej warto zagrać. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** RPG, FPP
 • **Platforma:** PS5, XSX, PC
 • **Producent; wydawca:** Warhorse; Deep Silver

Madżong w dżungli

Sztuka dla sztuki, nuda dla profanów. „Grand Tour” jest klasycznym patrzydłem. Angażuje zmysły, znakomicie nadaje się do kontemplacji, lecz spodziewać się po nim wciągającej intrygi, amerykańskiego wigoru tudzież odrobiny realizmu nie należy. Gomes, jak na absolwenta filmoznawstwa przystało, bawi się formą. Czarno-białe kadry, ścieżka dźwiękowa pasująca do fabuły jak wół do karety, wszytkowiedzący narrator, małpowanie kina podróżniczego sprzed lat 100: takie rzeczy kręca portugalskiego ekscentryka oraz jurorów z Cannes, którzy sprezentowali mu Złotą Palmę za reżyserię.

W 2012 r., po premierze „Tabu”, zarzucano Gomesowi (neo)kolonialne tęsknoty, lecz mało się tym przejął. Znowu każe bohaterom błąkać się w dżungli, przestawać z tubylcami i przeżywać miłosne rozterki. Zamienił Afrykę na Daleki Wschód. Nadal oglądamy jednak świat oczami dobrze sytuowanych Europejczyków, deklarujących, że „wszędzie czują się u siebie”. Urzeczeni egzotyką nawet



★★★★★

REŻ. MIGUEL GOMES
„GRAND TOUR”
PORTUGALIA/
WŁOCHY/FRANCJA/NIEMCY/
JAPONIA/CHINY
2024

wyst. Gonçalo Waddington, Crista Alfaiate, Cláudio da Silva

nie starają się zrozumieć obcych kultur i cywilizacji. Scena, w której Brytyjczyk przyłącza się do gry w madżonga bez zapoznania się z jej regułami, urasta do rangi symbolu.

Akcja teoretycznie rozgrywa się w 1918 r., lecz w gruncie rzeczy poza czasem. Rezulutna Molly przybywa z Londynu do Rangun w celu matrymonialnym. Narzeczony dyplomata przezornie bierze nogi za pas, ale uparte dziewczę podąża jego śladem. Pościg nie jest łatwy, gdyż Edward zmienia środki lokomocji, podróżuje bez planu i jest mu obojętne, czy obudzi się w Bangkoku, Osace, Sajgonie czy Szanghaju. Gdyby Gomes darował sobie ironię i stylistyczne zawijasy, mógłby zawędrować w okolice penetrowane ongiś przez Bowlesa i Bertolucciego. On woli jednak opowiadać romantyczne bajki, emanujące nostalgią za czasami, gdy

najskuteczniejszym środkiem łączności był telegram. Z Lizbony zapewne znowu rozlegną się jęki, że świat kocha stereotypy i uparł się widzieć w Portugalczykach naród melancholików i marzycieli. „Grand Tour” nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. Podobnie jak fado, poematy Camoesa czy utwory Pessoa. ©© **Wiesław Chelminiak**

KINO

WIELKIE NIEBA!

Podrasowane retro. Trochę łez, kupa śmiechu i siarczysty policzek wymierzony kukle patriarchy. Wyspiarze mogą kręcić takie filmy nawet z zamkniętymi oczami, mają adekwatną scenografię, plenery, kostiumy tudzież tabun aktorów charakterystycznych. W późółkłych kronikach kryminalnych łatwo jest zaś znaleźć historie godne wodewilu.

W 1920 r. miasteczko Littlehampton nawiedziła plaga wulgarnych anonimów. Domniemana autorka, okrzyknięta przez prasę „kobietą z zatrutym piórem”, trafia za kratki i tylko jedna osoba wątpi w jej winę. Powierzenie Olivii Colman roli największej hipokrytki w hrabstwie Sussex to strzał w sam środek tarczy. Gdyby scenarzystki „Wredne liściki” nie przedobrzyły, aktualizując antykwareczny skandal w duchu multi-kulti, odżałowałbym czwartą gwiazdkę, bo komedii nigdy dosyć. ©©



max

★★★★★

REŻ. THEA SHARROCK
„WREDNE LIŚCIKI” („WICKED LITTLE LETTERS”)
WIELKA BRYTANIA
2023

wyst. Jessie Buckley, Olivia Colman, Anjana Vasan

DO ZOBACZENIA

Abakanowicz. Prolog



RADOSŁAW WOJTAS

GDZIE?
Warszawa,
Kordegarda
KIEDY?
do 30 marca

Te same prace w tych samych przestrzeniach – 65 lat później. Warszawska Kordegarda cofa się do początków drogi twórczej Magdaleny Abakanowicz, przywołując jej pierwszą wystawę indywidualną, którą zorganizowano w 1960 r. właśnie w Kordegardzie.

„Na ówczesnej wystawie Abakanowicz zrywa z tradycyjnymi rolami przypisywanymi tkaninie, podejmuje zagadnienia związane z językiem sztuk wizualnych. To

gest porzucenia ram – w sensie formalnym, jak i świadoma decyzja podjęcia pracy z przestrzenią – pisze Marta Kowalewska, kurator wystawy”. Przypominając, że kiedy powojenne malarstwo lat 50. przez braki materiałowe pozostawało zredukowane do małych formatów, a cenzura ograniczała obecność abstrakcji w przestrzeniach publicznych prezentacji, Magdalena Abakanowicz wyszła poza te ograniczenia”. ©©



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

MOJA PÓŁKA

Żadnych dzwonków

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Literatura polska zawsze osiągała swe wyżyny, gdy mówiła o polskich sprawach. W innym wypadku była tylko „pawiem narodów i papugą”, nędzną podróbką, wyuczonym ćwiczeniem stylistycznym, co najwyżej błahą grą z odbiorcą. Zdecydowana większość naszych pisarzy na dobre o tym jednak zapomniała, więc doczekaliśmy się literatury zbędnej. Właśnie takiej, która o Polsce zapomniała. A przecież, jak powiada bohater najnowszej powieści Marka Stokowskiego, nazwany przez niego „Świętym Leonardem z pół”: „Z Polską to jest trochę jak z kobietą, no powiedzmy z matką albo siostrą, która stale jest obecna w naszym życiu, a my o niej nic nie wiemy, nie zauważamy jej urody albo sińców przemęczenia, radości czy smutków, nie pytamy nigdy, jak się miewa, co przeżyła, o czym marzy. No i bywa, że to inni muszą nam otworzyć na nią oczy”.

I Leo to robi, a oni wpatrują się w niego zdumieni, „jakby pierwszy raz słyszeli kogoś, wydawałoby się normalnego, a gadającego takie rzeczy”. Bo i kto im miał to mówić: nieobecni w ich życiu rodzice, za granicą zarabijący pieniądze, przesyłane do kraju jak alimenty, na odczepnego? A może nauczyciele, odbębniający pensum byle jak, a pilnujący tego jedynie, by zrealizować program? Może ksiądz w kościele mógłby do nich trafić przykładem i słowem, ale i on nie potrafi wyjść poza klepanie paciery. Poza tym do świętyni trzeba trafić, a im dotąd jakoś nie było po drodze.

A przecież jest tam choćby dzwonnica, gdzie dzwoni się na „Anioł Pański”, ale można też dzwonić, uwolnić to, co wypełnia nam serca i umysły. Wykrzyczeć radość i gniew. Tego sygnał komórki, nawet

najnowocześniejszego smartfona nie sprawi.

Warto jednak i Biblię odczytywać współcześnie. Taka np. przypowieść o synu marnotrawnym mogłaby być w naszej rzeczywistości odwrócona. Rembrandt musiałby przedstawić ją na słynnym obrazie zgoła inaczej, bo i ewangelista Łukasz zapisał ją tak: „Wybrali się więc i wrócili do syna i córki. A gdy byli oboje jeszcze daleko, ujrzały ich dzieci i wzruszyły się głęboko; wybiegły naprzeciw nim, rzuciły im się na szyję i ucałowały. A ojciec i matka rzekli do nich: »Dzieci, zgrzeszyliśmy przeciw Bogu i względem was, już nie jesteśmy godni nazywać się waszymi rodzicami«. Lecz ich syn i córka rzekli: »Będziemy ucztować i bawić się, ponieważ nasi ojciec i matka byli umarli, a znów ożyli; zaginęli, a odnaleźli się«. I zaczęli się bawić”.

„Święty Leonard z pół” to również powieść na wskroś ekologiczna, tyle że niemająca nic wspólnego z działaniami cwaniaków ochroną środowiska przesłaniających swe interesy. Dlatego bohater książki nie lubi wiatraków. „Bądźmy bardziej precyzyjni: nie lubił siłowni wiatrowych, tych zespołów wielkich turbin, które paskudziły krajobrazy, były aroganckie, pewne siebie i wszędzie głośiły, że dają zieloną, bezpieczną energię. Nie ufał tym słowom i sprawdzał. Wychodziło coś innego. Wychodziło, że produkcja i utylizacja tych potworów miały związek z ekologią. Dyskutując z wiatrakami, przypominał o utracie ziemi ornej, gilotynach dla bocianów, wielkich kosztach, infradźwiękach i elektromagnetycznym polu wokół turbin. One uważały, że przesadza, że jest uprzedzony.

Tak, wiatraki go denerwowały. To taki eufemizm. Tak naprawdę go doprowadzały do gorączki i roz-

paczy. Wyrastały coraz gęściej – na wschodzie, za lasem, i zachodzie, na Kociewiu, za odwieczną linią Wisły”.

Czytam Stokowskiego od dawna, z coraz większym zainteresowaniem i narastającym podziwem. W zeszłym roku podzieliłem się radością z lektury „Lotnicha”, brawurowej jego powieści, o latach komuny opowiadającej barwnie i porywająco, ale bez cienia najmniejszego nawet relatywizmu, czarne nazywając czarnym, a białe białym. Teraz w podobny sposób oddał sprawiedliwość Stokowski czasowi nam danemu. Ani nic nie upiększył, ani też nie popadł w nieuzasadnioną krytykę wszystkiego, co nowe i dla starszego pokolenia jakże często niezrozumiałe. Przeciwnie – jeśli pokłada w czymś nadzieję, to tylko w tym, co świeże i młode.

A czy tytułowy bohater powieści jest, w rzeczy samej, świętym? Na miarę naszego czasu i swoich możliwości. A te są takie, że na trasie swoich codziennych rowerowych „patroli” niesie pomoc wszystkim potrzebującym, tak ludziom, jak zwierzętom czy np. drzewom. Zbiera śmieci, obdarowuje sąsiadów miodem, jako emerytowany strażak naprawia urządzenia gaśnicze, wyciąga kleszcze tym, którzy nie potrafią sobie z nimi poradzić, no i walczy ze swymi traumami, bo takie ma. Bo może nie taki całkiem z niego święty. Kto wie...

Nie mam jednak wątpliwości, że ta historia o współczesnym Don Kichocie, objeżdżającym pola nad dolną Wisłą, łowiącym ryby w Liwie albo zgłębiającym dzieje krzyżackiego zamku Gniew, jest jedną z najlepszych polskich książek, jakie udało mi się przeczytać w ostatnich latach. W ciągu których wielokrotnie zdarzyło mi się już zwątpić w wartość literatury i jej sens. ©



★★★★★
MAREK
STOKOWSKI
„ŚWIĘTY
LEONARD Z PÓŁ”
PIW, WARSZAWA
2025



POCZYTANKI

Zaślepieni i bezbronni

Już nie koniec historii, ale powrót historii. W dodatku bardzo szybki powrót.

A wraz z nim koniec marzeń – diagnozował Robert Kagan już w 2009 r. Czy jednak wszyscy rozumieją dokładnie, czym ów powrót historii jest? Z pomocą przychodzi francuski eseista i historyk Thierry Wolton, który dał swej najnowszej książce trzeźwiący tytuł: „Powrót barbarzyńskich czasów”.

Wolton jest autorem monumentalnej trzytomowej „Historii komunizmu na świecie” i znawcą ponurych zakamarków duszy rosyjskiej, więc nie dziwił go Putinowski renesans moskiewskiego imperium. Zdziwiło go natomiast to, jak bardzo głupi i nieprzygotowany na powrót historii okazał się Zachód (podtytuł książki brzmi: „O zaślepieniu Zachodu i nieodrobionych lekcjach z przeszłości”).

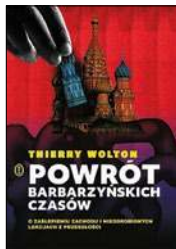
Tak, wiem, sporo się ostatnio ukazało takich książek – autorstwa rosyjskich dysydentów i zachodnich komentatorów – ale wiele z nich było obciążonych grzechem ideologicznego skrzywienia.

Rosjanom zdarza się bronić wielkości narodu rosyjskiego chwilowo tylko zaślepionego przez Putina, a liberałowie i lewicowcy po chwili słusznego oburzenia na praktyki nowego cara przechodzą płynnie do absurdalnych tez, że to

wszystko wina europejskiej prawicy (oczywiście „skrajnej” i „fundamentalistycznej”).

Głos Woltona brzmi na tym tle czysto i mocno. Jego esej jest wskazaniem, że Zachód przegapił nie tylko wzrost imperialnych nastrojów w Rosji, lecz także powstanie nowej osi zła, Moskwa-Pekin-Teheran, więc staje w obliczu wyzwania równego temu z czasów drugiej wojny światowej.

Dla uważnego polskiego czytelnika nie są to sprawy nowe; kto czytał Bartosia-ka, Budzisa i paru innych autorów, ten pewne rzeczy już wie i rozumie. Dla zachodniego czytelnika „Powrót barbarzyńskich czasów” może być szokiem. Czy pomocnym? Przypuszczam, że wątpię: oto prezydent Trump na naszych oczach składa do grobu cały powojenny jałtański porządek międzynarodowy, a europejskie elity odpowiadają bredzeniem o kompasach gospodarczych i wrogu demokracji zasiadającym w Białym Domu.

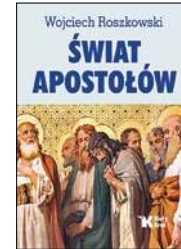


★★★★★
THIERRY WOLTON
„POWRÓT BARBARZYŃSKICH CZASÓW”
WYDAWNICTWO LITERACKIE 2024

Tymczasem powrót barbarzyńskich czasów to powrót nie tylko wojny, lecz także prawdziwej polityki międzynarodowej, tzn. polityki prowadzonej na podstawie realnej siły i umiejętności jej wielokrotnienia przez korzystne sojusze. Europa siły nie ma, a jedyne go sojusznika ły od dyktatorów. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Doskonałe uzupełnienie trylogii „Świat Chrystusa”. Co się działo w dekadach po ukrzyżowaniu Jezusa? Kto, gdzie i dla kogo głosił nowe nauki? Nikt jeszcze nie wiedział, że kładzione są fundamenty pod cywilizację Zachodu.



WOJCIECH ROSZKOWSKI
„ŚWIAT APOSTOŁÓW”
BIAŁY KRUK

Pierwsza taka praca na polskim rynku i od razu ekscytująca: wyczerpująca opowieść o życiu jednego z najważniejszych pisarzy XX w., autora głośnego eseju „Wojna powietrzna i literatura” i kilku znakomitych powieści.



CAROLE ANGIER
„CISZO, PRZEMÓW. SZUKAJĄC W.G. SEBALDA”
ZNAK

Kolejna (szósty tom cyklu), ale nie ostatnia wyprawa na Kresy Rzeczypospolitej. Koper tym razem koncentruje się na terenach obecnej Litwy i Białorusi i zapowiada tom kolejny, o Lwowie i Galicji Wschodniej.



SŁAWOMIR KOPER
„NAJBLIŻSZE KRESY. OSTATNIE POLSKIE LATA”
FRONDA

Dopiero w ostatniej części jest to książka futurologiczna; wcześniej dostajemy rozważania o tym, kto i jak tworzył postrzeganie przyszłości. A wpływało to nie tylko na nasze oczekiwania, lecz także na to, jak postrzegamy teraźniejszość. ©©

recenzuje Piotr Gociek



DAVID CHRISTIAN
„HISTORIE PRZYSZŁOŚCI”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: ŁOWIĄC ANDROIDY

Zbiórce wydanie opowieści „Luv”, „Upgrade” i „Ash”, które zgodnie z obecną modą wzbogacają uniwersum stworzone przez Philipa K. Dicka i Ridleya Scotta o tzw. silne postacie kobiece, zatem m.in. żeńską odmianę łowcy robotów. Rutyna, ale lektura wypełni fanom czas oczekiwania na



MIKE JOHNSON, MELLOW BROWN, ANDRES GUINALDO
„BLADE RUNNER 2039”
STORY HOUSE EGMONT 2024

serial Amazona „Blade Runner 2099” (premiera w tym roku). ©©

Piotr Gociek

Państwa prawa już nie ma



Mariusz Muszyński

Konsekwencją „przywracania” rządów prawa są takie absurdy, jak uchylanie przez Sąd Najwyższy wyroków skazujących różnych gangsterów, zabójców i innych poważnych przestępców pod pozorem naruszenia ich konstytucyjnego prawa do sądu przez udział tzw. neosędziego w składzie orzekającym. W efekcie bandyci wychodzą na wolność bezkarni, stanowiąc zagrożenie dla społeczeństwa i jego konstytucyjnych praw

Polska nie jest już państwem prawa. Taki wniosek nasuwa się po ponadrocznej obserwacji tego, w jaki sposób władzę sprawują politycy rządzącej koalicji.

WŁADZTWO PRAWA

Rządy prawa to koncepcja, która kreuje władztwo prawa nad działaniem władzy publicznej przez związanie tej ostatniej treścią prawa i nakazem przestrzegania go. W ten sposób rządy prawa są granicą dla polityki, dla arbitralności władzy, a tym samym gwarancją praw i wolności człowieka.

W państwie prawa tworzenie porządku prawnego odbywa się w prawem przewidzianej procedurze, a powstałe prawo jest kompletne, spójne, uporządkowane hierarchicznie i wyposażone w odpowiednią treść. Z rządów prawa wynikają też nakazy interpretacji prawa

przy użyciu prawnych reguł wykładni oraz właściwe stosowanie przepisów, w trakcie którego organy państwa działają na ich podstawie i zgodnie ze swoimi kompetencjami. Jakiegokolwiek naruszenie tych zasad podważa istotę rządów prawa.

Rządy prawa nadają władzy demokratyczną naturę i wzmacniają ją, legitymizując proces decyzyjny. Dlatego dziś rządy prawa stanowią – przynajmniej oficjalnie – fundament prawnego porządku każdego państwa. Jednak w rzeczywistości nie zawsze tak jest. Są kraje, gdzie praktyka działania władzy odchodzi od rządów prawa. Władza łamie obowiązujące standardy, choć używa przy tym autorytetu rządów prawa dla usprawiedliwienia swojego postępowania, by uzyskać społeczną akceptację.

Zgodnie z konstytucją Polska jest państwem prawa, które realizuje treść zasady

rządów prawa wskazanej w jej art. 2 (jako zbiór wartości) oraz w art. 7 (jako zbiór zasad działania państwa). I w praktyce funkcjonowania państwa przez wiele lat udawało się – w lepszy lub gorszy sposób – spełniać te standardy.

Do czasu. 13 grudnia 2023 r., na podstawie decyzji nowej większości parlamentarnej złożonej z trzech klubów: Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi (z Polską 2050 i PSL w składzie) oraz Lewicy, prezydent Andrzej Duda powołał na urząd Prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska, a następnie na jego wniosek powołał i zaprzysiągł Radę Ministrów.

PRZEWRAĆCIE RZĄDÓW PRAWA

Dla rządów prawa w Polsce ta data to symboliczny moment. Niemal natychmiast nowo ukonstituowany Sejm i Rada Ministrów rozpoczęły działania oficjalnie



FOT. ADDBE STOCK

niezależnych od rządu, których skład jest chroniony przez ograniczenia systemowe (ustrojowe), tj. konstytucyjną zasadę podziału władzy, kadencje urzędowania czy ustawowe ograniczenia możliwości odwołania z zajmowanego stanowiska itd. Celem działań było obsadzenie tych organów i instytucji własnymi nominatami, co miało ułatwić bezkarność (prokurator krajowy, prezesi sądów powszechnych) i dalsze zawłaszczanie państwa przez koalicję rządzącą.

Symbolem nowej logiki sprawowania władzy stały się dwie, doskonale dziś znane publiczne wypowiedzi polityków pełniących funkcje związane właśnie z odpowiedzialnością za funkcjonowanie państwa w ramach rządów prawa – prezesa Rady Ministrów i ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego.

Pierwsza to wypowiedź Donalda Tuska do mediów udzielona zaraz po powołaniu go do pełnienia funkcji prezesa Rady Ministrów. Tam, w odpowiedzi na pytania dziennikarzy o charakter działań planowanych przez rząd, zabrzmiały powszechnie dziś znane słowa: „Wszystko będzie zgodne z prawem, tak jak my je rozumiemy”. Z kolei powołany do pełnienia funkcji ministra sprawiedliwości Adam Bodnar, notabene były rzecznik praw obywatelskich, komentując w mediach działania ministra kultury wobec TVP, stwierdził: „Mamy sytuację, w której przywracamy tę konstytucyjność i szukamy jakiejś podstawy prawnej, żeby to zrobić”.

Dziś oba te przekazy stanowią żenujący synonim działań podejmowanych przez władzę publiczną, obnażając proces drastycznej relatywizacji istoty „rządów prawa”. Po prostu organy państwa, realizując cele polityczne, odrzucają standardy prawne, które stoją im na przeszkodzie. Chcąc jednak ukryć łamanie prawa, posługują się pojęciem „przywracania rządów prawa (praworządności)”.

STAN WYŻSZEJ KONSTYTUCYJNEJ KONIECZNOŚCI

W istocie prowadzone działania rządów prawa zaprzeczają – tak na płaszczyźnie proceduralnej (art. 7 konstytucji), jak materialnej (art. 2 konstytucji). Postępowanie organów państwa charakteryzuje się bowiem brakiem

Organy państwa, realizując cele polityczne, odrzucają standardy prawne, które stoją im na przeszkodzie

stosownej podstawy prawnej, ewentualnie jest podejmowane z przekroczeniem kompetencji lub oparte na niekonstytucyjnej interpretacji przepisów. Działania te godzą zarówno w wartości, jak i standardy ustrojowe państwa chronione konstytucją, takie jak: trójpodział władzy, niezawisłość sędziowska, hierarchia źródeł prawa, naruszanie prerogatyw prezydenta czy wiele praw obywatelskich.

Tę specyfikę odnajdujemy w działaniach każdego z segmentów władzy państwowej – prawodawcy (większość sejmowa), rządu oraz części władzy sądowniczej, z tzw. starymi Izbami Sądu Najwyższego na czele.

To niszczenie rządów prawa w Polsce posiada swoją strukturalną konstrukcję. Po pierwsze, fundament stanowią nadrzędne cele uzasadniające konieczność działania w ramach tzw. stanu wyższej konstytucyjnej konieczności. Po drugie, wobec braku podstaw prawnych w prawie krajowym specyfiką działania władzy jest ich poszukiwanie w zewnętrznych systemach prawa. Po trzecie, władza maskuje swoje bezprawie, tworząc pozory działania zgodnego z prawem i wspiera to intensywną propagandą.

I tak, jako cele działania, władza państwowa wskazuje fundamentalny interes państwa i obywateli, naruszony przez łamanie rudymentów prawa (konstytucja, ustawy) przez poprzednio rządzących. Tę rzekomą troskę widzimy w uzasadnieniach aktów Sejmu, rządu, a nawet wyrokach sądowych. Cel ten pozostaje w jawnej sprzeczności z rzeczywistymi skutkami tych aktów. Najlepszym przykładem tego absurdu jest uchylanie przez SN wyroków skazujących różnych gangsterów, zabójców i innych poważnych przestępców pod pozorem naruszenia ich konstytucyjnego prawa do sądu przez udział tzw. neosędziego w składzie orzekającym. W efekcie bandyci wychodzą na wolność bezkarni, stanowiąc

nazywane przez polityków większości parlamentarnej „przywracaniem rządów prawa”. W rzeczywistości działania te z rządami prawa nie mają nic wspólnego. Wręcz przeciwnie – ich celem jest bowiem dokonanie w sposób faktyczny istotnych i trwałych zmian strukturalnych w systemie politycznym państwa (ustroju) zdefiniowanym przecież na poziomie konstytucyjnym i ustawowym. I ubranym w konstrukcję rządów prawa.

To „przywracanie”, a de facto „prze-wracanie” rządów prawa rozpoczęto od ingerencji w składy osobowe niektórych organów państwa (usunięcie prokuratora krajowego) lub przynajmniej próby ingerencji (Krajowa Rada Sądownictwa) czy kontrolowanych przez państwo instytucji (urzędy centralne, spółki medialne). Ingerencja ta dotyczyła nie tylko podmiotów bezpośrednio podległych rządowi, lecz także organów

■ zagrożenie dla społeczeństwa i jego konstytucyjnych praw.

Innym usprawiedliwieniem burzenia państwa prawa jest zasiadanie w części organów państwa i urzędów osób powołanych przed 13 grudnia 2023 r., jeszcze przez poprzednią władzę. I ci funkcjonariusze państwa są definiowani przez obecnie rządzących jako „wrogowie konstytucji” i posądzani o przeszkadzanie w „przywracaniu” praworządności w nowym rozumieniu. A przecież oni tylko żądają postępowania zgodnie z prawem.

LICZY SIĘ CEL

W efekcie państwo jest definiowane jako pozostające w głębokim kryzysie państwowości, który można naprawić wyłącznie poprzez działanie w ramach tzw. konstytucyjnej wyższej konieczności. Skoro nie można procedować, bo prawo jest „złe”, nie można też współdziałać z organami państwa obsadzonymi przez wrogów konstytucji, to przywracanie porządku prawnego musi przełamać te ograniczenia. Dla realizacji tak fundamentalnych celów można nawet działać z pominięciem konstytucji. Koszty nie grają roli. Liczy się cel.

Druga przesłanka wiąże się z odrzuceniem konstytucyjnego legalizmu (art. 7) i poszukiwaniem podstaw prawnych na zewnątrz krajowego systemu prawa. Przyczyna jest prosta. Postępowanie obecnej władzy nie ma oparcia w obowiązującym porządku krajowym, a wręcz jest z nim jawnie sprzeczne. Dlatego na użytek polityczny należy stworzyć alternatywną legalność, mocując działania w zewnętrznych systemach prawa. Stąd jako źródła swego procedowania władza przedstawia nam akty prawne pochodzące z porządków dwóch regionalnych organizacji międzynarodowych – Rady Europy i Unii Europejskiej. Są to w szczególności akty stosowania prawa (wyroki ETPC i TSUE) oraz akty niewiążące (opinie i stanowiska Komisji Europejskiej, Komisji Weneckiej, Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy). Co ciekawe, nawet tu dochodzi do manipulacji, bo akty te są używane sprzecznie z rolą, którą im przypisuje samo prawo międzynarodowe, czy z rolą, którą dla nich formułuje Konstytucja RP (art. 9). Na dodatek władza używa ich w sposób wybiórczy i jeśli nie pasuje jej jakieś rozstrzygnięcie czy nawet literalne

Rządów prawa nie da się już przywrócić bez konstytucyjnego resetu

sformułowanie, to je po prostu pomija albo – korzystając z braku powszechnej znajomości tych aktów w społeczeństwie – przypisuje im treści, których w rzeczywistości w nich brakuje (np. przywołują rzekomą delegalizację powołań sędziowskich w wyrokach TSUE, czego tam nie ma).

Wreszcie kolejną przesłanką charakteryzującą działanie polskich władz jest kreowanie wrażenia postępowania zgodnego z prawem. Przy braku możliwości współdziałania z prezydentem, który nie chce wspierać naruszania rządów prawa, działania rządu i Sejmu są podejmowane w drodze manipulacji instrumentami prawnymi. Rządzący sięgają po te, które są w ich zasięgu, choć instrumenty te są kompletnie nieadekwatne z perspektywy konstytucyjnej dla realizacji zakładanych celów, bo albo nie należą do źródeł prawa powszechnie obowiązującego w Polsce (są aktami wewnętrznymi organów), albo są zbyt nisko w hierarchii prawa dla rozwiązywania kwestii umocowanych formalnie na dużo wyższym poziomie hierarchicznym, ewentualnie mają całkiem charakter pozaprawny. W tym działaniu nie chodzi bowiem o spełnienie wymogów formalnych, ale o stworzenie w oczach polskiej i międzynarodowej społeczności pozorów działania zgodnego z prawem przez nadanie mu jakiegokolwiek formalnego kształtu. Przykładami są tu: stosowanie uchwał Sejmu jako podstawy do próby delegalizacji Trybunału Konstytucyjnego czy Krajowej Rady Sądownictwa, używanie uchwały Rady Ministrów dla odrzucenia konstytucyjnego obowiązku ogłaszania wyroków TK, sięganie do ustawy, by stworzyć przepisy pozwalające usunąć tzw. neosędziów powołanych przecież przez prezydenta bezpośrednio na podstawie konstytucji czy kuriozalne przywoływanie opinii ekspertów jako uzasadnienia faktycznych działań usuwających ze stanowiska wbrew ustawie legalnego prokuratora krajowego czy siłowego i sprzecznego

z ustawami przejścia władzy w mediach publicznych itp.

NACHALNA PROPAGANDA

Takiemu mydleniu oczu społeczeństwa służy też cyrk z wymianą korespondencji między ministrem finansów a PKW w sprawie finansów PiS o rzekomej wykładni czegoś, co jest oczywiste. Dopóki krążą pisma, dopóty minister próbuje się nimi zastaniać, by nie wykonywać obowiązków wynikających z ustawodawstwa.

To wszystko przykrywa się nachalną propagandą. Tu pomogło rządowi obsadzenie spółek medialnych osobami związanymi z nową władzą. Doszło w ten sposób do zakłócenia równowagi medialnej, co poznaliśmy już w latach 2008–2015. Tylko dziś przekaz propagandowy jest zdecydowanie bardziej agresywny i pozbawiony jakichkolwiek pozorów obiektywizmu.

W propagandę włączyły się też osoby z tytułami naukowymi o lewicowej proweniencji, w tym osoby zarówno pełniące kiedyś ważne państwowe lub międzynarodowe funkcje, jak i te aspirujące dziś do różnych stanowisk. W ten mechanizm wpisuje się także propagandowe wsparcie liberalno-lewicowych elit politycznych czy ośrodków pozarządowych z Europy Zachodniej. Jaskrawym przejawem zakłamywania wartości w tym obszarze stało się przyznanie Donaldowi Tuskowi przez londyński think tank Chatham House nagrody „for his work restoring democracy in Poland” („za jego pracę na rzecz przywrócenia demokracji w Polsce”). Brzmi to dość kuriozalnie, bo aktywność rządu i Sejmu kontrolowanych przez Donalda Tuska stanowi na tej płaszczyźnie wręcz modelowy przykład działań niezgodnych z prawem i łamiących zasady demokracji, aczkolwiek definiowanych jako przywracanie rządów prawa.

Państwo zostało zdemolowane. Nie jestem karnistą, nie wiem, czy tego rodzaju aktywność to zamach stanu, o którym opinia publiczna dziś tak dyskutuje, ale do faktycznej zmiany konstytucyjnego ustroju państwa na pewno doszło. A Polski jako państwa prawa w rozumieniu obowiązującej konstytucji już nie ma.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest prawnikiem, profesorem na Wydziale Prawa i Administracji UKSW.

Sytuacja wokół Ukrainy zmienia się z dnia na dzień. Dzisiaj z dużym prawdopodobieństwem można założyć, że elementem przetargowym pomiędzy prawdziwymi uczestnikami tej wojny zastępczej – Waszyngtonem i Moskwą – będzie przeprowadzenie na Ukrainie wyborów prezydenckich, które powinny być odbyć się jeszcze w marcu 2024 r. Nie odbyły się, ponieważ trwa wojna. Ale nie odbyły się również dlatego, że najpewniej przegrałby je Wołodymyr Zełenski. Przeprowadzony w listopadzie ubiegłego roku sondaż prezydencki Centrum Monitoringu Społecznego zwycięstwo dawał Walerijowi Załużnemu (27 proc.) wobec zaledwie 16 proc. poparcia dla obecnego prezydenta. Przeciąganie obecnego stanu rzeczy to zatem ratowanie swojej politycznej pozycji przez Zełenskiego, a najpewniej także ratowanie się jego samego i jego otoczenia przed nieuchronnymi rozliczeniami, również korupcyjnymi. Wątpliwe, żeby obecny układ chciał przed nimi chronić w jakikolwiek sposób waszyngtońska administracja. Raczej przeciwnie, skoro jednym z głównych przekazów Donalda Trumpa w czasie kampanii było to, że rząd Joe Bidena marnował pieniądze na pomoc dla Ukrainy, wrzucając je w czarną korupcyjną dziurę. W Polsce całkowicie pomija się fakt, że Zełenski walczy dzisiaj o osobistą przyszłość. Może po prostu o to, żeby uchronić się przed więzieniem.

Jest w zasadzie pewne, że zatrzymanie wojny (czy też jej zamrożenie) będzie wymagało pogodzenia się Kijowa z utratą części swoich terytoriów – na co zresztą, jak wskazują sondaże, gotowa jest coraz większa część Ukraińców. W tej chwili Rosjanie kontrolują ok. 20 proc. terytorium Ukrainy.

BLISKO POROZUMIENIA

Nad Wołodymyrem Zełenskim wisi teraz pytanie, czy kurs twardego oporu, którym poprowadził swoje państwo po 24 lutego 2022 r., był opłacalny. Aby te wątpliwości zrozumieć, trzeba się cofnąć ok. trzech lat, do wiosny 2022 r. Jak wiadomo, pierwsza oferta rozmów pokojowych pojawiła się w marcu tamtego roku. Po serii spotkań na Białorusi i w Turcji rokowania toczyły się w Stambule i podpisano tam ostatecznie słynny komunikat. Rozmowy zostały jednak zerwane w maju tamtego roku.

Ukraińskie zapętlenie



Łukasz Warzecha

Wydarzenia przyspieszają dramatycznie. Rozmowa telefoniczna amerykańskiego prezydenta sprzed paru dni z Władimirem Putinem, po której pojawiła się zapowiedź szybkiego rozpoczęcia negocjacji, to sygnał przystąpienia Donalda Trumpa do realizacji swoich zapowiedzi zakończenia działań zbrojnych. Polska nie jest wobec wydarzeń, które się właśnie dzieją, nawet w drugim rządzie sprawczości, ale w czwartym czy piątym. Swoją szansę dawno już zmarnowaliśmy

W kwietniu 2024 r. Sergey Radchenko z Johns Hopkins University School of Advanced International Studies oraz Samuel Charap z RAND Corporation opublikowali w magazynie „Foreign Affairs” niezwykle interesującą analizę tamtych negocjacji. Opierali się na dokumentach, w tym wcześniej nieznanach, na świadectwach dyplomatów, z którymi rozmawiali osobiście, oraz tych dostępnych w sieci (w tym w językach rosyjskim i ukraińskim).

Charap i Radchenko stwierdzają, że zerwanie rozmów nie miało pojedynczej przyczyny, a także że ugoda została niemal zawarta, a mogła dać Ukrainie trwały neutralny status i gwarancje bezpieczeństwa oraz wyznaczyć drogę do UE.

To Ukraińcy mieli przygotować ramowe podstawy przyszłego traktatu, a Rosjanie się na nie w większości godzili. Ukraina miała się stać krajem trwale neutralnym, nie dążyć do wejścia do żadnego przymierza wojskowego oraz nie gościć na swoim terytorium żadnych zagranicznych sił wojskowych. Gwarantami porozumienia i zarazem ochrony Ukrainy przed kolejną

agresją mieli być wszyscy stali członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ (włączając Rosję), a także Polska, Kanada, Niemcy, Izrael, Włochy oraz Turcja. Drzwi do UE miałyby być natomiast dla Kijowa otwarte. Mało tego: państwa gwarantujące porozumienie, w tym Rosja, zobowiązywały się do „ułatwienia” Ukrainie drogi do UE, co było daleko idącym ustępstwem ze strony Moskwy. Podobnie zaskakujący był ustęp wskazujący na konieczność pokojowego rozstrzygnięcia kwestii Krymu w ciągu najbliższych 10–15 lat.

Co ciekawe, wśród punktów spornych, na które pod koniec negocjacji nalegali Rosjanie, a na które nie chciał się zgodzić Kijów, była m.in. kwestia polityki historycznej Ukrainy, w tym podejścia do nacjonalistycznej partyzantki ukraińskiej i jej walki przeciwko Sowieciom, a więc zagadnienie, które jest ważne również z polskiego punktu widzenia. Jednak w opinii szefa ukraińskiej delegacji, Dawida Arachamii, znaczenie tych punktów nie było kluczowe. Rosjanom zależało przede wszystkim na zapewnieniu neutralności Ukrainy,

co jest głęboko spójne ze sposobem widzenia przez Moskwę kwestii swojego strategicznego bezpieczeństwa.

Inne rozbieżności pomiędzy stronami dotyczyły rozmiarów armii, którą miałyby zachować Ukraina (250 tys. postulowane przez stronę ukraińską i 85 tys. przez stronę rosyjską), oraz zasięgu broni, którą miałyby dysponować (280 km względem zaledwie 40 km). Tutaj zapewne było możliwe zbliżenie stanowisk. Nie było natomiast w szkicu traktatu mowy o konkretnych kwestiach granicznych.

W połowie kwietnia – jak relacjonował w 2023 r. Ołeksandr Czalij, ukraiński negocjator – było już bardzo blisko podpisania traktatu. Zdaniem Radchenki i Charapa za zniweczeniem dyplomatycznego wysiłku faktycznie w dużej części stał Zachód, który nie kwapił się zwłaszcza do przyjęcia roli gwarantującego Ukrainie ochronę. Dawid Arachamia w wywiadzie z 2023 r. nie pozostawiał wątpliwości, że jednym z głównych torpedujących porozumienie był Boris Johnson, który przyjechał do Kijowa 9 kwietnia i natychmiast zaczął deprecjonować rezultaty ukraińsko-rosyjskich rozmów. Jednak odpowiedzialność spada także na Zełenskigo, który przestał uznawać dyplomatyczne rozwiązanie za konieczne i nie wywierał w tej sprawie na zachodnich sprzymierzeńców dość mocnego nacisku. Najwyraźniej uwierzył, że wojnę da się „wygrać” i w związku z tym opłaca się ją ciągnąć.

Mogąc jedynie spekulować o rosyjskich motywacjach, Radchenko i Charap podsumowują, że planowany układ za bardzo starał się rozwiązywać nabrzmiałe od dawna kwestie strategiczne, a za mało skupiał się na ściśle bieżących zagadnieniach, takich jak korytarze humanitarne albo zawieszenie broni. Nie ma jednak wątpliwości co do jednego: wiosną 2022 r. było bliżej zawarcia porozumienia niż kiedykolwiek później – być może z wyłączeniem aktualnego momentu. Tyle że teraz do gry wszedł prezydent Trump.

Obszar zajęty przez Rosję w kwietniu 2022 r. był podobny do obecnego, więc zgoda na zakończenie działań wtedy nie oznaczałaby strat terytorialnych większych niż obecne. Tyle że dzisiaj Ukraina jest uboższa o 45 tys. zabitych żołnierzy i blisko 400 tys. rannych, jeśli wierzyć danym podawanym przez prezydenta Zełenskigo w niedawnym wywiadzie,

które niemal na pewno są propagandowo złagodzone. Ukraiński dziennikarz Jurij Butusow podaje znacznie wyższą liczbę zabitych: ok. 70 tys. Szkody, które wynikły dla Ukrainy z wojny, są dramatyczne: to nie tylko zabici i inwalidzi wojenni, lecz także ludzie z trwale uszkodzoną psychiką, którzy po zakończeniu walk staną się gigantycznym problemem dla samej Ukrainy, ale niestety również dla Polski – niezależnie od tego, jak bardzo będą się oburzali wskazywaniem tego ukraińscy politycy. To także olbrzymie straty materialne i setki tysięcy emigrantów, którzy zapewne nigdy już do swojego kraju nie wrócą, skazując go na trwałą zapaść demograficzną.

Ukraińcy w momencie, gdy ucichną działa, postawią pytanie prezydentowi Zełenskiemu: Czy to się opłacało? Bo z czym Ukraina tę wojnę skończy? Co zyskała, nie kończąc jej w 2022 r.? Terytorialnie – nic. Strategicznie prawdopodobnie również nic, bo – jak wynika ze słów nowego zwierzchnika Pentagonu Pete’a Hegsetha, ogłoszonych w ubiegłym tygodniu – nie ma mowy ani o odzyskaniu terytoriów sprzed 2014 r., ani o wejściu Ukrainy do NATO.

Wydarzenia przyspieszają dramatycznie. Rozmowa telefoniczna amerykańskiego prezydenta sprzed paru dni z Władimirem Putinem, po której pojawiła się zapowiedź szybkiego przystąpienia do negocjacji, to sygnał przystąpienia Donalda Trumpa do realizacji swoich zapowiedzi zakończenia działań zbrojnych. Rozmowa dwóch światowych przywódców była symboliczna – oznacza bolesny cios wymierzony w naiwne, idealistyczne widzenie wojny na Ukrainie, które retorycznie stanowiło podstawę działania dużej części europejskich elit, w przypadku Polski zaś – niestety także podstawę faktyczną. Jak Himilbach z angielskim zostają dzisiaj wszyscy ci zatwardziali zwolennicy polityki nierealnej, którzy w przeszłości nie byli w stanie zaakceptować nawet tego, że wojna na Ukrainie jest faktycznie konfliktem zastępczym, w którym sama Ukraina ma najmniej do powiedzenia. Takie oceny nazywali niezmiennie „powielaniem rosyjskiej narracji”, a Władimira Putina nazywali „Putlerem”. Teraz „Putler” staje się partnerem najpotężniejszego mocarstwa świata w negocjacjach – co oczywiście łatwo było przewidzieć.



W Polsce całkowicie pomija się fakt, że prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski (na zdjęciu) walczy dzisiaj o osobistą przyszłość. FOT. PRESIDENT.GOV.UA

Złośliwie można by powiedzieć, że realiści – którzy niemal od początku wojny dopominali się o jej realistyczną ocenę i uwzględnienie polskich, a nie ukraińskich interesów – będą mogli teraz zrobić sobie popcorn, rozsiąść się wygodnie w fotelu i patrzeć, jak szczególnie przedstawiciele obozu PiS, fetującego przecież wygraną Donalda Trumpa, będą się wic i łapać prawą ręką za lewe ucho, próbując dowieść, że właściwie zawsze opowiadali się za polityką realną.

W ROLI STATYSTÓW

Niestety, Polska nie taką politykę uprawiała, co zawdzięczamy przede wszystkim prezydentowi Andrzejowi Dudzie, premierowi Jarosławowi Kaczyńskiemu i premierowi Mateuszowi Morawieckiemu. Polska także z tego powodu nie jest wobec wydarzeń, które się właśnie dzieją, nawet w drugim rządzie sprawczości, ale w czwartym czy piątym. Swoją szansę dawno już zmnarowaliśmy. Dzisiaj jesteśmy statystą, z którym ujęcia mogą zostać w ogóle wycięte z ostatecznej wersji filmu. Będziemy mieli ogromny problem, żeby obronić swoje podstawowe interesy, którymi powinniśmy się właśnie teraz zająć bezwzględnie. Tych interesów jest kilka.

Po pierwsze – mimo amerykańskich nacisków nie uczestniczyć w jakimkolwiek stopniu w gwarancjach dla Ukrainy czy w utrzymaniu zawartego porozumienia poprzez wysyłanie naszych sił na Ukrainę.



Po drugie – wreszcie przestać powielać bezmyślnie kliszę o koniecznym poparciu dla członkostwa Ukrainy w UE (dyskusję o NATO wobec stanowiska USA można sobie darować) i przynajmniej zacząć na ten temat poważną dyskusję. Istnieją bowiem bardzo twarde argumenty wskazujące, że wejście Ukrainy do Unii jest wbrew naszemu interesowi, i część publicystów „Do Rzeczy” wielokrotnie je przedstawiało. Inny kurs klasa polityczna przyjęła prawem kaduka, w ogóle nie poddając sprawy pod publiczną debatę.

Po trzecie – zabezpieczyć nasze interesy w sferze rolnictwa, transportu, energetyki i innych, gdzie mogą wchodzić w konflikt z ukraińskimi.

Po czwarte – stworzyć mechanizm, który zapobiegnie przedostaniu się do Polski po zakończeniu walk na Ukrainie tysięcy zdemoralizowanych, wyszkolonych, bezwzględnych, cierpiących na PTSD mężczyzn, którzy stworzyliby w naszym kraju groźne ukraińskie podziemie przestępcze na skalę przebijającą nawet to, co znamy z lat 90.

Po piąte wreszcie – określić twarde i jednoznacznie polski kurs wobec narastającego na Ukrainie kultu nacjonalistów z OUN-UPA. Umowa, którą zawarł polski rząd w sprawie poszukiwań i ekshumacji ofiar ludobójstwa, która zakłada wzajemność w podejściu do mogił upowców w Polsce, jest nieakceptowalna, a narastający ukraiński nacjo-

W kwestii Wołynia dzieje się dokładnie to, przed czym przestrzegali krytykowani przez prof. Andrzeja Nowaka realiści: Kijów wiedział, że od Warszawy ma wszystko za frajer, przeto rozumiał, że nigdy absolutnie niczego dawać nie musi

nalizm będzie dla nas coraz większym problemem.

W tym kontekście trzeba odnotować zapętlenie przedstawicieli środowiska, które w naszym kraju kierowało się ukrajinofilskimi dogmatami, a teraz doznaje swego rodzaju rozdzielenia jaźni. Jedną z takich osób, prof. Andrzej Nowak, była niedawno gościem Bogdana Rymanowskiego. W trakcie długiej rozmowy na kanale „Rymanowski Live” zaznaczył swoje bardzo krytyczne stanowisko wobec „niehumanitarnej” – jak to określił – postawy Kijowa w sprawie poszukiwań i ekshumacji ofiar ludobójstwa, szczególnie wobec udzielonej przez Polskę pomocy. Profesor nie rozumie, że ta postawa wynika z kośca ukraińskiego widzenia polityki i relacji międzynarodowych, które do złudzenia

przypomina podejście rosyjskie: jest agresywne, chamskie, bezwzględne. Andrzej Nowak niestety nie jest tu w stanie pozbyć się swego pięknoduszostwa, tymczasem w kwestii Wołynia dzieje się dokładnie to, przed czym przestrzegali krytykowani przez niego realiści: Kijów wiedział, że od Warszawy ma wszystko za frajer, przeto rozumiał, że nigdy absolutnie niczego dawać nie musi. Dotyczyło to zresztą wszystkich zagadnień, nie tylko historycznych. A w przypadku ludobójstwa na Kresach dawać nie chce, bo świadomie uznaje OUN-owską ideologię za fundament współczesnego ukraińskiego państwa. Rząd Tuska o tym wie i dlatego Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego odmówiło informowania o postępach w sprawie poszukiwań i ekshumacji, wiedząc, że żadnego postępu nie będzie.

Profesor Nowak popelnia w swoich wywodach jeszcze jeden błąd: wskazuje na Ukrainę jako na kraj, który dzieląc Rosję i Niemcy, uniemożliwi sprzymierzenie się tych dwóch naszych wrogów – lub po prostu rywali, bo Niemcy naszym wrogiem jednak nie są – ze szkodą dla nas. Problem w tym, że powojenna Ukraina – a nawet ta istniejąca już teraz – stanie się wasalem Berlina. Z tego powodu, jeśli Niemcy zechcą odnowić za jakiś czas swoje relacje z Moskwą, Ukraina nie będzie w tym przeszkodą. Przeciwnie – stanie się wręcz pomostem. I to ona może na tym jeszcze skorzystać, na pewno nie my.

TWARDE PRZEBUDZENIE

W ten oto sposób następuje przykre i twarde przebudzenie. Na Ukrainie – tych, którzy naiwnie wierzyli, że uda się wyprzeć Rosję z terenów, które zajęła nawet w 2014 r., a którzy kończą, patrząc na rzędy grobów ukraińskich żołnierzy. W Polsce – specjalistów od wgniatania Putina w ziemię, tropienia ruskich onuc i nazywania Putina „Putlerem”. Niestety, ci ostatni bawili się długo kosztem nas wszystkich.

Niemal równo dwa lata temu prezydent Andrzej Duda wspominał swoją rozmowę z Wołodymyrem Zełenskim. Opowiadał, że zwrócił się do prezydenta Ukrainy w te słowa: „Wołodymyr, ja cię bardzo proszę, jak już pokonacie Rosję, jak już Rosjanie będą tutaj na kolanach przychodzili, żeby podpisać pokój, zaciągnij ich do Perejaśławia!”.

Niektóre wypowiedzi wyjątkowo źle się zestarzały.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Prokurator generalny Teksasu Ken Paxton pozwał BlackRock i dwóch innych największych inwestorów instytucjonalnych na świecie, firmy State Street Corporation i Vanguard Group, za zмовę i stosowanie praktyk monopolistycznych, które miały na celu sztuczne ograniczenie rynku wydobycia węgla. W ciągu kilku lat te trzy firmy nabyły znaczące udziały w każdej większej spółce publicznej w Stanach Zjednoczonych, która jest producentem węgla, tworząc kartel inwestycyjny, który w 2021 r. ogłosił, że wykorzysta swoje udziały w celu wywierania presji na spółki węglowe, aby dostosowały się do celów „zielonej energii”. Aby to osiągnąć, firmy inwestycyjne naciskały na zmniejszenie wydobycia węgla o ponad połowę do 2030 r., co miało na celu zmniejszenie podaży węgla na rynku, a tym samym zwiększenie cen energii elektrycznej dla konsumentów.

Kartel wykorzystał inicjatywę Climate Action 100 (globalna inicjatywa inwestorów w celu redukcji emisji gazów cieplarnianych) i Net Zero Asset Managers Initiative (międzynarodowa grupa zarządzających aktywami, wspierająca cel osiągnięcia zerowej emisji netto gazów cieplarnianych najpóźniej do 2050 r.), aby wspólnie zasygnalizować zamiar ograniczenia wydobycia węgla, co miało wpływ na politykę firm, w których fundusze miały udziały, i w przewidywalny sposób zwiększyło koszty energii elektrycznej dla Amerykanów w całych Stanach Zjednoczonych.

INWESTORZY W RYZACH

Celowe i sztuczne ograniczanie podaży zwiększało ceny i umożliwiało firmom inwestycyjnym osiągnięcie nadzwyczajnych zysków. Zmowa ta naruszyła wiele przepisów federalnych, które uniemożliwiają głównemu udziałowcowi lub grupie udziałowców wykorzystywanie udziałów w celu ograniczenia konkurencji lub angażowania się w inne programy antykonkurencyjne. Co więcej, firmy złamały teksańskie przepisy antymonopolowe i dotyczące nieuczciwych praktyk handlowych.

„Teksas nie będzie tolerował nielegalnego wykorzystywania branży finansowej w służbie destrukcyjnego, upolitycznionego programu »środowiskowego«. BlackRock, Vanguard i State Street utworzyły kartel w celu manipulowania rynkiem



Ciemne chmury nad BlackRock



Mariusz Jagóra

Szansa na zaostrzenie regulacji lub wprowadzenie dodatkowych warunków, związanych z obawami, że BlackRock wykorzystuje inwestycje do promowania określonej agendy politycznej, jest całkiem realna



FOT. J. ADRESZCZAK

Co niemal trzy lata firma BlackRock jest zobowiązana do ubiegania się o „ogólne upoważnienie” (blanket authorization) od Federalnej Komisji Regulacji Energetycznej (FERC). Upoważnienie to pozwala na nabywanie i posiadanie ponad 10 mln dol. (lub 10 proc. udziału) w głosujących akcjach wielu przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Jeśli wartość akcji nabytych przez BlackRock w jednym przedsiębiorstwie użyteczności publicznej przekroczy 10 mln dol. lub jeśli BlackRock nabędzie akcje, które stanowią więcej niż 10 proc. wszystkich akcji z prawem głosu w danej firmie użyteczności publicznej (nawet jeśli wartość tych akcji jest mniejsza niż 10 mln dol., ale przekracza 10 proc. całkowitej liczby głosów), musi uzyskać zgodę od FERC. Przedsiębiorstwa użyteczności publicznej są kluczowe dla infrastruktury i dostarczania podstawowych usług, takich jak energia, woda czy gaz. Ustanowienie progów pomaga unikać sytuacji, w której jedna firma lub inwestor zyskuje nadmierną kontrolę nad sektorem użyteczności publicznej, co mogłoby prowadzić do monopolizacji lub kontroli cen. Proces uzyskiwania upoważnienia zapewnia, że inwestycje są monitorowane i dostosowane do regulacji, które mają na celu ochronę konsumentów i konkurencyjności rynku.

Bez tego upoważnienia BlackRock nie jest w stanie prowadzić dużej części biznesu opierającego się na indeksach, ponieważ przedsiębiorstwa użyteczności publicznej są kluczowymi składnikami różnych indeksów, jak np. S&P 500 czy Russell 3000. Krótko mówiąc, jeśli firma nie może kupować akcji spółek użyteczności publicznej, to również nie może w pełni oferować tych indeksów. Przepisy wymagające od BlackRock ubiegania się o „ogólne upoważnienie” od Federalnej Komisji Regulacji Energetycznej mają na celu regulację inwestycji w przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, aby zapobiec nadmiernemu wpływowi na te firmy przez inwestorów finansowych.

Prawdopodobieństwo całkowitego zablokowania „ogólnego upoważnienia” dla BlackRock jest niskie, ale szansa na zaostrzenie regulacji lub wprowadzenie dodatkowych warunków, związanych z obawami, że BlackRock wykorzystuje inwestycje do promowania określonej agendy politycznej, jest całkiem realna.

BlackRock spotkał się także z falą krytyki i oporem politycznym za nacisk na inwestycje ESG (Environmental, Social and Governance). Jest to koncepcja, która odnosi się do trzech obszarów oceny odpowiedzialności i zrównoważonego rozwoju przedsiębiorstw – spraw środowiskowych, społecznych i zarządzania – coraz szerzej stosowana w świecie biznesu, inwestycji i raportowania, szczególnie w kontekście dążenia do zrównoważonego rozwoju i tzw. odpowiedzialności korporacyjnej. Firma jest do tego stopnia skupiona na koncepcji ESG, że oszukiwała inwestorów, którzy nie chcieli wspierać inwestycji związanych z ESG, co dowodzi, że rzeczywiste strategie inwestycyjne nie odpowiadają publicznie deklarowanym celom i politykom funduszu. To sprawiło, że BlackRock znalazł się na celowniku debat politycznych, zwłaszcza w sporych zowanym klimacie politycznym, w którym ESG jest postrzegane przez niektórych jako narzędzie ideologiczne, a nie strategia biznesowa.

Opozycja polityczna może prowadzić do utraty klientów, szczególnie tych o bardziej konserwatywnych poglądach politycznych lub tych, którzy nie zgadzają się z priorytetami ESG. To mogłoby wpłynąć na przychody BlackRock, ponieważ jego biznes opiera się na zarządzaniu aktywami klientów. Może to doprowadzić do zmiany preferencji inwestycyjnych: jeśli rynek zacznie odchodzić od ESG lub jeśli inwestorzy zaczną postrzegać te strategie jako ryzykowne lub mniej zyskowne, to BlackRock może stracić przewagę konkurencyjną, którą starał się zbudować przez promocję zrównoważonych inwestycji. Niektóre stany, jak Teksas, podjęły kroki w celu wycofania inwestycji z BlackRock ze względu na tego typu praktyki, postrzegając je jako narzucanie politycznych ideologii na decyzje inwestycyjne. Może to mieć wpływ na przychody BlackRock z działalności indeksowej, biorąc pod uwagę, że inwestycje te stanowią główną część portfela firmy.

POTĘGA BLACKROCK

BlackRock Solutions, oddział zarządzania ryzykiem firmy BlackRock, stworzył platformę zarządzania ryzykiem i portfelem inwestycyjnym Aladdin (skrót od Asset, Liability, Debt and Derivative Investment Network – Sieć inwestycji

węgla, sztucznego zmniejszania podaży energii i podnoszenia cen” – powiedział prokurator generalny Teksasu, Ken Paxton. – Ich zмова zaszkodziła amerykańskiej produkcji energii i wyrządziła krzywdę konsumentom. Jest to rażące naruszenie prawa stanowego i federalnego”. Do pozwu dołączyło 10 innych stanów: Alabama, Arkansas, Indiana, Iowa, Kansas, Missouri, Montana, Nebraska, Wirginia Zachodnia i Wyoming.

To nie koniec kłopotów dla BlackRock. Ostatnio jej szef, Larry Fink, wyraził zaniepokojenie dotyczące potencjalnej konieczności przeprojektowania działalności indeksacyjnej swojej firmy, która jest zarówno największym źródłem przychodów firmy każdego roku, jak i największym źródłem władzy w realizacji skrajnie lewicowego programu politycznego, koncentrującego się na promowaniu zrównoważonego rozwoju, różnorodności i kwestiach społecznych.

■ w aktywa, pasywa, długi i instrumenty pochodne), która pomaga w ocenie inwestycji, zarządzaniu portfelami inwestycyjnymi i w przeprowadzaniu testów stresowych dla różnych scenariuszy ekonomicznych. System ten jest wykorzystywany przez fundusze emerytalne, banki, firmy ubezpieczeniowe oraz rządy. Nawet amerykańska Rezerwa Federalna wykorzystywała Aladdin do nadzorowania rynków finansowych podczas kryzysów. Aladdin jest często opisywany jako kluczowy element sukcesu BlackRock, umożliwiając firmie zdobycie dominującej pozycji na rynku zarządzania aktywami. Jego wpływ rozciąga się na globalne rynki finansowe dzięki szerokiemu gronu klientów i użytkowników.

Zgodnie ze stanem na listopad 2024 r. wartość BlackRock, mierzona wysokością aktywów pod zarządzaniem (Assets Under Management – AUM), wynosi ok. 11 bln dol., co sprawia, że jest największą firmą zarządzającą aktywami na świecie i dominuje na rynku zarządzania inwestycjami. BlackRock nie „kontroluje” firm w sensie posiadania większościowego, ale jego wpływ jest ogromny ze względu na wielkość inwestycji i zdolność do wpływania na decyzje korporacyjne poprzez głosowanie akcjonariuszy i dialog z zarządami firm. BlackRock ma udziały w tysiącach firm na całym świecie, co czyni go jednym z największych akcjonariuszy w wielu sektorach gospodarki. Na przykład jest znaczącym inwestorem w topowych firmach technologicznych, takich jak Apple, Microsoft, Google (Alphabet), a także w firmach z sektora energii, finansów, zdrowia i wielu innych. Przez produkty takie jak iShares, BlackRock jest jednym z największych dostawców funduszy ETF (Exchange-Traded Funds), co oznacza, że kontroluje znaczną część rynku funduszy inwestycyjnych, zwłaszcza w segmencie funduszy pasywnych, które śledzą różne indeksy rynkowe. BlackRock ma także duży wpływ na rynki kapitałowe poprzez inwestycje w akcje, obligacje, nieruchomości, i inne klasy aktywów, co pozwala mu na znaczące zaangażowanie w największych spółkach publicznych. Ma udziały w wielu bankach i instytucjach finansowych na całym świecie, co daje mu olbrzymie wpływy na sektor finansowy.

W swoim portfolio BlackRock posiada m.in. udziały w firmach zbrojeniowych (jak Lockheed Martin, Raytheon Technologies czy Northrop Grumman), firmach farmaceutycznych (Pfizer, Johnson & Johnson, Merck & Co., Eli Lilly), branży rolno-spożywczej (Nestlé, PepsiCo, The Coca-Cola Company, Kraft Heinz, Archer-Daniels-Midland Company, Monsanto, Bayer AG, Deere & Company), firmach technologicznych (Apple, Microsoft, Alphabet [Google], Amazon, Meta Platforms), mediach (The Walt Disney Company, Comcast, AT&T, Netflix), firmach branży energetycznej (Exxon Mobil, Chevron, NextEra Energy), finansach (Bank of America, JPMorgan Chase, Wells Fargo, Goldman Sachs) i innych sektorów (UnitedHealth Group, Danaher Corporation, 3M, General Electric, Union Pacific, FedEx, Procter & Gamble, Unilever).

Tak potężne pieniądze to pokusa wpływania na politykę, gospodarkę i historię na skalę globalną po to, żeby mnożyć zyski. W jednym z wywiadów Robert F. Kennedy Jr. sygnalizuje, że firma BlackRock może zarabiać zarówno na wojnie niszczącej Ukrainę, jak i na późniejszej odbudowie kraju. Oto jego słowa: „Ta wojna nie powinna się wydarzyć. Rosjanie wielokrotnie próbowali rozstrzygnąć ją na warunkach, które były korzystne dla Ukrainy i dla Ameryki. Główną rzeczą, na której im zależało, było utrzymanie NATO z dala od Ukrainy. Ale wielcy kontrahenci wojskowi dążą do rozszerzania NATO o nowe kraje, ponieważ wtedy kraje te muszą dostosować swoje zakupy wojskowe do specyfikacji broni NATO, co oznacza, że firmy – jak Northrop Grumman, Raytheon, General Dynamics, Boeing i Lockheed – zyskują dostęp do zamkniętego do tej pory rynku. W każdej z tych firm BlackRock posiada znaczące udziały. W marcu 2022 r. Ameryka przeznaczyła na zakup broni dla Ukrainy 113 mld dol., to jest kwota, która pozwoliłaby na zbudowanie domu dla prawie każdej bezdomnej osoby w tym kraju. Od tego czasu dodano kolejne 24 mld dol., a następnie prezydent Biden poprosił o dodatkowe 60 mld dol. Ale największe wydatki na- dejdą po wojnie, kiedy będziemy musieli odbudować wszystko, co zniszczyliśmy. Mitch McConnell, pełniący funkcję lidera mniejszości w Senacie, zapyta-

ny, czy naprawdę stać nas na wydanie 113 mld dol. dla Ukrainy, odpowiedział, że tak naprawdę to nie jest wsparcie dla Ukrainy, lecz wsparcie amerykańskich producentów obronnych. Inny senator, Tim Scott, potwierdził podczas debaty republikańskiej, że to nie jest prezent dla Ukrainy, lecz pożyczka” – relacjonuje Robert F. Kennedy Jr.

BlackRock już został zaangażowany w procesy związane z odbudową Ukrainy po wojnie. W listopadzie 2022 r. Ministerstwo Gospodarki Ukrainy i BlackRock podpisały protokół ustaleń uzgadniający ramy pomocy konsultacyjnej przy tworzeniu specjalnej platformy, mającej na celu przyciągnięcie kapitału prywatnego dla odbudowy i wsparcia gospodarki Ukrainy.

KONIEC KLIMATYZMU?

Presja polityczna w USA i krytyka „kartelu klimatycznego” naruszających przepisy antymonopolowe przynoszą rezultaty. Wraz ze zwycięstwem Trumpa i republikanów w listopadowych wyborach można dostrzec wyraźną tendencję wycofywania się dużych firm z inicjatyw klimatycznych, takich jak Climate Action 100+ lub Net Zero Asset Managers Initiative. Firmy takie jak JPMorgan Asset Management, Goldman Sachs, State Street Global Advisors, Northern Trust Asset Management, AllianceBernstein, Allspring Global Investments i PIMCO ogłosiły wycofanie się z Climate Action 100+.

W styczniu 2025 r. firma BlackRock opuściła Net Zero Asset Managers Initiative, co doprowadziło do zawieszenia działalności inicjatywy „w celu przeprowadzenia przeglądu”. Podobnie ma się sytuacja w przypadku Net-Zero Banking Alliance (NZBA), inicjatywy Finansowej Programu Środowiskowego Organizacji Narodów Zjednoczonych (UNEP FI), w której ramach wiodące światowe banki zobowiązały się do dostosowania swojej działalności kredytowej, inwestycyjnej i rynków kapitałowych do ścieżki zerowej emisji gazów cieplarnianych netto do 2050 r. lub wcześniej. Kilka dużych amerykańskich banków już opuściło NZBA na początku 2025 r., w tym: JP Morgan Chase, Morgan Stanley, Citigroup, Bank of America, Wells Fargo i Goldman Sachs.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Usunięty wpis

ambasadora USA

Najpierw Radosław Sikorski z właściwą sobie galanterią powiedział w telewizji, że Amerykanie nie rozumieją, „na czym polega UE”. Powiedział to oczywiście w kontekście spodziewanego przyjazdu ambasadora, komentując jego wypowiedzi sprzed nominacji. Następnie ambasador Rose opublikował na swoim koncie X długi wpis zaczynający się od pełnego rewerencji stwierdzenia, że Sikorski jest człowiekiem tak wybitnym, że kiedy mówi, to ludzie go słuchają. Każdy, kto choć przez chwilę miał okazję zetknąć się z ego Radosława Sikorskiego, mógł sobie natychmiast zdać sprawę z tego, ile gryzącej ironii znajdowało się w tej frazie.

Dalej Rose z pokorą, która także miała raczej za zadanie uwypuklić nieumiejętność porozumiewania się językiem dyplomacji przez swojego adwersarza, stwierdzał, że wygląda na to, iż on jako Amerykanin jest jednym z tych, którzy nie rozumieją Unii, a skoro tak, to będzie się musiał wiele nauczyć. Ironia została wprowadzona na wyższy poziom, ale forma wpisu była nienaganna.

Następnie nowy ambasador w krótkich i treściwych akapitach wyłożył amerykańskie rozumienie problemów, które są związane ze stosunkami



Robert Bogdański

Kilka dni temu nowy amerykański ambasador w Polsce, Tom Rose, stał się za pomocą mediów z ministrem spraw zagranicznych Radosławem Sikorskim i otrzymał cenną lekcję od prawej strony sceny politycznej. Jak sądzę, jego konkluzja jeszcze przed przyjazdem do Polski mogła być tylko jedna: łatwi w hodowli

transatlantyckimi. Wynikało z tej wylizanki wyraźnie, że nowa amerykańska administracja dobrze przygotowała swoich ludzi do starcia z europejską biurokracją, wie, czego chce, i zamierza rozmawiać o konkretach. Sikorski odpowiedział wpisem uprzejmym, choć nieustępliwym, zapowiadając „ożywione debaty”, co w języku dyplomatycznym jest sygnalizowaniem niezgody.

Do tej pory wszystko było w normie, ale niestety rozmowa toczyła się na publicznej platformie, do której mają dostęp wszyscy, którzy chcą, także co bardziej radykalni posłowie PiS oraz wojownicy z tzw. prawego Twittera. I się zaczęło. Obecni na wyprzódki starali się uświadomić ambasadorowi, że ten Sikorski to straszny wał i ma okropną żonę, a oboje nienawidzą Trumpa i Ameryki. Pojawiły się cytaty, memy,

skany, nagrania. Usiłowano na wszelkie sposoby zbriefować ekscelencję ambasadora, żeby wiedział, z kim rozmawia, i na drugi raz już z nim nie rozmawiał, bo nie warto.

Zdumiewające było też to, że wpisujący nie byli w stanie wyczuć sarkazmu tekstu skierowanego do Sikorskiego, zatrzymując się na jego uprzejmej formie. W dodatku wszystkie te wpisy były w gruncie rzeczy obraźliwe wobec Amerykanina, bo zdawały się sugerować, że trzeba mu wtłuc do głowy coś, co on doskonale wie. Czy ci ludzie naprawdę sądzą, że ambasador jedzie na placówkę, nie mając pojęcia, kim jest minister spraw zagranicznych kraju przyjmującego i co pisze jego żona brylująca od dziesięcioleci w amerykańskich mediach?

Następnie ambasador Tom Rose usunął swój wpis. A wraz z nim zniknęły wszystkie

komentarze. Cała sprawa zniknęła z przestrzeni publicznej. Pozostała jednak cenna wiedza. I obawiam się, że wiedza ta nie znajduje się po stronie polskiej, tylko amerykańskiej.

Ambasador Rose, wykonując to ćwiczenie, utwierdził się w przekonaniu, że Radosław Sikorski jest przekonany o swojej wielkości arogancem, który odpowiednio stymulowany będzie wchodził w szkodę dokładnie tam, gdzie go stymulacja zaprowadzi. Co do strony opozycyjnej, to pokazała ona całkowitą niezdolność do myślenia w kategoriach państwa i nieumiejętność powściągnięcia emocji. Wniosek jest w gruncie rzeczy ten sam, co w przypadku Sikorskiego: wejdą w szkodę dokładnie tam, dokąd ich umiejętnie podsypane emocje doprowadzą.

Konkluzja jest więc prosta: łatwi w hodowli. Przynajmniej w przestrzeni publicznej. Bo oczywiście to nie jest tak, że wszyscy politycy szeroko rozumianej prawicy zachowują się tak samo. Zatem w tzw. zaciszu gabinetów rozmowy będą konkretne. Ale w przestrzeni publicznej będzie bardzo łatwo wywołać niekontrolowane emocje, napuścić jednych na drugich i następnie wystąpić w roli starszego i mądrzejszego. Taka oto lekcja płynie z usuniętego wpisu, którą byłoby dobrze, gdyby sobie przyswoili wszyscy. © ©



Paweł Chmielewski

Takiej inicjatywy jeszcze w historii Kościoła nie było. Grupa katolickich dziennikarzy postanowiła w pośredni sposób wpłynąć na kolejne konklawe, ułatwiając kardynałom wybór najlepszego kandydata

Przy współczesnej obszerności Kolegium Kardynalskiego niełatwo jest purpuratom dobrze się poznać. Chociaż teoretycznie to elitarne grono, to dziś kardynałów jest 252, z czego wybierać nowego papieża może 138 (to ci, którzy mają mniej niż 80 lat). W normalnym porządku rzeczy kardynałowie mają okazję spotykać się i rozmawiać na konsystorzach – zgromadzeniach, które regularnie zwołuje biskup Rzymu, głównie po to, by kreować nowych „książąt Kościoła”.

Obserwatorzy życia Watykanu od lat zwracają uwagę, że za Franciszka jest trochę inaczej. Choć papież Bergoglio zwołuje konsystorze, to traktuje zebranych dość paternalistycznie. Nie stwarza okazji do szerokiej debaty. Tak było choćby w 2022 r., kiedy kardynałowie przyjechali do Rzymu tylko po to, by dowiedzieć się o szczegółach reformy Kurii Rzymskiej, którą przeprowadził Franciszek. Sędziwy i powszechnie ceniony kard. Walter Brandmüller narzekał, że nie pozwolono mu w ogóle zabrać głosu. Papieża interesuje przede wszystkim opinia wąskiego i ściśle przebranego gremium: Rady Kardynałów. Sam utworzył tę zaledwie kilkusobową grupę i z nią regularnie się konsultuje. Głos pozostałych nie ma kiedy wybrzmieć przed gronem, które wybierze nowego papieża. Problem pogarsza jeszcze „globalizacja” Kolegium Kardynalskiego – kardynałowie z odległych części świata mogą często nie rozumieć kontekstu kulturowego, w jakim działają inni. Osobiste kontakty trudno jest zastąpić zwykłym czytaniem newsów w Internecie.

NAGRODY ZA POGLĄDY

Czy to celowe działanie? Wielu dziennikarzy uważa, że tak, bo wskazują



FOT. ANDRZEJ CULANDRA/IMAGO/FEST NEWS

na to też inne zabiegi papieża. Franciszek, dobierając nowych kardynałów, nie kieruje się tradycyjnymi względami. Nagradza za poglądy – a przynajmniej za manifestowanie, że jest się po jego „linii”. Zadeklarowani konserwatyści to wśród nich wyjątki, zdecydowana większość to ludzie aktywnie promujący ten czy inny wątek specyficznej wizji duszpasterskiej papieża Bergoglio. To zarówno przyjaciele środowisk LGBT (Blase Cupich i Robert McElroy z USA), radykalni dialogiści (Giorgio Marengo z Mongolii, William Goh z Singapuru), jak i zaawansowani synodaliści (Jean-Claude Hollerich z Luksemburga, Ulrich Steiner z Brazylii, László Nemet z Serbii) albo po prostu bezkrytyczni orędownicy „otwartości Kościoła” (Jean-Paul Vesco z Algierii,

Matteo Zuppi z Bolonii). Wszystko wskazuje na to, że Franciszek stara się zminimalizować „ryzyko” wyboru na swojego następcę kogoś, kto miałby bardziej konserwatywne zapatrywania.

Nawet jeżeli papież dołożył wszelkich starań, by dobierać do Kolegium ludzi w jakiejś mierze zasłużonych dla liberalnej wizji Kościoła, to nie wszyscy muszą być tak naprawdę gorliwymi zwolennikami progresizmu. Czasem jakiś hierarcha działa po prostu zgodnie z tym, czego oczekuje od niego „góra”, bez wewnętrzznego przekonania. Nie każdy, kto ma na ustach synodalność, musi automatycznie zachwycać się błogosławieniem par LGBT. Przybywając na konklawe z odległej wyspy, nawet nie do końca przekonany do rewolucji kardynał będzie

jednak podatny na sugestie rzymskich „ekspertów”. Tak działała w latach 2005 i 2013 grupa z Sankt Gallen, oferując kardynałom nieformalne spotkania i rozmowy – wszystko po to, by zachęcać do głosowania na popieranego przez siebie, liberalnego kandydata. Istnieje ryzyko, że po Franciszku powtórzy się scenariusz zakulisowych działań nakierowanych na wybór kandydata liberalnego.

NASTĘPCY FRANCISZKA?

Żeby temu zapobiec, w gronie konserwatywnych katolików pojawiła się idea przełamania problemu wzajemnej nieznajomości kardynałów. Chodziłoby o to, aby przed kolejnym konklawe kardynałowie nie musieli zdawać się na informacje uzyskiwane od liberalnych kingmakerów z Europy. Jak to zrealizować? Ze szczególną inicjatywą wyszło środowisko związane z amerykańskim domem wydawniczym Sophia Institute Press. Pod kierunkiem dwojga doświadczonych watykanistów, Brytyjczyka Edwarda Pentina i Amerykanki Diane Montagna, przygotowano projekt „The College of Cardinals Report”. Na stronie internetowej (collegeofcardinalsreport.com) można znaleźć sylwetki wszystkich kardynałów Kościoła katolickiego. Nad ich stworzeniem pracowała grupa dziennikarzy z wielu krajów świata.

Czterdziestu jeden kardynałów zostało opisanych bardzo szczegółowo. To ludzie, którzy – według inicjatorów projektu – mają szansę na to, by być przynajmniej rozważani jako kandydaci na następcę Franciszka. Są wśród nich również Polacy – kardynałowie Konrad Krajewski i Grzegorz Ryś. Pentin i Montagna szczególnie wyróżnili 22 kardynałów, nazywając ich „papabili” i sugerując, że są naprawdę poważnymi kandydatami na następstwo po Franciszku. Wśród nich nie ma wprawdzie Polaków, ale jest za to całkiem pokaźna grupa konserwatystów, jak kardynałowie Raymond Burke, Willem Eijk, Gerhard Müller czy Robert Sarah. Takie nazwiska pojawiają się na prasowej „giełdzie” watykanistów coraz rzadziej. Tym bardziej wartościowe jest ich ujęcie w projekcie – to ludzie o wyjątkowym dorobku intelektualnym i szczególnym autorytecie w świecie katolickim; każdy z nich ma poza tym coś, co można byłoby nazwać „papieskim formatem”.

Najważniejsza jest możliwość „wyszukiwania” kardynałów pod kątem ich zapatrywań na sprawy kościelne

Najważniejszym elementem strony jest możliwość „wyszukiwania” kardynałów pod kątem ich zapatrywań na sprawy kościelne. Bardzo łatwo sprawdzić, kto zgadza się na błogosławienie par LGBT, kto chce promować synodalność Kościoła, a kto odrzuca tego rodzaju pomysły. W ciągu kilku minut można „przesiać” członków Kolegium, posługując się tego rodzaju kategoriami. W przypadku 41 szczegółowo opisanych purpuratów autorzy projektu oferują dodatkowo głębsze spojrzenie na to, co reprezentują.

Dziennikarze starali się zadbać o to, by opisy były rzetelne i neutralne: skupiają się przede wszystkim na przytaczaniu obszernych cytatów ilustrujących zapatrywanie hierarchów. Każdy z użytkowników strony może proponować też swoje zmiany lub poprawki, przysyłając wiadomość do administratora. To dobry pomysł nie tylko z powodu nieuchronności błędów, lecz także z uwagi na to, że przy obecnej polaryzacji kardynałowie nierzadko „wyskakują” z jakimiś wypowiedziami, które rzucają nieco inne światło na ich autentyczne zapatrywanie. Pytanie, jak będzie z realizacją tego zamysłu. Jeżeli rzecz nie byłaby na bieżąco aktualizowana, to w momencie faktycznego ogłoszenia konklawe projekt może nie być już przydatny. Obejmując władzę 13 marca 2013 r., Jorge Mario Bergoglio zapowiadał, że będzie rządził krótko, pewnie tylko kilka lat. Tymczasem wkrótce będziemy obchodzić 12. rocznicę pontyfikatu, a papież z Argentyny jest jednym z najstarszych urzędujących biskupów Rzymu w historii Kościoła, po Leonie XIII (zm. 1903) i Agatonie (zm. 681). Wielu watykanistów przypuszczało, że Franciszek może ogłosić rezygnację, kiedy doprowadzi do końca swój sztafetowy projekt, czyli Synod o synodalności. Zgromadzenie zostało jednak zamknięte 27 października 2024 r., a papież rządzi nadal. Obecnie pod jego nadzorem pracuje wiele komisji przygotowujących szczegółową reformę Kościoła. Nic nie wskazuje na

to, by Jorge Mario Bergoglio miał nagle dać za wygraną i z własnej woli przekazać nadzór nad tą wewnętrzną rewolucją jakiemuś następcy.

UPORZĄDKOWAĆ INFORMACJE

Jeżeli zatem projekt będzie aktualizowany, to ma szansę odegrać istotną rolę. Inicjatorzy przyznają, że w przeszłości podejmowano mutatis mutandis analogiczne działania. Przez wiele wieków liczba kardynałów w Kościele była na tyle mała, że wszyscy znali się stosunkowo dobrze, ale już od XVI w. zaczęto w Rzymie prowadzić nowoczesne kampanie, umieszczając informacje na temat kardynałów w ogłoszeniach publicznych czy różnorodnych drukach ulotnych. W kolejnych wiekach sylwetki opracowywali dyplomaci, tym bardziej że wiele do powiedzenia w sprawie wyboru papieża mieli przywódcy najważniejszych europejskich mocarstw. Dziś teoretycznie każdy kardynał może po prostu przejrzeć Internet. Liczba informacji jest jednak przytłaczająca, a doniesienia bywają po prostu sprzeczne. Stąd idea, by je uporządkować i usystematyzować, wpisując się w nowatorski sposób w dawne wysiłki informacyjne.

Oczywiście lepsza znajomość kandydatów nie gwarantuje jeszcze wyboru konserwatysty – może się okazać, że układ sił w Kolegium Kardynalskim nie pozwoli na odwrócenie obecnych trendów, zdecydowanie liberalnych. Niestety, jest więcej niż prawdopodobne, że większości koniecznej do wyboru kogoś takiego jak Gerhard Müller czy Robert Sarah po prostu nie będzie, a szczytem marzeń dla konserwatystów może być „neutralny” kandydat, który nie negując dorobku Franciszka, nie będzie zarazem dodatkowo zwiększał chaosu. Niestabilność, która panuje dziś w Kościele, jest jednak tak wielka, że bierność nie wystarczy. Potrzebna jest aktywna praca kontrewolucyjna – przywracanie jasności doktryny, napiętnowanie błędów, uzdrowienie kulejącej struktury. Można tylko modlić się, by na kolejnym konklawe, kiedykolwiek się ono odbędzie, kardynałowie naprawdę wsłuchali się w głos Ducha Świętego i wybrali papieża, który będzie służył Tradycji, zamiast kontynuować projekt synodalnej reformy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Author jest publicystą portalu PCh24.pl.

Rosyjski strażnik na moście
na Odrze, wiosna 1945 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Szczecin na szlaku „Kurierów wyklętych”



Piotr Semka

Szczecin był wyjątkowo dogodnym miejscem do prowadzenia akcji przerzutowej. Kurierzy, szczególnie w latach 1945 i 1946, „ginęli w tłumie” ludzi opuszczających Polskę bądź do niej powracających. Równoległym zjawiskiem do ruchu kurierów były przerzuty rodzin polskich oficerów via Szczecin z kraju na Zachód.

52

Fragment książki Piotra Semki „Najdalsza Polska. Szczecin 1945–1950”

Z chwilą stworzenia sektorów okupacyjnych USA, Wielkiej Brytanii i Francji w Berlinie najdalszy zasięg okupacji państw zachodnich zbliżył się znacząco do zdominowanej przez komunistów Polski. Otworzyło to nowe możliwości dla służby kurierskiej pomiędzy Rządem RP na uchodźstwie a placówkami wywiadu Polskich Sił Zbrojnych (PSZ) na Zachodzie, w tym ośrodkami wywiadu w sztabie armii gen. Władysława Andersa w Włoszech i w oddziałach gen. Stanisława Maczka w zachodnich Niemczech. Najczęściej używaną trasą kurierską był tzw. Szlak Konrada: przez Czechosłowację – Czeski Cieszyń – Pilzno – do Regensburga w Bawarii. Druga trasa wiodła ze Szczecina przez sowiecką strefę okupacyjną do zachodniej części Berlina, stamtąd do polskiego ośrodka w Maczkowie (do maja 1945 r. dolno-saksońskie miasto Haren) – polskiego

miasta żołnierzy i uchodźców w Westfalii. Trasa przez granicę w okolicy Szczecina używana była zarówno przez kurierów politycznych, jak i ewakuowanych z kraju na Zachód rodzin wojskowych.

Działania kurierskie nadzorowały Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w rządzie RP na uchodźstwie oraz polski ośrodek wywiadu wojskowego PSZ w Meppen, niedaleko od Maczkowa.

RUCH NA GRANICY

Już w lipcu 1945 r. w Szczecinie powstała pierwsza placówka konspiracyjna Delegatury Sił Zbrojnych pod kierownictwem kpt. Józefa Romana „Stośława” i mjr. Bolesława Jackiewicza, która szukała możliwości zbudowania trwałej linii przerzutowej. Inicjatywa ta zakończyła się niepowodzeniem. Później, na początku 1946 r., w Szczecinie utworzono nową placówkę – Delegaturę Rządu RP na Kraj kierowaną przez działaczy Stronnictwa Narodowego (SN) Michała Więkowskiego „Pyrę”, a następnie Tadeusza Zagajewskiego, którzy zorganizowali sprawny kanał przerzutowy na Zachód. Zarówno działacze SN, jak i najbardziej aktywny nadzorca szlaków przerzutowych z ramienia wywiadu PSZ rtm. Antoni Landowski korzystali z zawodowych przemytników znających nielegalne przejścia na granicy z sowiecką strefą okupacyjną w okolicach Szczecina.

Szczecin znajdował się tylko 15 km od granicy, która początkowo nie była wyraźnie wyznaczona. Do Berlina było jedynie 130 km – trzy godziny jazdy samochodem. Punktem oparcia dla oficerów polskiego wywiadu byli w takich operacjach zawodowi przemytnicy, w większości Niemcy, choć niektórzy z polskimi korzeniami. Jako miejscowi znali oni bardzo dobrze teren po obu stronach Odry.

W Szczecinie konspiratorzy dysponowali siecią lokali, w których profesjonalni kurierzy oczekiwali na przerzut. Jak pisze historyk Wojciech Fraziek: „W czerwcu 1946 r. [...] opuścił Polskę główny organizator łączności na terenie kraju Jan Kaim [...]. W kilku grupach przeszło wówczas na Zachód kilkanaście osób, m.in. płk Władysław Owoc z rodziną, żona ministra Władysława Folkierskiego, Stanisław Mierzwiński i inni żołnierze Narodowej Organizacji Wojskowej zwolnieni

z więzień. Zdominowana przez działaczy narodowych Delegatura Rządu na Kraj (SN kierowało resortem MSW w rządzie Tomasza Arciszewskiego) działała bardzo intensywnie aż do 18 czerwca 1947 r., kiedy to została zlikwidowana przez pracowników Urzędu Bezpieczeństwa w Szczecinie. Zatrzymano wówczas 44 osoby, które oskarżono o uczestnictwo w przerzucie osób przez granicę”.

Równoległym zjawiskiem do ruchu kurierów były przerzuty rodzin polskich oficerów via Szczecin z kraju na Zachód.

Metropolia nad Odrą była wyjątkowo dogodnym miejscem do prowadzeniu akcji przerzutowej. Kurierzy, szczególnie w latach 1945 i 1946, „ginęli w tłumie” ludzi opuszczających Polskę bądź do niej powracających. Ze Szczecina odchodziły transporty deportacyjne Niemców, do domu wracali też z niemieckiej niewoli jeńcy francuscy i angielscy. Na Zachód wyjeżdżały grupy polskich Żydów chcących przedostać się do Palestyny i wreszcie na trasie do i z Berlina krążyła spora liczba przemytników i spekulantów. Do końca 1946 r. stosunkowo łatwe było przekupywanie na granicy sowieckich żołnierzy. Szlak szczeciński był wykorzystywany do ruchu kurierskiego aż do czerwca 1947 r., kiedy to centrum siatki zlikwidowano w wyniku operacji UB, choć ostatnie przerzuty organizowane przez poszczególnych przewodników granicznych miały miejsce do 1948 r.

Kolejna fala prób ucieczek była samodzielnymi inicjatywami młodych ludzi.



Rotmistrz Antoni Landowski

FOT. WOJSKOWE BIURO HISTORYCZNE

Próbowali ucieczek drogą lądową lub starali się przedostawać na zagraniczne statki w porcie szczecińskim. Niektórzy marzyli o przedostaniu się „do Andersa” pod wrażeniem plotek o rychłym wybuchu trzeciej wojny światowej. Przykładowo w styczniu 1947 r. zatrzymano z tego powodu 15 osób.

Często motywami ucieczki, szczególnie młodych ludzi, były konspiracyjna „wyspa” lub przekonanie, że UB zacieśniało pętlę wokół ich grup konspiracyjnych.

Wraz z uszczelnianiem granicy, od ok. 1948 r., udane przekroczenia granicy stały się coraz rzadsze. „System ochrony zachodniej granicy Polski był integralną częścią stworzonego przez komunistów aparatu represji. Jego głównym zadaniem była likwidacja przeciwników politycznych Polskiej Partii Robotniczej (PPR), a następnie ustabilizowanie jej władzy”.

W wypadku granicy zachodniej powojennej Polski, szczególnie na odcinku Pomorza Zachodniego, istotnym elementem była stosunkowo długa sytuacja braku ostatecznego wytyczenia linii granicznej. Owszem, polskie wojsko zajęło wschodni brzeg na środkowym odcinku Odry już wiosną 1945 r., ale nie dotyczyło to terenów po zachodniej stronie Odry na odcinku między Szczecinem a Świnoujściem. Ludowe Wojsko Polskie zostało tam wpuszczone przez Sowieców dopiero 4 i 5 października 1945 r.

Długie miesiące po wojnie granica była nieustalona i kontrolowała ją Armia Czerwona. Potem przez kolejne pół roku granicy pilnowały normalne oddziały wojskowe LWP. Przykładowo: nawet później w latach 1947–1948 dokładny przebieg linii granicznej ustalany był między oficerami Wojsk Ochrony Pogranicza (WOP) i oficerami jednostek armii sowieckiej ochraniającymi granice po drugiej stronie. Do czynności takich dochodziło stosunkowo często, np. w 1948 r. pięć razy skorygowano szczegóły przebiegu granicy. Pierwszym czynnikiem, który „rozszczelniał” sytuację na granicy w latach 1945–1946, było skupienie się wojska na blokowaniu powrotu Niemców uciekinierów do Szczecina i na tereny wschodniego brzegu Odry. Żołnierze pilnujący granicy musieli też walczyć z rozbitkami Wehrmachtu, którzy przebijali się na Zachód z grupami

rabunkowymi złożonymi z dezertarów z Armii Czerwonej czy wreszcie z niemieckimi grupami stricte rabunkowymi. Te ostatnie rabowały wagony na najbardziej wysuniętej na zachód polskiej stacji kolejowej Szczecin-Gumieńce, rabowały towar z wagonów i uciekały z łupem na terytorium niemieckie.

Jeśli na granicy pojawiali się Polacy, to byli to głównie nasi rodacy wracający z pracy przymusowej na terenie Niemiec lub z obozów koncentracyjnych. W drugą stronę, za Odrę, zmierzali francuscy, angielscy i amerykańscy jeńcy, czescy czy zachodnioeuropejscy więźniowie obozów na terenie Pomorza Zachodniego i wreszcie Żydzi, szczególnie z centralnej Polski, którzy w pojedynkę chcieli przedostać się do obozów tzw. displaced persons na terenie zachodnich sektorów okupacyjnych. Do tego dochodzili polscy waluciarze, kombinatorzy i amatorzy ciemnych interesów, którzy zbierali na terenie centralnej Polski niemieckie okupacyjne reichsmarki, jechali z nimi do Berlina, gdzie była to wciąż legalna, obowiązująca waluta, i wracali do Polski z dobrami luksusowymi. Wygłodzeni Niemcy wschodni sprzedawali wówczas w zamian za żywność pohitlerowskie dobra luksusowe.

SOWIECI I ŻŁOTE ZEGARKI

Stosunkowo długo przekupywanie sowieckich wojskowych nie było trudne. Obywatele ZSRS służący na terenach wschodnich Niemiec cały czas obawiali się polecenia powrotu do swojego kraju i starali się „nachapać” jak najbardziej i jak najszybciej. Za złoty zegarek czy atrakcyjną srebrną papierośnicę zgadzali się przewieźć czy to przemytników, czy to spekulantów nawet do Berlina i z powrotem. Berlin miał poza tym ogromny walor w postaci kontaktu z okupującymi to miasto Amerykanami i Brytyjczykami. Speculant z Warszawy czy Krakowa kupował na lewo od kwatermistrza armii amerykańskiej ileś skrzynek mleka skondensowanego czy rzadkich lekarstw, przewoził je przez dziurawą granicę na Odrze i sprzedawał je poprzez pośredników z gigantycznym zyskiem na bazarach w centralnych województwach Polski.

Dopiero na tle tego chaosu zrozumieć możemy realia działania kurierów struktur powojennego podziemia niepodle-



głościowego kursujących z rozkazami, raportami i pieniędzmi dla działaczy w kraju. W razie zatrzymania udawali raczej banalnych spekulantów niż o wiele surowiej traktowanych przeciwników politycznych. Ta forma ucieczki miała swoiste janusowe oblicze. Z jednej strony Polacy zakładali, że skorumpowani żołnierze Armii Czerwonej nie pozwolą polskiem strażnikom kontrolować wnętrza swoich ciężarówek, z drugiej strony aż do szczęśliwego dotarcia do zachodnich sektorów Berlina śmiałkowicie, którzy zaufali Sowietom, drżeli, czy przypadkiem nie padli ofiarą prowokacji NKWD.

Ale – jak się zdaje – mimo wszystko początkowo był to dość skuteczny sposób podróży na Zachód. Raport zastępcy dowódcy 3. Oddziału WOP mjr. Antoniego Kąsicy z 16 sierpnia 1946 r. brzmi: „Przed tygodniem w Zatoce Szczecińskiej została zatrzymana karawana barek (sześć). Na barkach wyjeżdżali Niemcy z Polski do radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec [...]. Transport konwojowali żołnierze radzieccy. Wśród Niemców znajdowali się Polacy również, różni giełdjarze, spekulanci, ludzie Andersa itp. dostali się do Niemiec w wielu wypadkach samochodami radzieckimi [...], bardzo często ww. samochodów i pociągów dokładnie nie można było zrewidować, ponieważ ci ostatni grożą automatami naszym żołnierzom”.

SĘDZIOWIE O STAŁINOWSKIEJ SUROWOŚCI

Pierwsza bardzo poważna wpadka organizatorów przerzutów miała miejsce w Szczecinie 11 grudnia

1945 r. Zatrzymano wtedy 35 osób, które zamierzały przedostać się do Berlina za pomocą sfałszowanych przepustek uprawniających do przekroczenia granicy. Niekiedy Polacy pragnący opuścić kraj decydowali się na wykorzystanie transportów z wysiedlanymi Niemcami. Przykładowo 16 czerwca 1946 r. na stacji kolejowej w Kaławsku czterech Polaków usiłowało w transporcie z ludnością niemiecką wyjechać do Niemiec w celu przedostania się do Belgii.

W innym raporcie Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) w Szczecinie podejrzewano, że żony oficerów polskich z Zachodu wyjeżdżały ukryte na barkach rzecznych. Bezpieka szczecińska obserwowała wtedy byłego funkcjonariusza bezpieki, który zwolniony dyscyplinarnie w 1946 r. zatrudnił się następnie na barce „Monte Rosa” pływającej między Szczecinem a Berlinem. Za przewiezienie kilkunastu żon oficerów uzyskać miał wynagrodzenie w wysokości 80 tys. zł i 200 dol.

Wysokość kar za próbę ucieczki wyraźnie wzrasta po 1947 r., kiedy sprawy nielegalnego przekroczenia granicy zaczynają rozpatrywać Wojskowe Sądy Rejonowe (WSR). Oficerowie odgrywający rolę sędziów nawyki są już do typowo stalinowskiej surowości i wydają wieloletnie wyroki bez uwzględniania jakichkolwiek okoliczności łagodzących. Przykładem jest wyrok WSR w Szczecinie z 11 listopada 1947 r. w sprawie działającego w Szczecinie Salomona Blej-

berga, przywódcy siatki przemytniczej podległej oficerowi wywiadu PSZ rtm. Antoniemu Landowskiemu. Sąd wydaje wyrok kary śmierci, który zostaje wyjątkowo szybko wykonany.

Wciąż jednak jest to temat stosunkowo mało zbadany przez historyków. Organizatorzy przerzutów rzadko opisywali swoje szlaki przerzutowe i zwykle zabierali tajemnice takich akcji ze sobą do grobu. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tekst jest fragmentem książki „Najdalejza Polska. Szczecin 1945–1950” (wyd. Centrum Historii Zajezdnia). Śródtytuły pochodzą od redakcji.





LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Cichociemna

Elżbieta Zawacka „Zo” już przez to, że była jedyną kobietą wśród elitarnych formacji cichociemnych, zasłużyła na to, aby trafić nie tylko do szkół. Jej życiorys jest niezwykle bogaty i fascynujący. I nie tylko z okresu wojennego miała szczególne zasługi, choć te są najbardziej znane. Jedną z dwóch kobiet generałów Polskiego Państwa Podziemnego.

Była bardzo aktywna w wojnie obronnej 1939 r. Brała udział m.in. w obronie Lwowa. Do niewoli sowieckiej nie poszła, przedostała się na Pomorze, docierając do rodziny. W konspiracji była od początku, szybko trafiła do KG ZWZ-AK. Z racji szczególnych predyspozycji i znajomości języków została kurierką do Naczelnego Wodza w Londynie. Po powrocie do kraju została w konspiracji, zajmując się rozwijaniem profesjonalnych tras łączności. Była skromna – wobec kontrowersji, kto był, a kto nie był cichociemnym, uznawała: „Cichociemną nie byłam, wykonałam tylko skok”.

Uczestniczyła w powstaniu warszawskim, zajmując się pionami kobiecymi. Dośłużyła się stopnia kapitana. Po upadku powstania przedostała się do Krakowa, gdzie skutecznie organizowała trasy przerzutowe na Zachód. Za te zasługi otrzymała awans do stopnia majora. Po wejściu Sowiec powróciła do swej prawdziwej tożsamości, ale pozostała w konspiracji. Dokończyła studia pedago-

giczne, jednocześnie usiłowała działać w organizacjach kobiecych, które już były skomunizowane.

Po dojściu do władzy komunistów uznała, że dalsza działalność nie ma sensu, wobec olbrzymiej przewagi sowieckiej. Nie uchroniło to jej przed aresztowaniem, ciężkim śledztwem i represjami. Zniosła to mężnie. Została skazana na pięć lat więzienia, następnie na dziewięć. Po wyjściu z więzienia w 1955 r. poświęciła się pracy naukowej, mając niezwykle talent do nauk ścisłych, uzyskała doktorat, a z czasem profesurę z zakresu pedagogiki.

Od 1990 r. współtworzyła wiele organizacji upamiętniających czyn kobiet, wreszcie doprowadziła do powołania Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej”. Na tym polu przez wiele lat z Nią współpracowałem, dostarczając wiele życiorysów zapomnianych kobiet, inne weryfikując. Nasza współpraca ustała w 2002 r., gdy Pani Generał usilnie forsowała do zamieszczenia w „Słowniku biograficznym kobiet odznaczonych orderem wojennym VM” dziwną postać: Józefę Sz.Ł. Była ona rzekomo odznaczona w ramach GL-AL za... „zaciąganie języka po wsiach o kpt. »Żbik« z NSZ”. Moje protesty, że nie była to polska organizacja wojskowa, nic nie dały. Argumentem ostatecznym ze strony „Zo” było to, że przecież to... kobieta i nie można jej w tym wykazie opuścić. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pierwowzór „Zemsty”

WOdrzykoniu na Podkarpaciu zachowały się do dziś ruiny zamku Kamieniec. W ciągu swoich dziejów zdarzało się wielokrotnie, że budowla ta była jednocześnie użytkowana przez skłóconych współwłaścicieli, a jeden z takich epizodów wykorzystał Aleksander Fredro w swojej najsłynniejszej komedii pt. „Zemsta”.

Niezbyt zachęcająca nazwa miejscowości miała pochodzić od jednego ze średniowiecznych właścicieli posiadającego wyjątkowo mało sympatycznego konia, który okrutnie okaleczał okolicznych mieszkańców. W efekcie zwierzę zostało żywcem obdarte ze skóry.

Pierwszy murowany zamek wznosił tutaj Kazimierz Wielki, a w ostatnich latach XIV w. budowla przeszła w prywatne ręce. Jej właścicielem został podkanclerzy koronny, Klemens z Moskarszewa, co było formą podziękowania dla dostojnika za obronę Wilna przed Krzyżakami i ich sojusznikami z zachodniej Europy. Wśród nich nie brakowało arystokratów z przyszłym królem Anglii, Henrykiem IV Lancasterem, i francuskim marszałkiem, Jeanem de Maingre. Oblężenie Wilna trafiło zresztą na karty „Opowieści kanterberyjskich”. Zamek stał się główną siedzibą rodu, a jego właściciel przybrał nazwisko Kamienieckiego. Jego syn, Klemens

Marcin, dobudował do warowni przedzameczną, gdzie powstała jedyna studnia w całej rezydencji. To ujęcie wody miało w przyszłości być powodem do wielu kłótni i swarów pomiędzy właścicielami zamku.

Warownię wciąż rozbudowywano, wykształciły się zamek wysoki, średni oraz dwa przedzameczka. Na początku XVII w. budowla stała się po połowie własnością Skotnickich i Firlejów. Stosunki pomiędzy obiema rodzinami ułożyły się fatalnie, a szczególnie problemy stwarzała sprawa wspólnego korzystania ze studni oraz wjazdu do budowli. W efekcie, gdy Skotnicy remontowali swoją część, dachy zbudowano w taki sposób, że deszczówka spływała do Firlejów.

Awantury zakończyło dopiero małżeństwo Zofii Skotnickiej z Mikołajem Firlejem, gdy panna młoda wniosła mężowi w posagu swoją część zamku.

Właściciele wielokrotnie, ale budowla została poważnie uszkodzona podczas potopu szwedzkiego, a następnie w latach wojny północnej. Na początku czwartej dekady XIX stulecia stała się częściowo własnością Aleksandra Fredry, który przeglądając dokumenty jej dotyczące, trafił na relację ze sporu Firlejów ze Skotnickimi, co stało się dla niego impulsem do napisania „Zemsty”. Premiera komedii miała miejsce we Lwowie 17 lutego 1834 r. ©©

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Skąd się wzięło pani zainteresowanie fauną w służbie PRL-owskiej propagandy?

MONIKA MILEWSKA: Urodziłam się i wychowałam w PRL, a wspomnienia z dzieciństwa odżywiają w nas zwykle po latach. Gdy w 2016 r. rozpoczynałam pracę nad moją książką pt. „Ślepa kuchnia. Jedzenie i ideologia w PRL”, wiedziałam, że pasiastego dywersanta – stonki – ani żywicieli narodu in spe, czyli żubronia i kryla, nie mogę w moich badaniach pominąć. I już na samym początku w krakowskim archiwum znalazłam całe teczki wypełnione dokumentami mocno obciążającymi stonkę. Z kolei w Archiwum Akt Nowych w Warszawie odszukałam mnóstwo ciekawych wycinków prasowych na temat kryla. Pojechałam też na Mazury i do Białowieży, by przeprowadzić wywiady z dawnymi hodowcami żubroni. Gdy wreszcie zabrałam się do pisania „Ślepej kuchni”, okazało się, że zgromadziłam tak dużo innych materiałów, że moje zwierzęta po prostu nie mieszczą się w tym grubym tomie. Postanowiłam więc poświęcić im osobną książkę: „I rak ryba. Stworzenia polityczne w PRL-u”. Tym bardziej że – jak skonstatowałam ze zdumieniem – żaden historyk jak dotąd nie zajął się nimi na poważnie. Na temat kryla – o ile mi wiadomo – w XXI w. ukazał się tylko jeden krótki artykuł w miesięczniku „Mówią Wieki”. Tak medialna, zdawałoby się, stonka nie ma własnej monografii, toteż postanowiłam wynagrodzić to niedopatrzenie zarówno samym zwierzętom, jak i badaczom, którzy poświęcili im swoje życie.

Kiedy i dlaczego stonkę ogłoszono przyrodniczym szwarccharakterem?

Odkryta w pierwszej połowie XIX w. w Stanach Zjednoczonych stonka z początku była tylko entomologiczną ciekawostką. Ale już w latach 70. XIX w. grozę zaczęły budzić jej żarłoczność i nadzwyczajna płodność. Chmury stonki obsiadały tory i spowalniały bieg pociągów, straszły plażowiczów w Nowym Jorku, pokonywały wielkie jeziora na kawałkach desek. Wkrótce zaczęły zagrażać Europie. Stary Kontynent odpierał wroga skutecznie aż do pierwszej wojny światowej. Początek podboju był na tyle spektakularny, że już wkrótce Niemcy zaczęli podejrzewać Francuzów o próby wykorzystania owada w charakterze broni biologicznej. Podob-



Z Moniką Milewską, pisarką i antropolog kultury
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Stonka, żubroń i kryl



nie było podczas drugiej wojny światowej, gdy goebbelsowska propaganda oskarżyła o rzucanie stonki... Amerykanów. Kilka lat później tym samym chwytem posłużyła się propaganda komunistyczna.

A żerujący na krzakach kartofli szkodnik rzeczywiście niósł ze sobą realne zagrożenie, bo przynajmniej od XIX w. ziemniak był podstawą wyżywienia uboższych warstw ludności w Europie. Nie inaczej było w Polsce Ludowej, która w dodatku zmagiała się z ciągłymi kryzysami żywnościowymi, do których przyczyniała się samobójcza ideologia.

Jakimi metodami z nią walczono?

Zmagano się z nią na wszelkie możliwe sposoby. Poeci, choćby Jan Brzechwa, mobilizowali swoimi wierszami głównie dzieci, które odgrywały w tej walce kluczową rolę. Podobnie było zresztą w nazistowskich Niemczech, gdzie powstał nawet podręcznik na temat stonki ziemniaczanej. Dzieci gołymi rękami zbierały chrząszcze i larwy do butelek. Wykorzystywano je także do rozpylania środków chemicznych, zwłaszcza osławionego azotoksu. Chemię rozsiewano też na pola z samolotów, sowieckich kukuruźników. Do walki ze

stonką zatrudniano także inne zwierzęta: bażanty, kuropatwy, a nawet pluskwiaki. Czy były to metody skuteczne? Tego już mogą dowiedzieć się czytelnicy z mojej książki.

Krzyżówki żubra z krową nie wymyślili komuniści.

To prawda. Pierwsze eksperymenty z krzyżowaniem żubrów i krów prowadzone były na Grodzieńszczyźnie już w połowie XIX w. Ziemianin Leopold Walicki dokonał wówczas rzeczy niemożliwej. Wyhodował mianowicie żubrobyka płodnego już w pierwszym pokoleniu. Nigdy później nikomu się to nie udało. Po powstaniu styczniovym Walicki został zesłany na Sybir i obiecująca hodowla przepadła raz na zawsze. Do tematu powrócono jeszcze przed rewolucją październikową w dobrach grafa Falz-Feina w Askanii Nowej koło Chersonia. W 1919 r. założony przez niego rezerwat został znacjonalizowany, ale komuniści kontynuowali jego eksperymenty nad krzyżowaniem różnych zwierząt. W PRL program hodowli żubronia zainicjował założyciel Zakładu Badania Ssaków PAN w Białowieży August Dehnel i trudno w tym przypadku mówić o politycznej inspiracji.

Hodowla żubronia miała na celu eliminację niedoboru mięsa?

Walicki planował wyhodować zwierzę pociągowe, mocarnego kolosa, który będzie w stanie udźwignąć każdy ciężar i wykonać każdą pracę w gospodarstwie. W komunistycznej Polsce ten problem po części rozwiązano dzięki mechanizacji rolnictwa. Zamiast żubrobyków mieliśmy kombajny Bizon. Natomiast stale brakowało mięsa. Całe dzieje Polski Ludowej zostały w pewnym sensie ukształtowane przez społeczne protesty przeciwko podwyżkom i brakom tego cennego wówczas produktu. Mięso i – szerzej – białko stało się dla władzy towarem strategicznym. Produktem, który dawał jej legitymizację i mógł zachwiać podstawami ustroju. Dlatego też z dużą nadzieją spoglądano na potężnego i smacznego ponoć żubrona.

Jak również na małego skorupiaka, który wkrótce stał się pieszczochem władzy.

Edward Gierek spędził młodość w Belgii i we Francji, a z owoców morza

podobno najbardziej lubił mule. Polakom jednak postanowił zaserwować kryla. I to polanego propagandowym sosem. Z ekspedycji krylowych na tajemnicze wody Antarktyki uczyniono prawdziwą epopeję czasów epoki „drugiej Polski”. W prasie pisało o nich niczym o wyprawach współczesnych argonautów po złote runo skorupiaka.

Zmniejszenie napięć w gospodarce żywnościowej – jak to formułowano za Gierka – przy pomocy kryla nie powiodło się z racji niewydolności ekonomicznej państwa?

To było bardziej skomplikowane. Zawrotną karierę kryla nad Wisłą przekreśliły wyniki badań laboratoryjnych. Zaraz po dostarczeniu do kraju pierwszych ton tego surogatu krewetki zajęło się nim wnikliwe grono ponad 200 placówek badawczych w całej Polsce. I wtedy wyszło na jaw, że w mięsie kryla znajduje się zdecydowanie za dużo groźnego dla zdrowia ludzi i zwierząt fluoru. Wstrzymano więc próbną serię produktów ze skorupiaka i wprowadzono kilkuletni zakaz obrotu jego mięsem. To był rok 1979, wkrótce nadszedł Sierpień, a wraz z nim rozliczenia z czasami propagandy sukcesu. Jednym z zarzutów stawianych ekipie Gierka było ogromne marnotrawstwo pieniędzy na wybujałe programy krylowe. Kryl co prawda powrócił po kilku latach na polski rynek, ale spotkał się raczej z chłodnym przyjęciem ze strony zwykłych obywateli PRL.

Czy jakieś inne zwierzęta też doświadczyły PRL-owskiej polityki?

Na pewno do takich zwierząt należały psy, zwłaszcza te bezdomne, których po wojnie było mnóstwo. Oskarżano je o przejadanie zasobów pokarmu, którym z większym pożytkiem mogły żywić się zwierzęta gospodarskie. Myśliwi mieli obowiązek odstrzału blakających się psów, a plany eksterminacji tych nieszczęsnych czworonogów snuł gen. Zygmunt Berling, niegdyś dowódca dywizji kościuszkowskiej, a potem wiceminister leśnictwa. Psy odgrywały jednak również pozytywną rolę. Ocieplały wizerunek komunistów choćby w takich serialach, jak „Czterej pancerni i pies” czy „Przygody psa Cywila”.



MONIKA
MILEWSKA
I RAK RYBA
WYDAWNICTWO
CZARNE 2024

Przez akapity pani książki przewija się zapomniana dziś figura: Trofim Łysenko.

Był Rasputinem sowieckiej biologii. Szarlatanem, któremu udało się omamić dwóch przywódców ZSRS – Stalina oraz Chruszczowa – i doprowadzić rolnictwo tego wielkiego kraju do zapaści. Ten tzw. bosy profesor odrzucał ustalenia nowoczesnej genetyki i wierzył w nieograniczone możliwości

przekształcania roślin i zwierząt za pomocą zmian w ich środowisku życia. Uważał np., że pod wpływem zmiany diety jedne gatunki ptaków mogą przekształcać się w inne, a pod wpływem temperatury pszenica może zmienić się w żyto. Zastanawiam się, czy Łysenko nie ma na sumieniu więcej ludzkich istnień niż niejeden dyktator. „Łysenkizm” stał się bowiem doktryną obowiązującą nie tylko w Kraju Rad, lecz także w maoistowskich Chinach, gdzie m.in. na skutek eksperymentów w zasiewie zbóż doszło do klęski wielkiego głodu, który pochłonął życie kilkudziesięciu milionów Chińczyków. W mojej książce postać ta pojawia się w kontekście hodowli bydła: zimnego wychowu cieląt, którego Łysenko był propagatorem, oraz krzyżowania rasowych i nierasowych krów w celu uzyskania zwiększonej produkcji mleka. W ten sposób ulubieniec Chruszczowa zniszczył dużą część sowieckich zasobów krów rasy Jersey. Ale to przecież drobiazg wobec innych jego „osiągnięć”...

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Monika Milewska – eseistka, dramaturg, poetka, tłumaczka i antropolog kultury, absolwentka historii Uniwersytetu Warszawskiego. Słuchawisko jej autorstwa pt. „Podróż na Księżyc” otrzymało Grand Prix XV Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji „Dwa Teatry”. Autorka książek, m.in. „Ocet i łzy. Terror Wielkiej Rewolucji Francuskiej jako doświadczenie traumatyczne”, „Ślepa kuchnia. Jedzenie i ideologia w PRL” oraz najnowszej: „I rak ryba. Stworzenia polityczne w PRL-u”.

Niemiecki pacjent



Jan Bogatko z Berlina

6 listopada 2024 r. słońce weszło w Berlinie o godz. 7.12. Tak rozpoczął się ostatni dzień koalicji socjalistycznego kanclerza Niemiec, Olafa Scholza. Po rozwodzie z FDP „koalicja światła drogowych” (czerwone-żółte-zielone, czyli odpowiednio SPD, Zieloni, FDP) przestała istnieć. O co poszło? Oczywiście o pieniądze. Zaraz po Bożym Narodzeniu prezydent Niemiec, Frank-Walter Steinmeier, ogłosił termin przedterminowych wyborów do Bundestagu. Odbędą się one w niedzielę 23 lutego tego roku. Co czeka Niemcy?

Jedno jest pewne, jak w refrenie „Międzynarodówki”: socjalistyczne Niemcy oczekuje kolejny bój. Brak partyjnego lidera, który mógłby uzyskać w wyborach do Bundestagu bezwzględną większość w parlamencie

21. kadencji, prowadzi do dyskusji o ewentualnej koalicji rządzącej w Berlinie. Kto, z kim i na jakich warunkach? Oto jest pytanie. W warunkach kordonu sanitarnego ze strony szeroko pojętego obozu lewicy między Odrą a Renem,

wykluczającego Alternatywę dla Niemiec z udziału w rządach w Republice Federalnej Niemiec, nie jest wcale trudno przewidzieć skład przyszłej koalicji rządzącej. W zasadzie bez obawy o pomyłkę można już dziś wskazać nowego lokatora urzędu kanclerskiego przy Willy Brandt Strasse 1 w Berlinie. Będzie nim Friedrich Merz (który w listopadzie skończy 70 lat), od 2022 r. szef CDU i klubu poselskiego CDU/CSU, a zatem lider opozycji w Bundestagu. Puste miejsca musimy na razie zostawić przy nazwiskach wicekanclerza i szefa dyplomacji niemieckiej, aczkolwiek zwłaszcza to pierwsze nasuwa się samo.

Zanim zajmiemy się podziałem ministerialnych łupów zwycięskiego obozu w lutowych wyborach, przypomnijmy, kto bierze w nich udział. I tak w wyborach do Bundestagu, które odbędą się 23 lutego 2025 r., może wziąć udział 41 partii. Na publicznym

Czy Friedrich Merz (po prawej) i Olaf Scholz stworzą wspólny rząd?

FOT. MICHAEL KAPPELER/POOL/AFP/EAST NEWS

FDP (liberałowie, wolni demokraci) – 91, konserwatywna Alternatywa dla Niemiec (AfD) – 83 i komuniści (Die Linke) – 39. Tu ciekawostka – Die Linke nie przekroczyła progu wyborczego, zdobywając zaledwie 4,9 proc. głosów, ale z uwagi na procedury wyborcze (mandaty bezpośrednie, tzw. klauzula mandatów podstawowych) do Bundestagu jednak weszła. I to z hukiem, mimo utraty ponad 4 proc. poparcia ze strony wyborców. Był jeszcze jeden wyjątek: SSW (duńska mniejszość) uzyskała jeden mandat.

OSOBISTA KLĘSKA KANCLERZA

Niemieckiej lewicy wybory roku 2021 przyniosły wielki sukces. Był to w zasadzie plebiscyt. Niemcy mieli dość rządów „pierwszej zielonej kanclerz” Niemiec, Angeli Merkel, szefowej CDU. Partia rządząca do tej pory Republiką Federalną Niemiec dostała porządnie po łapach, poniosła sromotną klęskę. Wybory wygrała SPD, zdobywając dodatkowo 5,2 proc. głosów (w sumie 25,7), kiedy CDU/CSU straciły bez mała 9 proc. poparcia (w sumie uzyskując jedynie 24,2 proc.). O tym, że Niemcy strzelili sobie w kolano, mieli się niebawem dowiedzieć z niełatwym przerażeniem. Popularność lewicowego rządu kanclerza Olafa Scholza z ramienia SPD zaczęła spadać niemal z dnia na dzień. W ubiegłym roku Scholz miał jako kanclerz najgorsze notowania na politycznej giełdzie w historii RFN. A jaki obiecujący był początek polityka SPD w urzędzie kanclerskim! Należał on do grona najbardziej lubianych niemieckich polityków, jednak od zimy roku 2023 do 2024 tracił z dnia na dzień sympatię społeczeństwa. W ramach badania przeprowadzonego przez Forschungsgruppe Wahlen w Mannheim (instytut analiz wyborczych i badania tendencji społecznych pracujący głównie dla potrzeb sprawozdawczości wyborczej drugiego programu telewizji niemieckiej, ZDF) respondenci mogli ocenić osiągnięcia polityczne kanclerza Niemiec i swoją sympatię do Scholza w skali od +5 do -5. Na początku lutego 2025 r. notowania kanclerza wyładowały na poziomie -0,7 pkt. Trudno nie nazwać tego klęską polityka, może nawet bardziej osobistą niż SPD.

W konsekwencji koalicja rządząca trzech partii – SPD, Zielonych i FDP – przeszła do historii. Wieczorem 6 listo-

pada ubiegłego roku kanclerz zdymisjonował ministra finansów z ramienia Wolnych Demokratów (FDP) Christiana Lindnera, a to z powodu niedających się rozwiązać różnic w temacie budżetu państwa. Decyzja Scholza była zaskoczeniem. Po zwycięstwie Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA możliwe byłoby również utrzymanie sytuacji politycznej w Bundestagu i rządu oraz kontynuowanie koalicji do planowanego końca kadencji parlamentarnej jesienią 2025 r. Jednakże partnerzy zaangażowani w koalicję nie uznali tego za możliwe do realizacji. Około 59 proc. przepytanych Niemców uznało rozpad koalicji za dobry krok, podczas gdy wśród ankietowanych zwolenników SPD i Zielonych względna większość uznała koniec trójkolorowej koalicji za coś złego. W konsekwencji rząd kanclerza Scholza stracił większość w Bundestagu. Mimo że rząd mniejszościowy SPD i Zielonych próbował przeprowadzić jakieś reformy w Bundestagu, chcąc ratować twarz, to jednak fiasko rządu Scholza przypięczętowało pytanie o wotum zaufania postawione przez kanclerza 16 grudnia ubiegłego roku. 27 grudnia prezydent Niemiec, Frank-Walter Steinmeier, ogłosił w tej sytuacji rozwiązanie parlamentu i wyznaczył dzień 23 lutego 2025 r. jako datę przedterminowych wyborów do Bundestagu.

Merz wie, że kwestia migracji zadecyduje o wyniku lutowych wyborów. Dlatego składa w Bundestagu wniosek na rzecz zaostrzenia polityki migracyjnej. Ta w Niemczech od chwili słynnego zaproszenia ze strony Angeli Merkel, szefowej było nie było CDU, skierowanego do mieszkańców Afryki i Azji, w zasadzie już nie istnieje. Scholz stara się bronić przed zarzutami opozycji i zaostrza kontrole na granicach. Zwłaszcza z Polską. Niemcy przerzucają za Odrę i Nysę nielegalnych imigrantów, którzy przybyli do Niemiec przez Polskę. Ale to nie wystarczy. Merz posuwa się dalej: jego pięciopunktowy plan zawiera żądanie CDU/CSU odsyłania azylantów już na granicach Niemiec. Naturalnie Merz wie, że AfD nie może głosować w parlamencie przeciwko temu projektowi. Kanclerz Olaf Scholz, szef rządu bez władzy, krzyczy, że podejmowane przez opozycję środki są niekonstytucyjne i naruszają prawo

posiedzeniu w dniach 13 i 14 stycznia 2025 r. w Berlinie Federalna Komisja Wyborcza zbadała formalne wymagania, które muszą spełnić partie, aby móc wziąć udział w tych wyborach. Zgodnie z jej ustaleniami do ostatnich wyborów, które odbyły się 26 września 2021 r., dopuszczono 53 partie. Spośród nich 47 partii ostatecznie wzięło w nich udział, prezentując własnych kandydatów. Do Bundestagu weszło tylko sześć z nich, reszta została za drzwiami, nie przekraczając progu wyborczego, jak np. stalinowska partia MLPD (Marksistowsko-Leninowska Partia Niemiec) Gabi Fechtner i z tej samej ekstremistycznej ławki NPD (Narodowo-Demokratyczna Partia Niemiec) Franka Franza. Sześć partii, które do Bundestagu po wrześniowych wyborach w roku 2021 weszły do parlamentu liczącego 735 miejsc poselskich, to socjaliści (SPD) – 206, tzw. chadecja (CDU/CSU) – 197, Zieloni – 118,

■ europejskie. Zgodnie z oczekiwaniem lidera opozycji Bundestag przyjął propozycję CDU/CSU na rzecz zaostrzenia polityki migracyjnej. Nawet jeśli, z uwagi na skład parlamentu, niewielką większością głosów. W głosowaniu imiennym za projektem ustawy opowiedziało się 187 posłów CDU/CSU, 75 posłów AfD, 80 członków klubu parlamentarnego FDP oraz 6 posłów niezależnych, co dało wymaganą większość 348 głosów. Przeciwko głosowało 344 posłów, 10 wstrzymało się od głosu.

WYIMAGINOWANY FASZYZM

W tej sytuacji lewica wychodzi na ulice niemieckich miast. Nie, nie dlatego, by protestować przeciwko zamordowaniu w styczniu tego roku dziecka przez migranta z Afganistanu w Aschaffenburgu. Czy zabiciu tam człowieka ratującego inne dzieci przed zbrodniarzem. Nie. Setki tysięcy ludzi wychodzą na ulice, by protestować przeciwko AfD. Znaczenie słowa „obłuda” wymaga nowej definicji. Na zdjęciach z demonstracji przeciwko Merzowi powiewają nowe flagi UE: z gwiazdami i w połowie tęczowe. Przeciwko FDP, której poparcie dla planu Merza było większe niż ze strony AfD, nikt nie protestuje. Chociażby to wskazuje na tendencyjny, lewacki projekt realizowany właśnie na ulicach niemieckich miast. Lewicowy politolog z Marburga, stypendysta związkowej Fundacji Hansa Böcklera, prof. Felix Anderl, cytowany przez stację TV ZDF badacz konfliktów, jest zdania, że protesty na ulicach krótko przed wyborami wynikają z tego, że „ludzie są jeszcze bardziej zainteresowani tym, by pewne sprawy się nie zmieniły”. Nietrudno się domyśleć, z czyjej inicjatywy, a także na czyje wezwanie dzieje się tak zgodnie z hasłem: „Zmiany tak, ale podejmowane tylko przez nas”. A także wynika to z nowej strategii szefa CDU. „To walka z faszyzmem (czyli z AfD) sprawia, że ludzie, którzy nie zaliczają się do lewicy, poprą w wyborach partię lewicową” – przekonuje Anderl. Innymi słowy: tak trzymać.

Dziewięćdziesiąt minut trwała w niedzielę wieczorem, 9 lutego, w niemieckiej telewizji państwowej pierwsza z politycznych debat między głównymi bohaterami wyborczego starcia 23 lutego. W TV RTL odbędzie się przed lutowymi wybora-

Ewentualni partnerzy koalicyjni, których bierze pod uwagę Friedrich Merz, zamienią raczej w fiasko plany reform tego polityka

mi z kolei debata czworga polityków. Weźmie w niej udział 16 lutego kanclerz Olaf Scholz, kandydat CDU/CSU Friedrich Merz, kandydatka AfD Alice Weidel i Robert Habeck z Zielonych. Niedzielny pojedynek Scholz-Merz to była w gruncie rzeczy pogawędka dwóch polityków, którzy – nawet prawiąc sobie komplementy – po przedterminowych wyborach utworzą koalicję rządzącą. Wprawdzie poruszono w niej kontrowersyjne tematy, jak migracja i gospodarka, ale najważniejszy akcent politycy położyli na utrzymanie kordonu sanitarnego wokół Alternatywy dla Niemiec, jakby to stanowiło dla Niemców sprawę najważniejszą. Nikt nie odpowiedział na pytanie, dlaczego w okresie minionych niespełna czterech lat poparcie dla AfD się podwoiło. Na pewno ciekawsza będzie debata w TV RTL, aczkolwiek nie wykluczam, że sprowadzi się ona wyłącznie do ataków na wyimaginowany faszyzm, bez odpowiedzi na pytanie, co z nielegalną imigracją i upadkiem gospodarczym Niemiec.

CZERWONY ŁAŃCUCH

Po przedterminowych wyborach do Bundestagu, arytmetycznie rzecz biorąc, możliwe będą następujące koalicje rządowe w Berlinie. Po pierwsze, sugerując się wynikami sondaży czołowych ośmiu instytutów badania opinii publicznej w Niemczech – jak Allensbach, Verian (Emnid), Forsa, Forschungsgruppe Wahlen, GMS, Infratest dimap, INSA i Yougov – odpowiedź na pytanie, kto objąłby władzę, „gdyby w niedzielę miały się odbyć wybory do Bundestagu”, brzmiałaby: czarno-niebiescy. Chodzi o CDU/CSU Friedricha Merza i AfD Alice Weidel. Byłby to stabilny rząd bez większych różnic ideologicznych między koalicjantami umożliwiający przeprowadzenie zasadniczych reform państwa i dysponujący w Bundestagu większością

sięgającą nawet do 54 proc. (tylko Forsa w badaniach z 4 lutego daje tej koalicji 48 proc. poparcia, pozostałych siedem instytutów jest zdania, że miałaby ona od 50 proc.). Po drugie: w grę wchodzi czerwono-czarni. To kolejna (już nie tylko arytmetyczna) możliwość: CDU/CSU-SPD. Pamiętam niedawne stosunkowo czasy, kiedy chadecja, zanim skrzyła ostro w lewo, odrzucała z oburzeniem taką możliwość. Sondażownia Allensbach daje koalicji Merz-Scholz nawet 51 proc. w Bundestagu, inne poniżej 50, a to otwiera wiele dalszych możliwości, a więc np. CDU/CSU-SPD-Zieloni, może nawet z dodatkiem komunistów Die Linke (Yougov daje im nawet 6 proc.). Koalicja z FDP nie wchodzi arytmetycznie w grę, ponieważ Wolni Demokraci uzyskują zgodnie zaledwie 4 proc. we wszystkich badaniach. To utrata ponad połowy poparcia! Merzowi najbardziej odpowiadałaby pewnie koalicja z SPD i FDP, ale to zarówno arytmetycznie, jak i ideologicznie (rozwód z SPD) mało prawdopodobne.

Realny jest zatem jedynie „antyfaszystowski front ludowy”, to znaczy koalicja CDU/CSU z lewicą. Kordon sanitarny wykluczający Alternatywę dla Niemiec z rozważań o budowie rządu w Berlinie z powodów dogmatycznych skazuje byłą chadecję na przykucie czerwonym łańcuchem do lewicy. To niezwykle ułatwia odpowiedź na pytanie, kto będzie rządził Niemcami po przedterminowych wyborach 23 lutego, a ściślej – po Wielkanocy, kiedy to złożone zostaną podpisy pod grubą jak zwykle umową koalicyjną odpowiadającą na współczesną wersję pytania, ile diabłów mieści się na głowie od szpilki.

Po wyborach święto demokracji zakończy się... jej porażką na kolejne cztery lata. Chyba że dojdzie ponownie do przedterminowych wyborów. Teoretycznie będzie to możliwe, ponieważ ewentualni partnerzy koalicyjni, wchodzący w grę dla Merza i kierowanej przez niego CDU, zamienią raczej w fiasko plany reform tego polityka, któremu brakowało dotąd szczęścia. SPD i Zieloni, których w wyborach ukarzą Niemcy, dopuszczeni do udziału w rządzie Merza, udaremnią liderowi CDU/CSU jego równie ambitne, co mało realne plany. Ale ich tęczyowy sztandar wznosi się ponad trony. I o to chodzi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Putin powoli skreca w prawo



Maciej Pieczyński

Rosja jest tak mocno przeżarta lewicową zgnilizną obyczajową, że jej elity polityczne zaczęły – nieśmiało i niekonsekwentnie, ale jednak – szukać konserwatywnych rozwiązań prawnych mających uzdrowić społeczeństwo

Gdzie na świecie rodzina najczęściej się rozpada? Na zgniłym, lewicowym Zachodzie – taka odpowiedź jako pierwsza zapewne przyjdzie do głowy niejednemu czytelnikowi. Nic bardziej mylnego. Światowe podium tej niechlubnej statystyki zajmują, od pierwszego do trzeciego miejsca, kolejno: Malediwy, Kazachstan i Rosja. Tak, „Trzeci Rzym”, „przedmurze światowego konserwatyizmu”, pod względem stylu życia swoich mieszkańców przypomina bardziej Sodomę i Gomorę niż Nowe Jerozolimę. W 2024 r. osiem na dziesięć małżeństw w Rosji kończyło się rozwodem. Tak wynika z oficjalnych danych opublikowanych przez państwową sondażownię WCIOM, czyli Wszechrosyjskie Centrum Badania Opinii Publicznej. Władze w Moskwie otwarcie przyznają, że problem istnieje. Wiceprzewodnicząca Dumy Państwowej Anna Kuzniecowa stwierdziła, że z jednej strony Rosjanie na potęgę się rozwodzą, ale z drugiej strony we wszelkich badaniach wskazują na rodzinę jako na najważniejszą wartość w ich życiu.

Ta sprzeczność sprawia, że łatwo ich posądzić o hipokryzję. Warto jednak wiedzieć, z czego wynika kruchość rodziny w warunkach rosyjskich. Swoje zrobiło siedem dekad sowieckiego komunizmu. W pierwszych latach rządów elity bolszewickie promowały „teorię szklanki wody”, którą można streścić następująco: „Przespać się z kimś to takie łatwe jak wypicie szklanki wody”. Moda na rozwiązłość seksualną i niechęć do tradycyjnego modelu rodziny wynikały nie tylko z założeń ideologicznych, lecz także z obyczajowości modernizmu,

FOT. KREMLIN.RU

■ którą (również antykomunistyczna) inteligencja rosyjska w dużej mierze była przesiąknięta na początku XX w. Ponadto również religia jest w tej kwestii bardziej liberalna niż na Zachodzie. O ile Kościół katolicki godzi się w wyjątkowych okolicznościach na unieważnienie ślubu, o tyle Cerkiew prawosławna w Rosji przewiduje liczne możliwości udzielenia rozwodu. Przy czym, co ciekawe, ta sama Cerkiew uważa, że małżeństwo jest wieczne i trwa również po śmierci. Prawosławni teologowie zarzucają katolikom, że traktują oni uświęcony przez Boga związek jako instytucję ziemską, której rola kończy się, gdy mąż lub żona umierają.

Jak pogodzić liberalny stosunek do rozwodu z radykalnym podejściem do nierozdzielności małżeństwa? Odpowiedź tkwi w charakterystyce mentalności rosyjskiej. Cerkiew co do zasady uważa rozwód za zło, ale jest wyrozumiała dla ludzkich słabości. W końcu, zgodnie z myślą Fiodora Dostojewskiego, który w swoich powieściach okazywał miłosierdzie nawet najgorszym grzesznikom, trzeba zgrzeszyć, żeby się pokajać, upaść, żeby się podnieść. Natomiast przywiązanie do literalnie rozumianej idei wieczności więzów małżeńskich wynika z irracjonalnego i mistycznego charakteru – zarówno prawosławia, jak i kultury rosyjskiej.

RUBLE I TERAPIE

Tak czy inaczej, niezależnie od mentalnych czy historycznych uwarunkowań, władze na Kremlu próbują walczyć z plagą rozwodów. Rok 2024 został w Rosji ogłoszony „rokiem rodziny”. Pod tym hasłem przedstawiciele obozu władzy proponowali różnego rodzaju inicjatywy ukierunkowane na wzmocnienie „tradycyjnych wartości rodzinnych”. 1 stycznia 2025 r. weszły w życie przepisy, które sprawiają, że rozstanie będzie dla małżonków o wiele bardziej kosztowne niż dotychczas. Opłata za pozew rozwodowy wzrosła ośmiokrotnie – z 650 do 5 tys. rubli (ok. 209 zł). Co prawda, zwiększone koszty poniosą tylko ci, którzy zdecydują się rozstać za porozumieniem stron albo poprzez sąd. Natomiast jeśli odejść chce tylko jeden z małżonków albo jeśli drugi małżonek jest ubezwłasnowolniony, odbywa karę

O ile statystyki rozwodów i aborcji przeczą tezie o „konservatywnym” charakterze społeczeństwa rosyjskiego, o tyle już stosunek do orientacji seksualnej czy do płci jest w Rosji konsekwentnie i niewątpliwie tradycjonalistyczny

pozbawienia wolności dłuższą niż trzy lata lub został uznany za zaginionego – to w takich sytuacjach opłata pozostaje w poprzedniej kwocie.

Z pewnością jednak nie dla wszystkich koszty finansowe będą wystarczającą demotywacją do rozstania. Stąd pojawił się pomysł, by zwrócić się o pomoc do psychologów rodzinnych. W marcu Duma Państwowa rozpatrzy projekt ustawy, zgodnie z którą rozwód byłby możliwy dopiero po przejściu trzymiesięcznej terapii małżeńskiej. To ma być ostatnia szansa na uratowanie związku. Już teraz sądy mogą orzekać konsultację psychologiczną jako warunek rozpatrzenia pozwu rozwodowego. Projekt czyni jednak z terapii ogólny wymóg, bez którego sprawa nie trafi w ogóle na wokandę. I to nawet w przypadku, gdy obie strony chcą rozwodu. Co istotne, nowe przepisy miałyby objąć te związki, w których wychowują się dzieci poniżej 18. roku życia. Obowiązkowa terapia – zgodnie z początkowym kształtem projektu – dotyczyłaby również par bezdzietnych, jeśli jeden z małżonków nie zgadzałby się na rozwód. Przy czym terapia ma być bezpłatna, ale jedynie w tych regionach, w których finansowania podejmują się lokalne władze. Wnioskodawcą projektu jest deputowany Jednej Rosji Igor Antropienko.

Proponowane rozwiązanie spotkało się też z krytyką ze strony koncesjonowanej opozycji. Nina Ostanina z Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej w rozmowie z dziennikiem „Kommiersanta” nazwała „cynicznym” narzucanie obowiązkowej i zarazem płatnej konsultacji psychologicznej rozwodnikom. W jej ocenie jest to „zdzieranie pieniędzy z obywateli”. Z kolei Izba Obrachunkowa FR stwierdziła, że projekt narusza zasadę dobrowolności usług społecznych (takich jak konsultacja psychologiczna), zwróciła też uwagę na niejasny sposób finansowania terapii. Projekt uległ zmianie. W nowszej wersji

z obowiązku mediacji zwolniono pary bezdzietne. Nie wiadomo jednak, czy i w takim kształcie ustawa przejdzie przez Dumę.

Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji przygotowała natomiast projekt ustawy, zgodnie z którą nowożeńcy mieliby otrzymywać od państwa jednorazowe świadczenie w wysokości 10 tys. rubli. Podczas dyskusji wokół tego pomysłu deputowany Jednej Rosji Witalij Miłonow zaproponował, by rozwodników karać wysłaniem na front „specjalnej operacji wojskowej” albo grzywną w wysokości 100 tys. rubli. Ten sam polityk chciał również zakazać ideologii „ciałopożytywności”, tłumacząc, że propaguje ona niezdrowy styl życia. Na szczytach władz pojawił się również pomysł, by nagradzać za długoletni staż w małżeństwie. Kolejne jubileusze oznaczałyby kolejne gratyfikacje. Za 20 lat pożycia – 20 tys. rubli, 25 lat – 25 tys. Najwyższa premia – 70 tys. rubli – przysługiwałaby po 70 latach małżeństwa.

PUTIN STAWIA NA DZIECI

Pod koniec listopada Władimir Putin podpisał ustawę zakazującą propagandy ideologii childfree (czyli bezdzietności z wyboru). Nowe prawo przyniosło efekty już dwa miesiące później. 31 stycznia 29-letnia mieszkanka Sewastopola została przez tamtejszy sąd ukarana grzywną w wysokości 50 tys. rubli za to, że rozpowszechniała w Internecie treści, które, w ocenie policji, zawierały „wypowiedzi na temat atrakcyjności rezygnacji z rodzenia dzieci na rzecz beztroskiego sposobu życia”. Chodzi o memy, które publikowała na swoim profilu na portalu społecznościowym vKontakte. Jeden z nich przedstawia zdjęcie Quentina Tarantino z podpisem „Rób filmy, nie dzieci!”. Dwudziestodwuletnia nie usunęła tego typu treści po tym, jak zakaz propagandy bezdzietności wszedł w życie – tak sewastopolska policja tłumaczyła konieczność ukarania kobiety.

Kreml próbuje też ograniczać skalę aborcji. Jak wiadomo, Rosja Sowiecka była pierwszym na świecie państwem, w którym zalegalizowano zabijanie dzieci nienarodzonych. W 1936 r. Stalin zakazał aborcji, czyniąc wyjątek dla przyczyn medycznych, jednak decyzja ta nie była podyktowana konserwatywnymi przekonaniem dyktatora, tylko względami demograficznymi. W latach 50. aborcja znów stała się legalna. W kolejnych dekadach stała się wręcz elementem stylu życia, normalnym i coraz częściej stosowanym zabiegiem. Cerkiew, spacyfikowana przez teoretycznie ateistyczne państwo sowieckie, nie była w stanie się temu przeciwstawić. W szczytowym roku 1988 w Rosji (wówczas jeszcze w ramach ZSRS) dokonano 4,6 mln aborcji. Potem ta liczba spadała. Według Rosstatu w 2021 r. usunięto ponad 517 tys., a w 2022 r. – prawie 504 tys. ciąż.

W ubiegłym tygodniu ministerstwo zdrowia chwaliło się, że w ciągu ostatnich 10 lat liczba aborcji spadła 3,5-krotnie. Niemniej współczesna Rosja nadal ma bardzo liberalne prawo w tym

przeforsować się jej nie udało. W Dumie pojawił się także pomysł, by warunkiem aborcji była pisemna zgoda męża. Wiceprzewodnicząca Anna Kuzniecowa zaproponowała, aby nie wydawać prywatnym klinikom licencji na usuwanie ciąży. Tego rozwiązania również nie wprowadzono.

Nie było to jednak konieczne, bo efekty presji ze strony państwa i Cerkwi widać wyraźnie. We wrześniu ubiegłego roku media rosyjskie informowały, że ponad 500 prywatnych klinik zrezygnowało z przeprowadzania aborcji. Kreml zakazuje propagandy bezdzietności, nie ma jednak odwagi zakazać propagandy zabijania dzieci nienarodzonych. Nie oznacza to jednak, że nic w tym kierunku nie robi. Po prostu znalazł pośredników, decentralizując akurat ten niewygodny społecznie temat. Kolejne podmioty Federacji Rosyjskiej na regionalnym poziomie wprowadzają zakaz nakłaniania do aborcji. Gubernator obwodu wołogodzkiego oświadczył niedawno, że planuje całkowicie zakazać aborcji w swoim regionie. Jesienią ubiegłego roku prawosławna telewizja Spas

w Dumie pojawił się pomysł, by bronić praw obywatela od momentu poczęcia. Do zapisu o tym, że „każdy ma prawo do ochrony zdrowia”, mają być dodane słowa: „zarówno przed urodzeniem, jak i po nim”. Ponadto władze wydatnie wspierają organizacje społeczne promujące wartości tradycyjne, takie jak Fundacja „Kobiety dla Życia”.

ROSJANIE NIE CHCĄ W PRAWO?

O ile statystyki rozrodów i aborcji przeczą tezie o „konserwatywnym” charakterze społeczeństwa rosyjskiego, o tyle już stosunek do orientacji seksualnej czy do płci jest w Rosji konsekwentnie i niewątpliwie tradycjonalistyczny. Nigdy nie było, nie ma i najpewniej nie będzie tam żadnej możliwości rejestracji związków homoseksualnego – związki partnerskie, nie mówiąc o małżeńskich, nie wchodzi w grę. W 2024 r. „międzynarodowy ruch LGBT” został oficjalnie uznany za organizację ekstremistyczną i terrorystyczną. Zakazano również oddawania dzieci rosyjskich do adopcji obywatelom państw, w których dozwolona jest zmiana płci. W samej Rosji tranżycji (oraz pomocy dla osób, które chcą jej dokonać) zakazano rok wcześniej.

Moskwa prowadzi coraz szerszej zakrojoną politykę prorodzinną. Nie tylko z przyczyn ideologicznych, lecz także demograficznych czy społecznych – Rosja się wyludnia, a mięso armatnie będzie potrzebne nawet po zawarciu (najpewniej kruchego) pokoju z Ukrainą. Niezależnie od intencji władze na Kremlu w tej konkretnej sferze realizują program konserwatywny. Czynią to jednak powoli i nieśmiało. Mają bowiem świadomość, że poza niechęcią do LGBT społeczeństwo rosyjskie jest w swej masie bardzo liberalne i zdemoralizowane zarazem. Władca Kremla pokazał wielokrotnie, że potrafi łamać opór przeciwników politycznych. A jednak z jakiegoś powodu swojej żelaznej woli nie chce pokazać do końca w obronie wartości tradycyjnych, choćby w sprawie aborcji. Albo więc sam nie jest przekonany do idei pro-life, albo boi się gniewu poddanych tkwiących w większości w liberalno-lewicowym paradygmacie. Nawet jeśli Putin rzeczywiście skręca w prawo, to sami Rosjanie niechętnie podążają jego śladem.

Kreml zakazuje propagandy bezdzietności, nie ma jednak odwagi zakazać propagandy zabijania dzieci nienarodzonych. Nie oznacza to jednak, że nic w tym kierunku nie robi. Po prostu znalazł pośredników. Kolejne podmioty Federacji Rosyjskiej na regionalnym poziomie wprowadzają zakaz nakłaniania do aborcji

zakresie. Do 12. tygodnia ciążę można usunąć na żądanie, do 22. – z powodów socjalnych. Ze względów medycznych aborcja możliwa jest aż do chwili narodzin. O całkowitym zakazie zabijania dzieci nienarodzonych na razie nie ma mowy. Rosyjskie społeczeństwo na tyle przyzwyczało się do tego „wygodnego” rozwiązania, że nie zaakceptowałoby radykalnych ograniczeń. Kreml przysłuchuje się jednak mniej śmiałym pomysłom przeciwników aborcji. W 2023 r. Rosyjska Cerkiew Prawosławna zaproponowała, by usunięcie ciąży na żądanie było możliwe nie do 12., tylko do 8. tygodnia, a z powodu gwałtu do 12. tygodnia (obecnie, w ramach „przyczyn socjalnych”, jest to 22. tydzień). Propozycja trafiła pod obrady parlamentu, ale

wyemitowała film dokumentalny „Mami-no piśmo” („List od mamy”) o wymowie jednoznacznie antyaborcyjnej. W całym kraju, w tym również na ukraińskich terytoriach okupowanych, organizowano zamknięte pokazy dokumentu, na które ściągano młodzież szkolną i uniwersytecką, lekarzy, urzędników, pracowników budżetówki.

W grudniu 2024 r. Putin publicznie zapowiedział, że ulgi i gwarancje socjalne przysługujące w ramach tytułu Bohater Pracy Federacji Rosyjskiej będą nadane również kobietom, które otrzymały tytuł Matka Bohaterka (czyli tym, które urodziły 10 lub więcej dzieci). Obiecał też podwyższenie świadczeń socjalnych dla studentek, które zaszły w ciążę. Również pod koniec ubiegłego roku

OLIVIER BAULT: Napisałeś kilka książek o Forum São Paulo, ważnej lewicowej organizacji w Ameryce Łacińskiej i prowadzonej przez nią wojnie kulturowej. Czym jest Forum São Paulo?

ALEJANDRO PEÑA ESCLUSA: Forum São Paulo to organizacja, którą obserwuję już od 30 lat. Poświęciłem trzy dekady mojego życia na badanie tej potężnej organizacji. Utworzono ją w lipcu 1990 r., po upadku muru berlińskiego. Lewicowe grupy w Ameryce Łacińskiej czuły się wówczas opuszczone przez Związek Sowiecki, który właśnie się rozpadł. Z tego względu postanowiły stworzyć własną organizację, sojusz wszystkich lewicowych ugrupowań w Ameryce Łacińskiej, w tym oczywiście też grup partyzanckich, czyli organizacji stosujących przemoc, grup terrorystycznych. Organizację tę nazwano Forum São Paulo, ponieważ została utworzona w mieście São Paulo w Brazylii przez Fidela Castro i Lulę da Silvę, szefa brazylijskiej Partii Pracujących. Lula jest teraz prezydentem Brazylii.

Początkowo Forum São Paulo składało się z kilku organizacji, jednak później rozrosło się do rangi najpotężniejszej organizacji politycznej w Ameryce Łacińskiej. Nigdy wcześniej nie istniała bowiem żadna międzynarodowa organizacja polityczna, do której należało 10 lub 11 prezydentów jednocześnie. Zarówno chadecy, jak i socjaldemokraci nigdy nie osiągnęli liczby 10 urzędujących prezydentów w tym samym czasie, a Forum São Paulo tego dokonało. Do tego grona należy trzech dyktatorów: Daniel Ortega z Nikaragui, Miguel Díaz-Canel z Kuby oraz Nicolás Maduro z Wenezueli. Wśród nich są także Lula da Silva z Brazylii, Gustavo Petro z Kolumbii i inni. Łącznie jest ich w tym momencie 10.

Z tego, co przeczytałem w twojej najnowszej książce o oszustwach wyborczych Forum São Paulo, nie udało im się to wyłącznie dzięki społecznemu poparciu.

Pierwotnie niektórzy uczciwie wygrali wybory. Przykładem może tu być Hugo Chávez, który rzeczywiście zwyciężył w pierwszych wyborach. Zaraz potem zmanipulował jednak system wyborczy. Czasami ludzie głosują na kandydatów nie dlatego, że ich lubią, tylko aby ukarać ludzi, którzy obecnie rządzą. Głosują, ponieważ chcą zmiany i wydaje im się, że

Nigdy wcześniej nie istniała żadna międzynarodowa organizacja polityczna, do której należało 10 lub 11 prezydentów jednocześnie, a Forum São Paulo udało się tego dokonać. Na zdjęciu: XVIII spotkanie Forum São Paulo, lipiec 2012 r.

FOT. XAVIER GRANJA CEDAÑO/MINISTERIO DE RELACIONES EXTERIORES, COMERCIO E INTEGRACIÓN/WIKIPEDIA



Z Alejandrem Peñą Esclusą, dysydem z Wenezueli i byłym więźniem politycznym Hugona Cháveza, obecnie mieszkającym we Włoszech

rozmawia Olivier Bault

Zamachy stanu bez użycia broni

ci ludzie wierzą w demokrację. Tymczasem oni, po dojściu do władzy, niszczą demokrację od środka.

Jeśli chodzi o Hugona Cháveza, to zauważył on w 2004 r., że system elektroniczny jest coraz częściej wykorzystywany do przeprowadzania wyborów. Czterdzieści lat temu nie było elektro-

nicznego głosowania ani elektronicznego liczenia głosów i dopiero 30 lat temu zaczęło to stawać się coraz częstszym zjawiskiem. Hugo Chávez zlecił więc powołanie niezwykle ważnej spółki zajmującej się oprogramowaniem wyborczym i sfałszował wybory w 2004 r., używając elektronicznych maszyn do



udostępniony Boliwii, gdzie w roku 2019 Evo Morales sfałszował wyniki wyborów.

Jeśli chodzi o niektóre kraje, to nie wiem, czy dopuścili się oszustwa czy nie, jednak mogę powiedzieć, że elektroniczny system głosowania i liczenia głosów nie jest godny zaufania, ponieważ można się do niego włamać, można nim manipulować. Jestem tego zdania, że wybory powinny odbywać się w tradycyjny sposób, czyli poprzez głosowanie z użyciem papierowych kart, gdzie każdy głos jest liczony ręcznie, ponieważ wszystkie systemy elektroniczne są podatne na nadużycia, zwłaszcza jeśli chodzi o wybory, które są źródłem władzy.

W Stanach Zjednoczonych już od dawna stosowane są maszyny do głosowania. Dzisiejsze maszyny mają system elektroniczny. Czy uważasz, że jest on wykorzystywany do fałszowania wyborów? Myślę tutaj w szczególności o wyborach w USA z 2020 r., co do których pojawiły się pewne wątpliwości.

Powiem w ten sposób: nie mogę tego udowodnić, ale jest wystarczająco dużo podejrzeń, aby sądzić, że te wybory nie były czyste, nie były obiektywne. Dlaczego tak sądzę? Ponieważ Partia Demokratyczna nie chce, aby ludzie okazywali dokumenty tożsamości podczas głosowania. Każdy, nawet obcokrajowiec, może teraz głosować w Stanach Zjednoczonych bez okazywania dokumentu tożsamości. Również karty do głosowania korespondencyjnego są dla mnie bardzo podejrzane. Nie ma lepszego systemu niż wtedy, kiedy trzeba udać się do lokalu wyborczego z dowodem tożsamości w ręku i zagłosować osobiście. Jeśli korzystamy ze sprzętu elektronicznego, jeśli oddajemy głosy korespondencyjnie, jeśli mamy możliwość głosowania bez okazania dowodu tożsamości, to wówczas takimi wyborami można manipulować.

Istnieje też międzynarodowa organizacja Progressive International, która w znacznym stopniu wspiera Forum São Paulo. Została założona przez fundację amerykańskiego senatora Berniego Sandersa. Wygląda więc na to, że amerykańscy demokraci są również zaangażowani w działania Forum São Paulo w Ameryce Łacińskiej zmierzające do przejęcia, jeśli można tak powiedzieć, władzy w krajach Ameryki Południowej i Środkowej?

Musimy zrozumieć, że Forum São Paulo było w oczach lewicy wielkim

sukcesem. Zarówno Europejczycy, jak i Amerykanie odwiedzali Amerykę Łacińską, szukając odpowiedzi na to, jak jedna organizacja polityczna mogła wygrać tak wiele wyborów w Ameryce Łacińskiej i sprawować władzę w tak wielu krajach. Zależało im więc na wyciągnięciu wniosków z tego doświadczenia. Jednak w tym wypadku nie było czego się uczyć, skoro czasami wygrywali wybory, które były sfałszowane. A czasami wygrywali, ponieważ Hugo Chávez nielegalnie finansował kampanie innych kandydatów w różnych krajach, co było oczywiście nielegalne.

Oszukiwali na wiele sposobów. Istnieją różne formy fałszerstw wyborczych, do których zalicza się m.in. pozyskiwanie pieniędzy z handlu narkotykami. Istnieje również wiele innych działań: manipulowanie mediami społecznościowymi, tworzenie fałszywych wyborców, którzy tak naprawdę nie istnieją, poprzez manipulacje listami wyborczymi.

Tak więc przedstawiciele Europy i Stanów Zjednoczonych odwiedzali Amerykę Łacińską, aby przyjrzeć się temu zjawisku, tej dziwnej sytuacji, w której lewica kontrolowała tak wiele krajów i eksportowała swoje metody. Doprowadziło to do powstania organizacji jeszcze większej niż Forum São Paulo, zwanej Grupo de Puebla. Nazwa Puebla pochodzi od miasta w Meksyku, w którym została ona utworzona. Różnica między Forum São Paulo a Grupo de Puebla polega na tym, że Forum São Paulo działa tylko w Ameryce Łacińskiej, podczas gdy Grupo de Puebla obejmuje nie tylko Amerykę Łacińską, lecz także Hiszpanię i Portugalię.

Kilka miesięcy później powstało Progressive International. To międzynarodowa organizacja, która działa na pięciu kontynentach i została rzeczywiście stworzona przez senatora z USA, senatora demokratów, Berniego Sandersa. W jej zarządach zasiadają członkowie Forum São Paulo, tacy jak Rafael Correa, były prezydent Ekwadoru; Gustavo Petro, obecny prezydent Kolumbii; oraz Mónica Valente, która jest sekretarzem generalnym Forum São Paulo. Mónica Valente jest Brazylijką. Współpracuje też z Lula w Partii Pracujących. Tak więc sekretarz generalny Forum São Paulo, które stało się organizacją przestępczą, zasiada

głosowania i elektronicznego systemu liczenia głosów. Pozwoliło mu to ukraść 2 mln głosów. I w ten sposób „wygrał” wybory, które w rzeczywistości przegrał.

Po tych wyborach opowiedział wszystkim przyjaciółom z Forum São Paulo o tym, jak wspaniale udało mu się dokonać zamachu stanu bez użycia broni, bez wystrzelenia choćby jednej kuli. Promował pomysł oszustwa wyborczego jako alternatywę dla użycia przemocy do przejęcia władzy. Jest to nowy, skuteczniejszy i bardziej współczesny sposób dokonywania zamachu stanu. I ten system, ta metoda fałszowania wyborów została wyeksportowana na cały świat, nie tylko do Ameryki Łacińskiej, lecz także do innych miejsc.

Na przykład których?

Firma, która dopuściła się tego oszustwa w 2004 r., działa obecnie na pięciu kontynentach. Ta sama firma zresztą została też w zeszłym roku oskarżona o fałszerstwo na Filipinach. Z kolei sam system – w tym wypadku nie firma, tylko system, który wykorzystano w Wenezueli – został

■ w zarządzie organizacji politycznej stworzonej przez Berniego Sandersa. Powiedziałbym, że Forum São Paulo jest swego rodzaju rakiem, guzem, który rozrósł się, rozprzestrzenił i przeniknął do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Miejmy nadzieję, że teraz, gdy Donald Trump został prezydentem Stanów Zjednoczonych, sytuacja ta ulegnie zmianie. Jestem przekonany, że tak się stanie.

Z jakim rodzajem socjalizmu mamy do czynienia w przypadku Forum São Paulo? Czy jest to tradycyjny rodzaj socjalizmu, który panował w Europie Wschodniej do lat 80.? Czy też jest to bardziej neomarksistowska postać socjalizmu, wraz z całą tą ideologią „woke”, którą mamy dziś w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Europie?

Jest to pewna mieszanka, ponieważ Forum São Paulo powstało 35 lat temu. Na początku, kiedy Fidel Castro tworzył Forum, był to stary typ komunizmu czy też socjalizmu. Ale od tamtego czasu ewoluował i połączył się z socjalizmem europejskim i amerykańskim. Forum São Paulo staje się coraz bardziej „woke”. Posłużę się kilkoma nazwiskami dla przykładu: Nicolás Maduro, Hugo Chávez i Fidel Castro reprezentowali, powiedzmy, ten stary socjalizm, stary komunizm, na wzór Związku Sowieckiego. Ale potem pojawili się nowi członkowie Forum São Paulo, tacy jak Gabriel Boric z Chile czy Gustavo Petro z Kolumbii. Oni są już całkowicie „woke”. Są zwolennikami ideologii gender, promują radykalny ekologizm, promują aborcję. Tak więc Forum São Paulo ewoluowało, aby stać się bardziej „nowoczesne”, skuteczne, i jest teraz bliższe nowemu marksizmowi.

Wspomnieliśmy o wyborach prezydenckich w USA. Ale co sądzisz o tym, co dzieje się w Europie? W Niemczech chcą zdelegalizować AfD. We Francji widzieliśmy, jak prezydent, który rzekomo jest centrystą, połączył siły ze skrajną lewicą, aby uniemożliwić prawicowej partii, która zdobyła większość głosów, uzyskanie większości w parlamencie. W Rumunii unieważniono wybory prezydenckie po pierwszej turze. W Polsce mamy teraz oficjalnie „demokrację walczącą”. Przykłady można mnożyć. Czy widzisz podobieństwa do tego, co wydarzyło się w Wenezueli i – szerzej – w Ameryce Łacińskiej?

Jak najbardziej. Otóż po upadku muru berlińskiego ruch marksistowski zrozumiał, że promowanie pełnego

komunizmu – czyli walki klasowej, zniesienia własności prywatnej, tego starego komunizmu – jest mało skuteczne. Marksieści postanowili zatem promować nową ideę wzorowaną na założycielu Włoskiej Partii Komunistycznej, Antoniu Gramscim. Jest on ideologiem nowej formy komunistycznej wojny, która nie opiera się na sile, ale na kontroli idei w dziedzinie kultury. Postanowili więc opanować uniwersytety, środki komunikacji i kulturę, aby zawładnąć światem idei, tak aby to ich idee podbiły świat. Ci marksieści – lub raczej neomarksieści – i ich idee były promowane w Ameryce Łacińskiej, Stanach Zjednoczonych, a także

Różnica między dzisiejszą partią centrową a lewicową tkwi tylko w podejściu do ekonomii

w Europie. Tak więc partie, które wcześniej uważano, powiedzmy, za centrowe lub centroprawicowe, wskutek tej wojny kulturowej przesunęły się bardziej na lewo. Różnica między dzisiejszą partią centrową a lewicową tkwi tylko w podejściu do ekonomii, ale kulturowo promują one te same rzeczy: ideologię gender, nielegalną imigrację, zieloną katastrofę itp., itd. A ludzi, którzy należą do partii prawicowych, zwykle nazywają skrajną lub radykalną prawicą. Chcą kontrolować media, chcą kontrolować wymiar sprawiedliwości i stają się w coraz większym stopniu dyktaturami.

Dokładnie to samo stało się w Ameryce Łacińskiej. Po kilku latach spędzonych w Europie obawiam się, że wiele metod stosowanych przez Forum São Paulo jest wdrażanych również w Europie.

Oczywiście nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ Forum São Paulo rozpoczęło swoją ekspansję w Europie. Przytoczę kilka przykładów. Partia Podemos w Hiszpanii została stworzona przez Forum São Paulo, założona i sfinansowana przez Wenezuelczyka Hugona Cháveza, a także przez Evo Moralesa z Boliwii i Ra-

faela Correeę z Ekwadoru. Włoska partia Cinque Stelle była z kolei finansowana przez rząd wenezuelski. W Polsce nie wiem, czy istnieje jakaś partia finansowana przez władze Wenezueli, ale teraz stało się to już pewną praktyką. Forum São Paulo wykorzystuje swoje brudne pieniądze – mówię brudne, ponieważ czasami pochodzą one z działalności przestępczej – do finansowania partii na całym świecie. Nie tylko przekazują na to pieniądze, lecz także eksportują swoją ideologię.

Dlatego chciałbym ostrzec Europejczyków, aby byli bardzo, bardzo świadomi tego niebezpieczeństwa, ponieważ uważam, że Europa musi, moim skromnym zdaniem – jako obcokrajowca mieszkającego w Europie – bronić swoich chrześcijańskich wartości przed tą nową marksistowską ideologią, która próbuje zniszczyć chrześcijańską cywilizację. Antonio Gramsci twierdził, że niemożliwe jest pokonanie kapitalizmu przez komunizm bez zniszczenia wiary katolickiej. A neokomunizm czy neomarksizm, aby odnieść zwycięstwo, opierają się właśnie na zniszczeniu wiary i kultury chrześcijańskiej.

Opowiadałeś, że zostałeś uwięziony przez Hugona Cháveza nie za krytykowanie jego, ale za zwrócenie uwagi na Forum São Paulo.

Tak, to prawda. Kandydowałem w tych samych wyborach prezydenckich co Hugo Chávez i mówiłem o nim mnóstwo rzeczy, z których wszystkie zresztą były prawdą, ale on się tym nie przejmował. Zaczął się martwić, dopiero gdy zacząłem podróżować po całej Ameryce Łacińskiej i opowiadać o tym, czym jest Forum São Paulo. Wtedy polecił kontrolowanemu przez siebie wymiarowi sprawiedliwości wsadzić mnie do więzienia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Olivier Bault jest dyrektorem komunikacji Instytutu Ordo Iuris.



Alejandro Peña Esclusa
współpracuje jako senior fellow z węgierskim Centrum Praw Podstawowych. Jest autorem wielu publikacji opublikowanych w kilku językach (ale niestety nie w języku polskim) o Forum São Paulo i innych lewicowych organizacjach działających głównie w Ameryce Łacińskiej.



UWAGA NA SZEKSPIRA

Władze University of The West of England w Bristolu zamieściły ostrzeżenia przed treściami w twórczości Szekspira, które uważają za drażliwe. Według rzecznika tej uczelni to wyjście naprzeciw prośbom jej studentów. Utworom Szekspira – zarówno tragediom, jak i komediom – zarzucają oni, że zawarte są w nich takie wątki jak morderstwo, samobójstwo, traumy rodzinne, złe traktowanie kobiet, katastrofy.

FOT. ADRIAN STOK

PIWNA PRZYGODA

Pracownik japońskiego ministerstwa finansów zgubił ważne dokumenty. Zawierały one dane osobowe 187 ludzi podejrzanych o przemyt narkotyków. Niefortunna przygoda przytrafiła się urzędnikowi w trakcie wyjścia na wieczorne spotkanie z kolegami z pracy. Lokalne media podają, że miał on w ciągu pięciu godzin wypić dziewięć szklanek piwa. O zgubie torby z ważną zawartością zorientował się dopiero, gdy wracał do domu.

IRYTOWALI PACJENTÓW?

Dwoje pracowników szpitala w Meksyku ma kłopoty. Ich zachowanie zostało nagrane przez zniecierpliwionych pacjentów stojących w kolejce do rejestracji. Z tego, co pokazuje wideo, można wysnuć wniosek (choć pewności nie ma), że kobieta i mężczyzna, stojący w pewnym oddaleniu od kolejki, w dodatku za okienkiem, namiętnie się całowali. Agenda państwowa, której podlega szpital, poinformowała, że oboje zostaną wezwani na przesłuchanie dyscyplinarne w tej sprawie.

MAŁPA I PRĄD

Na Sri Lance doszło do ogólnokrajowej przerwy w dostawie prądu. Winowajcą blackoutu okazała się... małpa, która włamała się do elektrowni w stolicy państwa – Kolombo. Jak twierdzi minister energii Sri Lanki Kumara Jayakody, zwierzę miało kontakt z transformatorem sieciowym. Wydarzenie wywołało złośliwe reakcje w mediach społecznościowych. Incydent z małpą stał się pretekstem do ataków na władze wyspiarskiego państwa.

OPODATKOWAĆ MĘŻÓW

Żonaci mężczyźni powinni płacić specjalny podatek – uważa 25-letnia brazylijska influencerka, której specjalnością jest fitness. Popularność w Internecie zdobyła dbałością o swoją urodę, co prezentują zdjęcia kobiety na jej instagramowym koncie. Według niej z mężów trzeba ściągać daninę, która będzie przeznaczana na zabiegi upiększające ich żony. ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump w obronie wiary

Wprawdzie nie wiadomo, czy cudownie ocalony podczas próby zamachu Donald Trump rzeczywiście się nawrócił. Wiadomo jednak, że nie poprzestał na tym, że na wiceprezidenta wybrał J.D. Vance'a, który publicznie mówi o nawróceniu na katolicyzm.

Wiadomo również, że 78-letni dzień inauguracji zaczął od mszy. Za Trumpa modlił się publicznie podczas inauguracji arcybiskup Nowego Jorku, kard. Timothy Dolan. Podczas uroczystości w Kapitolu 47. prezydent USA złożył zaś przysięgę na dwóch Bibliach jednocześnie.

Dlaczego dwóch? Otóż wybierając Biblię Lincolna, oddał hołd pierwszemu republikańskiemu prezydentowi USA, druga Biblia jest zaś własnością Trumpa, подарowaną mu przez jego matkę w roku 1955. W ten sposób polityk, który dotąd nie kojarzył się akurat z pobożnym stylem życia, pokazał, że Chrystus w jego domu obecny był od dawna.

Jako prezydent uniewinnił 23 obrońców życia skazanych za modlitwę przed placówkami aborcyjnymi. Wprowadził też zakaz finansowania zagranicznych grup aborcyjnych. Przemawiając podczas Narodowego

Śniadania Modlitewnego w Kapitolu, przywódca USA oznajmił, że dwa nieudane zamachy na życie „zmieniły jego podejście do religii”. – Przywróćmy Boga do naszego życia! – apelował do Amerykanów, przekonując, że bez wiary nie da się być szczęśliwym.

Prezzydent podjął też formalne kroki w celu „wykorzenia wszelkich form antychrześcijańskich ataków oraz dyskryminacji” w administracji federalnej, w tym resorcie sprawiedliwości, urzędach skarbowych, FBI etc. I powołał już w tej sprawie specjalną grupę zadaniową. Wreszcie... ©



Tysiące Rumunów wyszły na ulicę, by zaprotestować przeciwko unieważnieniu wyborów FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Scenariusz rumuński



Krystian Kratiuk

Wraz ze zbliżającymi się wyborami prezydenckimi nadciąga także fundamentalne pytanie: Czy prezydentem Polski w 2025 r. aby na pewno będzie mógł zostać kandydat, który otrzyma najwięcej głosów wyborców? Zarówno sytuacja prawno-ustrojowa w Polsce, jak i najnowsze doświadczenia Rumunii każą poważnie się nad tym zastanowić

Przypomnijmy – rumuńskie wybory zostały unieważnione dwa dni przed drugą turą ze względu na „nieuczciwą kampanię prowadzoną przez Călina Georgescu”. Tamtejszy Sąd Najwyższy skłoniły do takiej decyzji raporty służb specjalnych, według których kraj stał się celem „agresywnej rosyjskiej operacji hybrydowej”. Wejście Georgescu do drugiej tury miało być efektem „poważnych naruszeń prawa przy skoordynowanym wsparciu podmiotu państwowego”.

Z dokumentów ujawnionych przez byłego ministra cyfryzacji w rządzie PiS posła Janusza Cieszyńskiego (a są to odpowiedzi od TikToka wysłane do Komisji Europejskiej) wynika, że TikTok po wyborach zidentyfikował kanał na Telegramie obserwowany przez 3,8 tys. osób, na którym opublikowano prawie 2 tys. materiałów kampanijnych Călina Georgescu do podawania dalej. TikTok wyjaśnił, że hashtag kampanijny Georgescu, do którego używania zachęcano, pojawił się tylko na 1183 kontach (w Rumunii jest ok. 10 mln użytkowników TikToka), z czego zaledwie 157 zostało zarejestrowanych po utworzeniu kanału na Telegramie. Siedemdziesiąt sześć z tych kont zidentyfikowano jako utworzone jako stricte pro-Georgescu.

Dalej – ujawnił poseł PiS – w odpowiedzi na sygnał o tym, że użytkownicy są nakłaniany do postowania konkretnych emoji połączonych z nazwiskiem Georgescu, znaleziono... 83 takie konta, które łącznie zamieściły 2912 komentarzy. Ledwie 25 z tych kont zidentyfikowano jako utworzone jako stricte pro-Georgescu. TikTok w ramach własnej polityki usunął kilkaset filmików, które według polityki platformy stanowiły dezinformację – chodzi o treści sugerujące, że w przypadku porażki Georgescu jego zwolennicy zaczną protestować, oraz sugerujące fałszerstwa wyborcze.

Co bardzo istotne, z dokumentu KE wynika też, że użytkownik o nicku Bogpr (TikTok ustalił na podstawie danych z weryfikacji, że był to niejaki Bogdan Peschir – został on zatrzymany w Rumunii) przekazał łącznie 381 tys. dol. 131 influencerom. To niemała kwota, ale spośród owych 131 właścicieli kont (przypomnijmy: na 10 mln użytkowników rumuńskiego TikToka) swoje zdjęcie profilowe na fotografii Georgescu zmieniło... osiem osób, na logo partii AUR... jedna osoba, a w ogóle komentarze dotyczące Georgescu zamieściło... 25 z nich.

Przyznają państwo, że nie są to piorunujące liczby, choć należy podkreślić, że – jak zaznaczył Cieszyński – przekazywanie w ten sposób pieniędzy może być uznane za niezgodne z rumuńskim prawem dotyczącym finansowania kampanii wyborczych (nawet jeśli kwota, o której mowa, to ok. 1,5 proc. dopuszczalnych wydatków kandydata).

WINNY TYLKO TIKTOK

Jeśli ufać tym danym przekazanym Komisji Europejskiej przez TikToka, to wiadać przede wszystkim, że nie ma żadnych dowodów wskazujących na to, że za akcją poparcia dla tego kandydata stała Rosja jako państwo. A i sama akcja także nie była szczególnie udana, wszak polscy specjaliści od kampanii najmniejszych nawet

partii czy kandydatów o nikłym poparciu potrafią za znacznie mniejsze pieniądze wytworzyć większy ruch, i to nie na jednej platformie, ale na wielu.

To w ogóle interesujący wątek, dlaczego „ruscy agenci” mieliby chcieć promować odpowiadającego im kandydata wyłącznie na jednej z platform społeczno-sciowych. Przecież Facebooka używa tam 13 mln ludzi, a prawie 6 mln osób posiada konta na Instagramie. Trzyście milionów Rumunów korzysta też z YouTube. I często są to osoby z innej grupy wiekowej niż użytkownicy TikToka, a więc można by trafić do szerszego grona wyborców. Według Cieszyńskiego „wygląda na to, że ktoś przy okazji chce upiec drugą pieczęć i zrobić w temat TikToka”.

Co ciekawe, również pod koniec stycznia swoje krytyczne stanowisko w tej sprawie wydała Komisja Wenecka, przypominając w 20-stronicowym raporcie, że unieważnienie wyborów jest krokiem ostatecznym i może mieć miejsce wyłącznie w ściśle określonych okolicznościach. Jakich? Otóż takich, które explicite wskazane byłyby w odpowiedniej ustawie. Autorzy dokumentu dodali, że decyzja o unieważnieniu wyborów musi zawierać dokładnie wyjaśnienie naruszeń oraz dowody takowych i nie może opierać się li tylko na doniesieniach wywiadu.

A przecież właśnie wyłącznie na nich oparli się sędziowie w Rumunii.

BUKARESzt W WARSZAWIE?

Jak się ma to wszystko do sytuacji w Polsce? Otóż widmo „ruskiej agentury” pozostaje w Polsce straszakiem od bardzo dawna, a argument o „prorosyjskości” polityka ma być tym ostatecznie ukatrupiającym delikwenta. Na tej kanwie (a także, czego nie sposób oczywiście wykluczyć, być może na realnych przesłankach nieprzyjaznego przecież Polsce państwa Putina) wicepremier i szef resortu cyfryzacji Krzysztof Gawkowski wraz z szefem MSWiA Tomaszem Siemoniakiem poinformowali, że w Polsce już „mamy do czynienia z atakami, które mają zdestabilizować sytuację wyborczą”. Wicepremier stwierdził, że akcja jest „jasno adresowana” i stoją za nią „rosyjskie służby specjalne, i te cywilne, i te wojskowe, które z pewną premedytacją, ale również z planami operacyjnymi chciały i mają zamiar wpływać na polską kampa-

nię prezydencką”. Gawkowski dodał, że polskie służby pozyskują także informacje o tym, że strona rosyjska szuka w Polsce osób, które by na kampanię wyborczą chciały wpływać z wewnątrz. Ministrowie przedstawili przy tym założenia programu ochrony wyborów pod nazwą „Parasol Wyborczy”, który został wdrożony w reakcji na wykrycie „obcych ataków”.

Takie działania są jak najbardziej pożądane – obce służby, zarówno te rosyjskie, jak i zapewne z innych państw – mogą chcieć wpływać na wybory w Polsce czy w Rumunii.

Ale czy trudno sobie wyobrazić sytuację, w której wybory nad Wisłą zostaną anulowane, ponieważ z raportu służb specjalnych wyniknie, że na tysiącu kont na TikToku ktoś na czyjeś polecenie czy sugestię zmienił zdjęcie profilowe? Albo 25 osób zamieściło zdjęcie któregoś z polskich polityków. Użytkowników TikToka w Polsce jest ponad 13 mln! W samym sztabie wyborczym niejednej partii czy kandydata może być więcej wolontariuszy niż tysięcy. A założenie konta na portalu społecznościowym trwa przecież... dwie minuty.

Czy nie wyobrażają sobie państwo sytuacji, w której ktoś, kto chce, aby takie konta powstały – wszak wszyscy wiemy o istnieniu farm trolli po każdej ze stron polskiego sporu politycznego – płaci za to przelewem przez system któregoś z portali społecznościowych, a jednocześnie posiada konto na Telegramie? Uświadommy sobie, jak niewiele wysiłku potrzeba, by partia X, nie mając pewności, czy jej kandydat wygra wybory, przygotowała taki sojusz „kont wspierających” kandydata partii Y.

A co, jeśli taka partia posiada jeszcze władzę nad aparatem państwowym? W dodatku aparatem tak mało profesjonalnym, że w raporcie komisji badającej „rosyjskie wpływy” umieszcza z marszu wszystkie prawicowe media i wszystkie tematy podejmowane na całym świecie przez pravicę, nie podając ani jednego dowodu na to, że którekolwiek z tych mediów miało kiedykolwiek jakikolwiek związek z kimkolwiek z Rosji?

Tak jak w Rumunii – po co komu dowody. I tak jak w Rumunii, takie decyzje mogą spowodować olbrzymi paraliż konstytucyjny państwa. W Bukareszcie bowiem nie wybrano nowego prezydenta. Kadencja poprzedniego, Klausa Iohannisa, się zakończyła, ten jednak pozostał na sta-

nowisku, nie chcąc robić wakatu i deliktu konstytucyjnego, w związku z czym część parlamentarzystów zaczęła domagać się jego impeachmentu. W końcu 10 lutego podał się do dymisji, by – jak twierdzi – nie pogłębiać kryzysu. A wszystko to przez konta na TikToku...

NEOSĄD, NEOPREZYDENT, NEOZAMACH

Scenariusz rumuński zastosowany do wyborów w Polsce wydaje się zatem, niestety, jak najbardziej realny. Tym bardziej w sytuacji, w której w polskim systemie prawnym, ba, ustrojowym, istnieje totalny bałagan – politycy jednej opcji nielegalnie przejmują media, a rząd nie uznaje istnienia Trybunału Konstytucyjnego, politycy drugiej opcji nie uznają zaś sejmowych komisji, natomiast szef trybunału ogłasza zamach stanu przeprowadzony przez grającego akurat w tym czasie w ping-ponga szefa rządu, jedna strona uważa, że prokuratorem generalnym jest dana osoba, a druga strona uważa, że jest nim ktoś zupełnie inny. Polacy już dawno przestali orientować się w tym, kto jest „neosem”, a kto w ogóle nie jest sędzią, który organ według kogo nie jest sądem oraz co właściwie z pieniędzmi PiS postanowiła zrobić PKW. A tym bardziej nie zorientują się w tym politycy i inni obserwatorzy z zagranicy.

I to stwarza doskonałą okazję do tego, by uznawany przez partię rządzącą organ ogłosił – w przypadku braku wyraźnej przewagi jej kandydata – że wybory trzeba anulować i powtórzyć.

Wtedy trudno wykluczyć sytuację, w której w skrajnie spolaryzowanym przecież kraju dochodzi do rozruchów społecznych i by sytuacji bałaganu w państwie nie chciała wyjaśnić „ulica”. Warto zauważyć, że taki scenariusz na łamach „Gazety Wyborczej” wieszczył niedawno Klaus Bachmann, tyle że on sugerował oczywiście, że to prezydent Andrzej Duda może nie opuścić Pałacu Prezydenckiego, bo nie uzna wyboru Trzaskowskiego na swego następcę.

Ale nawet Bachmann dostrzegł oczywiście, według której w takich sporach zawsze ostatecznie wygra strona posiadająca władzę nad aparatem przemocy, a więc policją, wojskiem i innymi służbami...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

Celna gra Trumpa



Jacek Przybylski

To jest ważna rzecz – sprawiać, że Ameryka znów stanie się bogata – oznajmił Donald Trump, podpisując dokumenty nakładające nowe cła. Na celowniku znalazły się nie tylko Kanada i Meksyk, lecz także UE. Jakie skutki zaostrenie wojny celnej może mieć dla polskiej gospodarki?

Jak obiecał, tak zrobił. Amerykański prezydent Donald Trump podpisał w ubiegłym tygodniu rozporządzenie o przywróceniu cła na importowaną przez Stany Zjednoczone stal i aluminium. Pierwszy raz Trump wprowadził

je w roku 2018, podczas swej pierwszej kadencji. Wynosiły one wówczas 10 proc. Wkrótce stawka zostanie podwyższona aż do 25 proc.

Tym razem rozporządzenie nie przewiduje też żadnych wyjątków. To

zaś oznacza, że swoją decyzją nowy gospodarz Białego Domu uderza nie tylko w Kanadę (w ubiegłym roku wyeksportowała 6,5 mln ton stali) czy Brazylię (4,5 mln ton), lecz także w Japonię, Wielką Brytanię oraz gospodarki krajów Unii Europejskiej (łącznie unijne państwa wyeksportowały 4,3 mln ton, z czego większość pochodzi z Niemiec, Holandii i Rumunii). Cła na aluminium znów najbardziej odczują przedsiębiorstwa z Kanady, a także ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich oraz Grecji, Niemiec oraz Austrii. To cios tym poważniejszy, że wysokie koszty stałe sprawiają, iż unijny przemysł stalowy kurczy się w zastraszającym tempie.



FOT. ADOBE STOCK

polskie firmy mogą potencjalnie zyskać na globalnym zamieszaniu na rynku.

UNIJNY ODWET

Cła na stal i aluminium mają zacząć obowiązywać od 12 marca. Spodziewać by się można, że wyjątkowo hojnie opłacani eurokraci w Brukseli, a także polscy urzędnicy sprawujący w tym półroczu prezydencję w UE, idąc w ślady choćby władz Kanady, błyskawicznie przypomnieli Amerykanom, że w wojnie handlowej ofiary są zawsze po obu stronach. Wprowadzenie cła na stal i aluminium podczas pierwszej kadencji Trumpa doprowadziło do zmniejszenia amerykańskiego PKB, negatywnie wpłynęło również na rynek pracy. Tak może być również tym razem. Analitycy banku inwestycyjnego Goldman Sachs prognozują także, że nałożenie cła na stal i aluminium doprowadzi do wzrostu cen tych surowców w Stanach Zjednoczonych.

Oczywiście taryfy celne mogą wpędzić Unię Europejską w długotrwałą recesję i utrudnić nadganie straconej szansy wynikającej z rewolucji technologicznej lat 90. (podczas gdy w USA rozkwiły tak wielkie korporacje jak Adobe, Amazon, AMD, Alphabet, Apple, Meta Platforms, IBM, Mastercard, Microsoft, NVIDIA czy Visa, unijni decydenci zajmowali się tęczowymi ideologiami, zabijaniem własnych przedsiębiorstw poprzez kosztowną politykę klimatyczną oraz otwieraniem drzwi do Europy milionom nielegalnych imigrantów, którzy wcale nie zwiększają produktywności, a znacząco obciążają systemy fiskalne, przez co kraje UE charakteryzują się znacznie wyższymi podatkami).

Europejczyści nadal mają odpowiednie instrumenty, aby uderzyć tak, by zarówno Amerykańscy konsumenci, jak i amerykańscy przedsiębiorcy bardzo boleśnie odczuli skutki wojny handlowej. Czas i skala reakcji Unii Europejskiej na decyzje prezydenta Donalda Trumpa w obrazowy sposób pokazują różnice między sprawczością obecnej administracji w Waszyngtonie a wielką niemocą biurokratów w Brukseli. Chociaż nowy gospodarz w Białym Domu o planie wprowadzenia cła na towary z Unii Europejskiej mówił od miesiąca (zarówno podczas kampanii wyborczej, jak i już po wygranych w listopadzie wyborach), to kilka dni po ogłoszeniu cła na stal i aluminium wciąż próżno było szukać in-

formacji, jaka konkretnie ma być wspólna odpowiedź UE na amerykańską decyzję.

Było za to bardzo dużo tradycyjnego unijnego pustostłowania. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen wydała oświadczenie, w którym wyraziła głębokie ubolewanie z powodu decyzji Stanów Zjednoczonych i zapowiedziała, że „UE będzie działała w celu zabezpieczenia swoich interesów gospodarczych”. „Będziemy chronić naszych pracowników, przedsiębiorstwa i konsumentów” – zapowiedziała ta sama von der Leyen, która nadal podtrzymuje zabójcze dla europejskich przedsiębiorstw plany ogromnej redukcji emisji CO₂.

Premier Donald Tusk ogłosił zaś, że przygotujemy odpowiednią odpowiedź. – Dla mnie jest też ważne – i dla nas wszystkich – żeby Unia Europejska zachowała się tutaj solidarnie. Znaczący jakkolwiek to będzie kierunek – a musi być, tak jak powiedziałem, wyważony – to też ważne, żeby się wszyscy trzymali razem. Trudne czasy wymagają takiej pełnej solidarności” – oznajmił szef rządu w Warszawie.

W ubiegłą środę odbyła się również nieformalna wideokonferencja unijnych ministrów do spraw handlu zwołana przez polską prezydencję. Wziętą w niej udział także komisarz Maroš Šefčovič, odpowiedzialny za handel i bezpieczeństwo gospodarcze. „Dzisiejsze spotkanie pokazało, że państwa członkowskie są solidarne i zdeterminowane, by chronić europejski sektor stali i aluminium przed ewentualną destabilizacją rynku. I choć partnerstwo UE i USA ma strategiczne znaczenie, to Polska będzie wspierać Komisję Europejską, aby była aktywna w takich przypadkach i aby proporcjonalnie oraz odpowiedzialnie reagowała w razie potrzeby. Jednocześnie chcemy podtrzymać ofertę pozytywnej współpracy z USA – tak, by wspólnie usuwać bariery na rynku transatlantyckim czy dbać o bezpieczeństwo ekonomiczne” – oznajmił minister Paszyk. Konkrety? Próżno ich szukać w rządowym komunikacie.

Na szczęście o konkretach poinformował „Financial Times”. Według brytyjskiego dziennika członkowskie UE gotowe są do szybkiego wprowadzenia opłat w wysokości do 50 proc. na wartość 4,8 mld euro towarów ze Stanów Zjednoczonych, wśród których są np. legendarne motocykle

Na szczęście i tym razem cios zadany przez Stany Zjednoczone w wojnie handlowej niemal ominie Polskę, ponieważ zarówno w przypadku stali, jak i aluminium Polska więcej importuje, niż eksportuje.

Jak zauważyli analitycy Polskiego Instytutu Ekonomicznego, wartość eksportu stali i aluminium z Polski do USA w 2023 r. wyniosła 207 mln euro, co stanowiło niespełna 2 proc. eksportu do tego rynku i zaledwie 0,07 proc. łącznego eksportu Polski. Po wprowadzeniu barier celnych za pierwszej kadencji Trumpa polski eksport na rynek amerykański systematycznie rósł. Nie jest więc wykluczone, że również tym razem

■ Harley-Davidson, łodzie motorowe, niektóre rodzaje stali i aluminium, a także amerykańska whiskey, czyli popularny bourbon.

NIERÓWNE POLE KONKURENCJI?

Do amerykańsko-unijnego sporu celnego odniósł się też w ubiegłym tygodniu szef polskiej dyplomacji. – Sprawa jest bardzo poważna, bo mam wrażenie, a wręcz wiedzę, że w Stanach Zjednoczonych nie wszyscy rozumieją, na czym Unia Europejska polega, zresztą w Polsce też – mówił Radosław Sikorski w rozmowie w studiu Polsat News, zaznaczając, że fakt, iż Unia Europejska to jednolity rynek, stanowi wielki atut dla amerykańskich firm, „które naturalnie operują na kontynentalną skalę”.

Na słowa szefa polskiego MSZ szybko zareagował na X nowy ambasador USA w Polsce, Thomas Rose. Jak przystało na doświadczonego gracza w sprawach międzynarodowych, Rose nie szczędził pochwał dla „wielkiego polskiego patrioty” i „jednego z najbardziej doświadczonych mężów stanu na europejskiej scenie” (Amerykanie od dekad wiedzą, że polscy – i nie tylko polscy – politycy uwielbiają słuchać podobnych komplementów i za słowa, które absolutnie nic nie kosztują, są w stanie oddawać bardzo wymierne przysługi). Po wygłoszeniu pięknych komplementów Thomas Rose zaznaczył więc ironicznie, że choć i on „należy do tych Amerykanów, którzy mają wiele do nauczenia się”, to „jedną rzeczą, którą prezydent Trump i naród amerykański rozumieją, jest to, że Stany Zjednoczone nie cieszą się uczciwymi i sprawiedliwymi relacjami handlowymi, na jakie zasługujemy”. Swoją wpis nowy ambasador ostatecznie jednak usunął. Człowiek Trumpa w Warszawie ocenił, że spory dotyczą nie tylko „niesprawiedliwego systemu celnego”, lecz także m.in. barier pozataryfowych (np. asymetria VAT), barier regulacyjnych, stronniczości w zamówieniach publicznych czy „protekcjonizmu cyfrowego”. I zauważył, że zarówno UE, jak i USA na pierwszym miejscu stawiają swoje własne interesy.

Ze słów nowego amerykańskiego prezydenta wynika zaś, że cła na stal i aluminium to dopiero początek, a Unia Europejska powinna się spodziewać kolejnych decyzji tego typu. Bardzo prawdopodobne jest nałożenie w najbliższych tygodniach

Wciąż nie wiadomo, czy cła Trumpa to tylko taktyka negocjacyjna czy dojdzie do eskalacji wojny handlowej

przez Donalda Trumpa cła na miedź. Nowe opłaty mogą być również nałożone na importowane leki, półprzewodniki czy samochody. Władze w Waszyngtonie zapewne początkowo po prostu podwyższą cła na import do takiej wysokości, aby wyrównać stawki. Dla przykładu: amerykańskie cła na samochody wyprodukowane w Unii Europejskiej wynoszą obecnie 2,5 proc., tymczasem amerykańskie auta obłożone są taryfą w wysokości 10 proc. A do tego – na co często narzekają urzędnicy administracji Trumpa i o czym wspomnieli również jego ambasador w Polsce – na auta nakładany jest również podatek VAT, który wynosi mniej więcej 20 proc. W ten sposób całkowity koszt danin w oczach Amerykanów rośnie do 30 proc.

ZAGROŻONY SEKTOR AUTOMOTIVE

Planowane przez Donalda Trumpa podwyżki ceł mogą bardzo mocno uderzyć w niemiecki przemysł motoryzacyjny. Podwyższenie ceł byłoby kolejnym poważnym ciosem np. dla Porsche – dla tej niemieckiej marki Stany Zjednoczone to bowiem kluczowy rynek, a legendarna marka cierpi już z powodu coraz groźniejszej chińskiej konkurencji (w 2024 r. Porsche sprzedało do Chin o niemal jedną trzecią aut mniej niż rok wcześniej). Za pomocą wyższych ceł Trump może też wyhamować eksport BMW.

Niewykluczone także, że jeśli Biały Dom podniesie stawkę celną do poziomu ponad 10 proc, to w takiej sytuacji producenci europejskich aut mogą zostać zmuszeni do przeniesienia części produkcji na teren USA. Taki ruch byłby pośrednio ciosem w polską gospodarkę, która jest częścią unijnego łańcucha dostaw. Jak zauważył w najnowszym raporcie Polski Instytut Ekonomiczny (PIE), potencjalne cła na sektor motoryzacyjny w Stanach Zjednoczonych miałyby więc większy wpływ na naszą gospodarkę niż wprowadzone już bariery na stal i aluminium.

Analitycy Banku Pekao już w wydanym w styczniu raporcie „Inwestycyjny boom w czasach wojen handlowych. Prognozy na lata 2025–2026” prognozowali, że nowy prezydent „będzie nakładał wysokie cła szeroko”, ale wojna handlowa najmocniej dotknie Chiny. Zauważyli także, że rynki finansowe zakładają, iż polityka celna Donalda Trumpa będzie wystarczająco agresywna, aby zachęcić firmy do otwierania fabryk w Stanach Zjednoczonych, ale jednocześnie nie na tyle agresywna, aby doprowadzić do zamknięcia zagranicznych rynków dla amerykańskich producentów. W ocenie ekonomistów Pekao ten scenariusz wyglądał na „zbyt piękny, aby był prawdziwy”. Europa poniesie więc mniejsze straty (ok. 0,4 proc. PKB), ale zamortyzuje je cięciem stóp procentowych. Polska zaś – według ekonomistów banku – nie odczuje dużego wpływu amerykańskich ceł. „Niewielka skala eksportu do USA sprawia, że jakikolwiek wpływ ceł (zwłaszcza po korekcie o kurs) będzie zaniedbywalny” – napisali. W lutowym komunikacie opisali zaś dwa scenariusze. Pierwszy – „to głównie gra” – zakładał, że Trump będzie używał ceł jako narzędzia negocjacji. Drugi zaś zakładał, że dojdzie do mocniejszej eskalacji. Tak czy owak zdaniem analityków Pekao „wojny handlowe będą wystarczające, by wyhamować globalny wzrost w tym roku”.

Jak zauważają ekonomiści PIE zaostrezenie wojny handlowej po wprowadzeniu przez UE ceł odwetowych mogłoby sprawić, że wysokimi cłami zostaną objęte kolejne sektory europejskiej gospodarki: od rolnictwa do przemysłu ciężkiego.

Wydaje się, że niezależnie od scenariusza Polska powinna uciepieć mniej niż inne kraje UE. Po pierwszych 11 miesiącach ubiegłego roku nasz kraj – w przeciwieństwie do największych państw UE – nie miał nadwyżki handlowej z USA. Według danych GUS wartość polskiego eksportu do USA od stycznia do listopada 2024 r. wyniosła 45,8 mld zł, a wartość importu w tym samym czasie wynosiła aż 69,4 mld zł. Wśród analityków nie brakuje nawet opinii, że polska gospodarka na potencjalnej wojnie handlowej może nie tylko stracić istotnie mniej niż inne kraje świata i Europy, lecz także – jeśli nasi rządzący mądrze rozegrają tę globalną partię szachów – pozycja Polski może się umocnić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Tusk zaczyna wygaszanie

Jest już znana data wygaszenia pierwszej polskiej elektrowni na węgiel. Jej ujawnienie wywołało wybuch radości u wszystkich miłośników Zielonego Ładu, którzy pewnie już zaczęli planować cykl uroczystości, które temu będą towarzyszyć. A że wygaszanie elektrowni ma się zacząć od wygaszenia elektrowni nie byle jakiej, bo wprost gigantycznej, to i owe uroczystości powinny mieć – ich zdaniem – rozmach.

Oto bowiem w 2030 r., a więc już za pięć lat, ruszy – od lat szykowany przez PO-PiS, i to ręka w rękę – proces zamykania na cztery spusty elektrowni na węgiel brunatny w Bełchatowie. Elektrowni, która dostarcza nam, Polakom, aż 20 proc. – aż jedną piątą! – całego zużywanego przez nas prądu. Elektrownia będzie wygaszana blok po bloku przez pięć lat, a więc już w 2035 r. – za 10 lat – zostanie zamknięta całkowicie i nieodwołalnie, a my – Polacy – znajdziemy się bez dostarczanej przez nią energii. Bez energii dostarczanej przez nią – trzeba dodać – o każdej porze dnia i nocy, bez względu na to, czy słońce świeci czy nie (co jest warunkiem dostarczania prądu przez panele fotowoltaiczne) i bez względu na to, czy wiatr wieje czy nie (co z kolei jest warunkiem dostarczania prądu przez wiatraki).

A że do tego czasu na pewno nie zostanie ukończona budowa nawet pierwszej polskiej elektrowni atomowej, bo na 2033 r. planowane jest

oddanie do użytku ledwie pierwszego bloku pierwszej „atomówki”, to bez prądu z elektrowni węglowej w Bełchatowie może nam go po prostu zabraknąć. Tym bardziej że pierwsza „atomówka” ma w sumie dostarczać zaledwie ok. 10 proc. potrzebnego nam prądu. A na pewno przy choćby tylko teoretycznym istnieniu takiego zagrożenia jego ceny będą u nas nadal – tak jak dziś – najwyższe na świecie.

Co gorsza, ogłoszenie terminu wygaszenia elektrowni w Bełchatowie, otwierające drogę do podania terminów wygaszenia pozostałych, jasno dowodzi, że polscy politycy naprawdę chcą je wszystkie (elektrownie i kopalnie) – bo tak nakazuje im Bruksela – powygasać i pozamykać jedną po drugiej. A w takim razie z całą pewnością już dziś się w te elektrownie i kopalnie nie inwestuje i już dziś się ich nie tylko nie modernizuje, lecz także niewiele robi, żeby utrzymać je w ruchu. A to oznacza, że każda z nich w każdej chwili może „paść”, czyli zostać unieruchomiona z powodu jakiejś awarii i przestać dostarczać nam prąd, czyniąc już pewnym utrzymanie się u nas najwyższych jego cen na świecie, a zatem i utrwalenie niskiej konkurencyjności naszej gospodarki.

Czyż wszystko to razem nie wygląda na plan wygaszenia nie tylko naszych elektrowni na węgiel i kopalni węgla, lecz także całej polskiej gospodarki? Plan sygnowany przez PO-PiS? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Logika wariata

Potwierdzenie przez Komisję Europejską, że nadal zamierza ona realizować cel redukcji emisji CO₂ o 90 proc. do 2040 r., nie powinno być dla nikogo zaskoczeniem. Tak, to kompletne wariactwo wobec sytuacji gospodarczej UE, poczynając od administracji Donalda Trumpa i rosnącego sprzeciwu wobec klimatycznego radykalizmu nawet w europejskim mainstreamu. No i co w związku z tym? Nic.

Komisja Europejska działa dzisiaj jak szaleni, któremu zdaje się, że jest, dajmy na to, Hannibalem i mamy III w. p.n.e. Przychodzi lekarz i powiada: „Musi pan zrozumieć, że nie jest pan kartagińskim wodzem i że mamy XXI w. Proszę zobaczyć – nie ma tu żadnych Rzymian, nikt nie jeździ na słońcach, za oknem wieżowce, ja tu mam telefon komórkowy, a pan jest moim pacjentem. Zgadza się?”. Pacjent na to: „Oczywiście, panie doktorze”. A w myśli dodaje: „Czyli ten też jest w spisku. Niech no tylko wróć do swoich żołnierzy, zaraz każę go rozerwać końmi”.

Wariat, jak wiadomo, uznaje wszystko, co dzieje się wokół niego, za potwierdzenie jego wariackiej wizji. Tak zachowuje się Komisja Europejska. Jest źle z gospodarką, coraz więcej głosów domaga się głębokiej rewizji polityki klimatycznej, USA wystąpiły z porozumienia paryskiego? Świetnie, wciśnijmy mocniej gaz!

W tym wariactwie jest oczywiście pewna metoda: pani von der Leyen walczy o własną polityczną pozycję. Starając się o wybór na kolejną kadencję, przyznawała, że może trzeba będzie jakieś małe ustępstwa zrobić, ale wszystko, co miała do zaproponowania – włącznie z reklamowanym przez nią „Kompasem konkurencyjności”, czyli pełnym frazesów programem mającym służyć pobudzeniu unijnej gospodarki – wciąż zasadza się na szaleńczej wizji całkowitej dekarbonizacji unijnej gospodarki. Tylko dlaczego obywatela UE mają być zakładnikami jednej goniącej w piątkę Niemki? ©©

Poławiacze perel



FOT. BARTOSZ KRUPA/VEST NEWS



Łukasz Majchrzyk

Największe kluby ściągają do akademii już kilkuletnie dzieci. Wszystko po to, żeby wyprzedzić konkurencję i znaleźć nowego Leo Messiego

O tym, że Messi jest wielkim piłkarzem, nie trzeba nikogo przekonywać. Świadczą o tym zdobyte trofea, rekordy, które po bił, uwielbienie tłumów. Teraz tylko ktoś o wybitnie złej woli mógłby podważać status Argentyńczyka. Zresztą podobnie jest w przypadku Cristiano Ronaldo, Roberta Lewandowskiego, Harry'ego Kane'a albo Viniciusa Jr. Teraz wiemy, że osiągnęli sukces. Ale kto by na nich postawił, gdy mieli 12 lat?

Messi był wtedy drobnutkim chłopczykiem, bardzo dobrze dryblującym, ale do tego nieśmiałym i małomównym. Czy ktoś taki poradzi sobie w akademii La Masia, z dala od rodzinnego domu? A jeszcze trzeba było płacić miesięcznie kilkaset dolarów za leczenie karłowatości przysadkowej. Skauci Barcelony obejrzelili Messiego i zarekomendowali

go. Chłopak był tak dobry, że warto było zaryzykować. Dzisiaj cała sprawa jest już legendarna, a chusteczka, na której dyrektor sportowy Carles Rexach miał zaproponować kontrakt, przeszła do historii jako jedna z najważniejszych chusteczek na świecie.

RYZIKO POPŁACA

Przyszły wielokrotny zdobywca Złotej Piłki trafił do Barcelony w wieku 14 lat. Wcześniej nikt nie zauważył jego olbrzymiego potencjału albo nie chciał ryzykować inwestowania w chłopaka, który ma poważne problemy ze zdrowiem.

Barcelona zaryzykowała i wygrała w tym przypadku los na loterii, znalazła piłkarskiego geniusza, który nie kosztował wiele, a przyniósł trofea i miliony dolarów. I na tym to właśnie polega. Skauci największych akademii przeczesują Europę, a często i inne kontynenty w poszukiwaniu piłkarskich talentów. Żadne boisko nie jest za małe, żeby się na nie wybrać. Jeśli tylko czas i możliwości finansowe pozwolą, to trzeba obejrzeć każdego.

Polacy też są na radarach i trafiają do największych europejskich akademii, czasami są to dzieci emigrantów, a czasami talenty wyłowione na polskich boiskach. W La Masii trenują Kamil i Kacper Żukowie, którzy uchodzą za ogromne talenty. Kilka miesięcy temu do akademii Manchesteru City trafił z kolei dziewię-

cioletni Jakub Borowski, którego rodzice wyemigrowali na Wyspy Brytyjskie. To prawdziwy wyścig z czasem o to, kto pierwszy znajdzie talent, przekona go do siebie i podpisze kontrakt.

Obserwowani są już pięciolatkowie, bo przecież można zauważyć w nich potencjał, choćby koordynację ruchową czy szybkość. Dla sześciolatków są już np. w Anglii regularne rozgrywki, tzw. ligi niedzielne, na których pojawiają się tabuny skautów największych klubów. Patrzą, notują, piszą raporty, podpytują trenerów i rodziców. Tak właśnie wyłowiony został Jakub Borowski, który najpierw błyszczał w tych rozgrywkach. Potem trafił do Sheffield United, Leicester City, Nottingham Forest i Derby County, bo w Anglii do ósmego roku życia dzieci mogą grać w kilku drużynach jednocześnie, zanim wybiorą, gdzie im się najbardziej podoba.

Bardzo podobnie jest w Polsce. Tutaj też skauci największych klubów starają się przeczesywać kraj jak długi i szeroki. Nie ma sojuszków ani przyjaźni, jest rywalizacja o talenty, bo trafienie w dziesiątkę może oznaczać w przyszłości wielkie pieniądze dla klubu.

– Im mocniej turniej będzie obsadzony, tym więcej skautów się na nim pojawi. Zdarza się, że przyjeżdża ich siedmiu, ośmiu czy dziewięciu. Obserwują dzieci i najczęściej rozmawiają z trenerami mniejszych klubów, a potem zapraszają na

treningi do tych największych akademii. Często zdarza się też, że najmocniejsze kluby nawzajem podbierają sobie chłopców. Bywa tak, że ktoś z Lecha idzie do Legii albo odbywa podróż w odwrotnym kierunku. Jeśli ktoś trenuje w ekstraklasowym klubie, to nie znaczy, że zostanie tam na stałe. Nieraz po trzech, czterech skautów obserwuje jednego chłopaka i potem odbywa się licytacja, kto zaofertuje lepsze warunki rozwoju – mówi „Do Rzeczy” Wojciech Brenk, właściciel firmy SBG, organizującej turnieje m.in. w Jarocinie i Ustroniu Morskim. I dodaje: – Wielu skautów przyjeżdża też na turnieje, gdzie grają małe kluby, szukając talentów, których wcześniej nikt nie zauważył.

DALEKA DROGA

W małych klubach często chłopcy z kilku roczników grają w jednej drużynie. Mali i chudzi muszą się zderzać z większymi i silniejszymi albo tak dryblować, żeby ominąć „zagrożenie”. Jeśli radzą sobie w takim środowisku, to znak, że mają w sobie potencjał i warto dać im szansę.

– Jeśli chodzi o chłopców w wieku 12–13 lat, to mamy dokładnie przeczesaną Wielkopolskę i okolice. W Jarocinie i Licheniu odbywają się wspaniałe turnieje. Przyjeżdżają Arka, Wisła, Cracovia. Można obserwować poziom tych chłopców, proponować, żeby się przenieśli do nas, a mamy się czym pochwalić, bo we Wronkach działa wspaniała akademia. Dobrym przykładem jest Antoni Kozubal, który zaczął do nas przyjeżdżać na treningi w wieku 10 lat. Utrzymywaliśmy z nim kontakt, bo na stałe mógł się przenieść dopiero trzy lata później. To chłopiec urodzony w Krośnie, a Lech ma fanów w całej Polsce: na Podkarpaciu, w województwach pomorskim i zachodniopomorskim – mówi „Do Rzeczy” Tadeusz Jaros, skaut Lecha Poznań.

Jeden z największych polskich klubów, który regularnie wychowuje i sprzedaje świetnych piłkarzy za duże pieniądze (Jakub Moder, Jakub Kamiński, Robert Gumny, Dawid Kownacki, Tymoteusz Puchacz), ma pięciu skautów, ale korzysta też (tak jak inne wielkopolskie kluby) ze struktur Wojewódzkiego Związku Piłki Nożnej. Tamci trenerzy zaglądają „pod każdy kamień”, do najmniejszych wiosek, żeby znaleźć chłopców do kadry woj-

wódzkich – to gotowe okno wystawowe dla większych akademii. A kiedy odezwie się Lech czy Warta, wielu rodziców już widzi swoje dziecko w świetle reflektorów na największych stadionach świata. Do tego jednak jest daleka droga.

Borowski, który wyróżniał się wśród rówieśników, ostatecznie trafił do jednego z największych klubów na świecie, bo – jak przyznał jego ojciec – chłopak od małego był zakochany w błękitnych koszulkach i kiedy usłyszał, że ma szansę dostać się do City, nie chciał słyszeć o żadnej innej opcji (sam tato zastanawiał się, czy nie lepsza byłaby mniejsza akademia). Do wyobraźni przemawiają jednak magia miejsca, możliwość bycia częścią tego samego klubu, co chociażby trener Pep Guardiola.

Ważne są wszystkie szczegóły, nawet to, co zostanie w pamięci dziecka, dlatego oprawa podpisania rocznego kontraktu też mogła robić wrażenie, bo na stadionowym ekranie i bandach reklamowych wyświetlono nazwisko Polaka. Chłopiec był później w szatni pierwszego zespołu, zwiedził obiekt i otrzymał koszulkę z autografami pierwszej drużyny. Od małego jest też osławiany z atmosferą Etihad Stadium. Spotyka się ze słynnymi wychowankami, wyprowadza piłkarzy pierwszej drużyny na murawę, w trakcie przerw w meczach rozgrywa z rówieśnikami mecze na zmniejszonym boisku. Wszystko robi się po to, żeby jak najlepiej przygotować go do ewentualnej kariery, choć prawdę powiedziawszy, do tego jeszcze daleka droga, a rywalizacja w akademii takiej jak Manchester City jest ogromna.

To, że dziecko tam trafiło z opinii wielkiego talentu, nie znaczy, że za dwa lub trzy lata dalej będzie grało w tym samym miejscu. Rywalizacja i karuzela nazwisk są w tym przypadku ogromne. Jeśli ktoś nie będzie się rozwijał, to może zostać pożegnany, a na jego miejsce przyjdzie nowy chłopak, którego można odebrać konkurencji. Tym bardziej że potencjalnych gwiazd szuka się po całym świecie. Największe kluby stać na to, by zakładać swoje szkoły na miejscu – tam, gdzie dzieci mieszkają i mogą się rozwijać w swoim środowisku, a jednocześnie marzyć o tym, by kiedyś „zostać wybranym”. Francuski PSG założył swoją szkołę w Rwandzie, FC Barcelona współpracuje z Academie Africa Foot w Mali, Real

Madryt ma swoje Socio Sporting Schools – projekt społeczny, ale przecież można przy okazji obserwować, który z uczniów ma talent do kopania piłki.

W Polsce też pojawiają się skauci zagraniczni. – Mieliliśmy na turnieju skautów ze Sportingu Lizbona – mówi Wojciech Brenk.

Z kolei Legia sama chce iść śladem wytyczonym przez największe kluby i szuka talentów za granicą. Akademia Legii ma skauting zagraniczny i już pierwszych piłkarzy, którzy z innych krajów trafili do Polski. Na początku 2024 r. do ośrodka w podwarszawskich Książenicach z MSK Żylna przeprowadzili się Samuel Sarudi i Samuel Kovacic. Ale to nie był koniec. W Legii trenuje też Athanasios Christopoulos i wychowany w Czarnogórze Kristijan Jovović, który ma polskie korzenie. Można się spodziewać, że to nie są ostatnie ruchy polskiego klubu, chociaż na pewno priorytetem jest wyszukiwanie zdolnych Polaków.

Inną drogą idzie Lech. – Nie sprowadzamy chłopców z zagranicy, liczymy, że w Polsce jest wystarczająco dużo talentów – mówi trener Jaros.

NIE TEN, TO NASTĘPNY

Wydaje się, że piłkarski świat jest przebadany dokładnie i żaden talent się nie prześlizgnie. A jednak cały czas zdarzają się pomyłki i przeoczenia. Kilka lat temu w Anglii głośno dyskutowano o Jamie Vardy, który został skreślony z akademii Sheffield Wednesday, a do zawodowego futbolu przedzierał się przez amatorskie kluby. W końcu trafił do Leicester City, zdobył mistrzostwo, został królem strzelców i reprezentantem Anglii. Podobnie było w przypadku Antoine’a Griezmana, który kiedyś usłyszał, że będzie za mały, żeby zawodowo grać w piłkę. Nie poddał się i w 2018 r. z reprezentacją Francji został mistrzem świata.

W pogoni za jak najmłodszymi talentami warto pamiętać, że mówienie o 11-latku jako przyszłej gwiazdzie jest trochę jak wróżenie z fusów. Jeśli przepowiednia się spełni, to klub, agent, skauci i sam piłkarz zarobią miliony. Jeśli coś po drodze się nie uda, to będą tylko wzruszenie ramion i poklepanie po plecach. Nikt nie będzie się przejmował, bo trzeba będzie szukać następnych.



SUZUKI SWIFT

Popularny japoński samochód kompaktowy w czwartej już odsłonie jest wyjątkowo lekki, zwinny i potrafi dać sporo frajdy z jazdy. Nie tylko po mieście.

Odmieniony Swift jest napędzany trzycylindrowym silnikiem Dualjet z napędem hybrydowym. Jednostka benzynowa, o pojemności 1,2 litra, współpracuje z hybrydowym napędem SHVS (jest to więc tzw. miękka hybryda). 83 KM mocy w przypadku miejskiego auta o wadze poniżej 1000 kg wystarczają, aby cieszyć się dynamiczną jazdą, choć na zwycięstwo w sprincie spod świateł nie ma wielkich szans (Swift na przyspieszenie od zera do 100 km/h potrzebuje ok. 12 s).

Skrzynia biegów może być manualna, pięciobiegowa lub automatyczna (CVT). Do testów dostaliśmy wersję ze skrzynią automatyczną, która przeważnie działa płynnie, ale zdarzają się jej chwile zawahania. Nowy Swift potrafi być bardzo oszczędny. W zimowym teście średnia spalania z miasta, drogi krajowej i autostrady była zbliżona do 5,5 l/100 km, choć przy spokojnej jeździe na trasie można zejść nawet w okolice 4 l/100 km.

Swift w dwukolorowej odmianie (niebieski lakier z czarnym dachem) może się podobać, choć wygląd auta z przodu może budzić mieszane uczucia. Wnętrze jest zaskakująco przestronne jak na tak niewielkie auto (ma 386 cm długości). Czwo-

dorosłych może się nim wybrać nawet w dłuższą podróż. W standardzie dostajemy system multimedialny z dziewięciocalowym ekranem i przydatną funkcją bezprzewodowego połączenia ze smartfonem za pomocą Android Auto lub Apple CarPlay. We wszystkich wersjach wyposażenia są już też tylne czujniki parkowania oraz kamera cofania (choć jakość obrazu mogłaby być lepsza). Razić mogą jednak dominujące w kabinie twarde plastiki (w tej klasie to jednak częsta wada), kiepskie wyciszenie kabiny (przy prędkości powyżej 100 km/h, a także po mocnym wciśnięciu pedału gazu we wnętrzu robi się zbyt głośno) oraz mały bagażnik (265 l z opcją powiększenia do 589 l po złożeniu tylnej kanapy).

Swift w nowej odsłonie jest też wyposażony w liczne systemy zwiększające bezpieczeństwo: zapobiegające kolizji i niezamierzonej zmianie pasa ruchu, monitorujące martwe pola lusterk i ostrzegające o ruchu poprzecznym z tyłu pojazdu (wyjątkowo przydatne podczas cofania w miejskiej dżungli). Na pokładzie są też automatyczne światła drogowe.

Ceny nowego Suzuki Swift z manualną skrzynią zaczynają się od 80,9 tys. zł. Japońskie auto może się więc przyczynić do zmniejszenia inwazji tanich pojazdów z Chin. Swift to bowiem nieprzekombinowane, dobrze wyposażone auto ze stajni japońskiej marki o niezłej wartości rezydualnej. Za najtańszą wersję tego modelu z automatyczną skrzynią biegów trzeba zapłacić 93,9 tys. zł (wersja Premium Plus). Za najbogatszy wariant cena na fakturze wyniesie zaś 97,9 tys. zł.

FOT. JAP

SMARTWATCH HAMA FIT 7010

Bardzo dobry stosunek ceny do jakości i możliwości, niewielka waga, czytelny dotykowy ekran AMOLED, wbudowany moduł GPS oraz wodoodporność – to największe zalety taniego smartwatcha niemieckiej firmy Hama za mniej niż 300 zł.

Wzornictwo jest typowo sportowe. Ciemna koperta (54 x 46 x 12 mm) sprawia dobre wrażenie. Podobnie jak czytelny i dość jasny dotykowy wyświetlacz AMOLED o wielkości 1,43 cala (z możliwością personalizowania tarcz). Silikonowy pasek sprawia jednak, że trudno byłoby założyć ten model smartwatcha do garnituru. Do dżinsów i koszuli, a już na pewno do dresów na siłownię czy stroju do joggingu ten model będzie pasował znakomicie. Na pochwałę zasługuje również wodoodporność (IP68/3 ATM), dzięki której zegarek można wziąć na kajak, łódkę czy trening w basenie.

Urządzenie uzbrojone jest w pulsometr, pulsoksymetr (do pomiaru natlenienia krwi), kompas czy krokomierz. Smartwatch obsługuje również funkcje monitorujące VO2max i aż 110 różnych dyscyplin (od chodzenia, biegania i jazdy rowerem, poprzez boks, jogę i taniec, do szermierki i krykieta). Smartwatch zlicza również spalane kalorie. Plusem

w tej kategorii cenowej jest też wbudowany moduł GPS, który w miarę sprawnie ustala pozycję użytkownika i nie traci sygnału podczas treningów.

Testowany zegarek ma bardzo przejrzysty interfejs. Można go też błyskawicznie sparować ze smartfonem. Dane zbierane są w bezpłatnej aplikacji HAMA Fit Move. W niej można nie tylko poznać podsumowanie sportowych aktywności, lecz także dowiedzieć się o czasie trwania i jakości snu. Są tu również opcje śledzenia poziomu stresu (który można obniżyć za pomocą ćwiczeń oddechowych) czy monitorowania cyklu menstruacyjnego.

Zegarek umożliwia również odbieranie połączeń i prowadzenie rozmów, odczytywanie powiadomień (SMS-ów, e-maili czy informacji na WhatsAppie) oraz sterowanie aparatem fotograficznym i muzyką. Do dyspozycji są też latarka, kalkulator, kalendarz oraz informacje o pogodzie. Przydatnym dodatkiem jest też możliwość pomiaru głośności otoczenia. Bateria ma 300 mAh pojemności. Smartwatch działa ze smartfonami zarówno z systemem Android, jak i iOS.

Minusy? Brakuje automatycznej regulacji jasności. Ładowanie mogłoby być wygodniejsze. Poprawę wymaga też tłumaczenie na język polski. Szukając taniego, funkcjonalnego smartwatcha, można jednak przymknąć oko na te niedoskonałości. Cena: 239 zł.





JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zwycięstwo bez wojny

W Sztumskiej Wsi na Pomorzu, położonej na południowy zachód od Sztumu, obok kościoła Podwyższenia Krzyża Świętego, znajduje się głąz upamiętniający podpisanie w tym miejscu rozejmu polsko-szwedzkiego 12 września 1635 r. Było to zakończenie trwającego od dziewięciu lat konfliktu o ujście Wisły i Prusy, które zostały w 1626 r. najechane przez króla Szwecji Gustawa Adolfa, a jednocześnie był to kolejny epizod w konflikcie dwóch linii dynastii Wazów. Polskiej, w osobie króla Władysława IV, i szwedzkiej – reprezentowanej przez wspomnianego Gustawa i jego jedyną córkę, królową Krystynę. Poprzednia faza konfliktu zakończyła się porażką Rzeczypospolitej, która straciła Inflanty aż do Dźwiny,

a dodatkowo Szwedzi przejęli kontrolę nad Tolkmickiem, Elblągiem, Braniewem, Piławą i Kłajpedą w Prusach.

Zyskali też prawo pobierania cła w Gdańsku, dzięki któremu król

Gustaw Adolf mógł sfinansować silną armię i dzięki temu najechać później Rzeszę Niemiecką w czasie wojny trzydziestoletniej.

Teraz jednak Rzeczypospolita zyskała szansę odzyskania straconych ziem; Gustaw Adolf już nie żył, upływał także termin poprzedniego rozejmu w Altmarku, czyli Starym Targu. Król Władysław IV Waza, zwycięzca spod Smoleńska, zgromadził do walki ze Szwedami silną armię; tylko od rezultatów rozmów prowadzonych w Sztumskiej Wsi, zwanej po niemiecku Stuhmsdorf, zależec miało, czy dojdzie do nowej wojny czy też zawarte zostanie



FOT. DOMENA PUBLICZNA

porozumienie bez rozlewu krwi. Negocjacje, w których ze strony polskiej uczestniczyli: kanclerz Jakub Zadzik, Ernest Denhoff, Jakub Sobieski, Krzysztof Radziwiłł i Rafał Leszczyński, przebiegały w napiętej atmosferze. Toczyły się od maja, a kilkakrotnie omal nie doszło do bitwy pomiędzy Polakami i Szwedami. Brała w nich udział także delegacja francuska, a jeden z jej uczestników, Charles Ogier, pozostawił nam niezwykle dziwny podróży do Polski, w którym opisał przebieg rozmów.

Ostatecznie 12 września podpisano nowy rozejm, który obowiązywać miał aż przez 26 lat. W Inflantach Szwedzi zatrzymywali tereny na północ od Dźwiny, natomiast Rzeczypospolita: Kurlandię, Semigalię, Piltyń i część Inflant zwanych Inflantami Polskimi. Natomiast w Prusach zmieniał się układ sił. Szwedzi wycofywali garnizony i oddawali wspomniane wyżej cztery miasta. Dodatkowo zapewniali Litwie swobodę handlu przez Dźwinę i leżącą u jej ujścia Rygę. Jednym z ważniejszych postanowień była rezygnacja z pobierania cła w Gdańsku. Obie strony ustaliły jednak, że nie zostanie ono zlikwidowane, gdyż jego pobieranie przejmie teraz król Władysław IV. W późniejszych latach stało się to zresztą powodem zatargu Rzeczypospolitej z Gdańskiem. Król miał bowiem pobierać cło przez dwa lata, co miało zrekomensować mu wydatki na powołaną w Prusach

armię, jednak zrezygnował z tego po konfliktach z Gdańskiem, który okupił się znaczną sumą pieniędzy. Kiedy później władca niespodziewanie powrócił do dawnego pomysłu i usiłował przy pomocy własnych okrętów pobierać cło w Gdańsku i Piławie, gdańszczanie zbuntowali się i uzyskali pomoc Duńczyków, którzy przysłali własną załogę i zdobyli dwa okręty królewskie, pozostałe zaś zmusili do ucieczki.

Rozejm w Sztumskiej Wsi do dziś oceniany jest bardzo różnie. Z jednej strony Rzeczypospolita odzyskała kontrolę nad Prusami bez rozlewu krwi i konieczności prowadzenia długotrwałych oblężeń, z drugiej strony nie odzyskano Inflant, a król nie był w stanie narzucić Gdańskowi cła, z których Szwedzi uzyskiwali co roku nawet dwa miliony złotych polskich dochodu. Największym przegranym układem był Władysław IV, który zobowiązał się, że do końca obowiązywania rozejmu nie będzie zgłaszał pretensji do korony szwedzkiej, której został pozbawiony jego ojciec Zygmunt III Waza. Co więcej, stworzona przez króla i zgromadzona w Prusach armia musiała zostać w znacznej części rozpuszczona z powodu braku środków. Władysław został zatem pozbawiony kolejnej szansy na koronę – wszak był on wcześniej uznawany za cara Moskwy, z którego tytułu zrezygnował w zawartym rok wcześniej traktacie w Polanowie. Teraz pozbawiono go widoków na koronę szwedzką.

Rozejm w Sztumskiej Wsi zapewnił jednak Rzeczypospolitej 20 lat pokoju na bałtyckim teatrze operacyjnym. Został zerwany w lipcu 1655 r., kiedy Karol X Gustaw najechał Wielkopolskę z wojskiem szwedzkim, rozpoczynając potop. ©



PKS OBA



ANNA POPEK Z D. CHRUZIŁ
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIŁ

SIOSTRY GOTUJĄ

Na zdrowie, panowie!

Jeśli brakuje nam pomysłu na zdrowe śniadanie czy obiad, to proponujemy dwa w jednym. Pożywny, bardzo zdrowy i bezmięśny pasztet z pestek dyni, dobry i do kanapek, i na ciepło – jako danie obiadowe. Pożywny, lecz nie ciężki. Syty, lecz nie ciężkowstrawny. No i bardzo, bardzo zdrowy, zwłaszcza dla mężczyzn. Pestki dyni bogate są w witaminę E, C, tiaminę, kwas foliowy, B6, A i K. Zawierają także cynk, wapń, żelazo, magnez, fosfor i potas. Proszę jednak nie przesadzać – mają sporo kalorii.

Dlaczego pestki dyni są dobre dla mężczyzn? Otóż witamina E ma korzystny wpływ na płodność oraz na produkcję i jakość plemników. Cynk poprawia sprawność seksualną mężczyzn i pomaga w dolegliwościach prostaty. Jest on bardzo ważny w diecie mężczyzn, dlatego bardzo zachęcamy do tego, byście, panowie, przegryzali sobie pestki dyni w ciągu dnia. A my, drogie panie, przygotowujmy swoim panom sałatki z pestkami dyni – najlepiej wcześniej namoczonymi w wodzie. W zasadzie każda sałata posypana nimi zyskuje na smaku. Albo wręcz upieczmy pasztet z pestek dyni! Dla tych, którzy nie jedzą mięsa, to danie wręcz obowiązkowe! Poza tym, co równie ważne, olej z pestek dyni i same pestki mają działanie antypasożytnicze. Należy zatem włączyć je do naszej codziennej diety.

Jak zrobić pasztet? Ten zarys przepisu podał nam nasz zdrowo wyglądający kolega – wegetarianin od 16 lat.

Pasztet z pestek dyni

Składniki:

- 2 szklanki namoczonych uprzednio pestek dyni
- 1 szklanka niepalonej kaszy gryczanej lub 2 grahamki namoczone w mleku albo bulionie
- 2 cebule cukrowe
- 2 ząbki czosnku
- 1 jajko
- masło do smażenia
- bulion warzywny do ewentualnego rozcieńczenia masy
- przyprawy

Namoczyć pestki dyni na kilka godzin. Zmilić pestki w maszynce do mięsa, dodać zmielone w młynku do kawy lub blenderze siemę lniane. Ugotować szklankę niepalonej kaszy gryczanej.

Cebule cukrowe podsmażyć na masełku na złoty kolor, pod koniec dodać czosnek. Kto lubi – może podsmażyć także czerwoną paprykę.

Do masy dodać jedno jajko, szklankę bulionu warzywnego (może być z kostki), estragon, cząber, paprykę suszoną wędzoną. Zmiksować wszystko w blenderze, piec w 180 st. C przez godzinę. ☺☺



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Vera podrasowana

Angielski serial „Vera” oglądam nałogowo, choć samotnie; mąż uważa, że nuda. To kryminał bez krwawych rozwałek, bez wulgaryzmów, bez wyścigów samochodowych, wolny też od udręczonych psychicznie bohaterów skandynawskich. To kontynuacja szlachetnej linii brytyjskich przodków z ojcem założycielem Sherlockiem Holmesem na czele, a za nim z Agathą Christie i wieloma innymi.

Tytułowa Vera, czyli nadszpektor Vera Stanhope (dośkonała Brenda Blethyn), to samotna pani po pięćdziesiątce, po przejściach (których nigdy się nie ujawnia), przenikliwa, bystra i skuteczna, choć dla otoczenia momentami nieznoszona.

Scenerią serialu, którego produkcję – 56 odcinków w 14 seriach – zakończono w roku 2024 po kilkunastu latach, jest hrabstwo Northumberland. Z jego uroków twórcy filmu dużo korzystają: wzgórze, mosty, wioski z żywopłotami. Wiadomo, że brzydkie rzeczy – przemysł, śmieci, rudery operatorzy – z kadru wycinają.

Intryga Very jest cokolwiek schematyczna, co zarzuca się serialowi. Ale mnie w nim interesuje nie tyle, kto zabił, ile realistyczny obraz głębokiej Wielkiej Brytanii, na której poznanie turysta nie ma szans. Zwyczajni ludzie, urzędnicy, robotnicy, małe przedsiębiorstwa, warsztaty, konflikty rodzinne, skromne mieszkania.

Z Verą i jej zespołem docieramy tam, gdzie byśmy sami nie dotarli. Tartak, warsztat szkutniczy, prowincjonalny pub, garbarnia.

Ale tym, co uderza, zwłaszcza w najpóźniejszych odcinkach, jest lawinowo wzrastająca w obsadzie liczba aktorów czarnoskórych. We wcześniejszych odcinkach – tych sprzed roku 2020 – Afro-brytyjczyk pojawiał się rzadko; im później, tym ich więcej. I na ogół – co istotne – są to postacie zajmujące wysoką pozycję w hierarchii społecznej: szefowie, przemysłowcy, biznesmeni. To naturalnie pokłosie wokeizmu, który „odkłamywał” rzeczywistość i historię, umieszczając imigrantów w rolach, w których nigdy się nie znajdowali, ale w których apostołowie egalitaryzmu chcieliby ich widzieć. Mój kuzyn, Brytyjczyk od urodzenia, zapytany, czy istotnie tak dużo ciemnoskórych pełni wysokie funkcje, rozeźmił się tylko w odpowiedzi. Przy czym – mówiąc Afro-brytyjczyki – nie mam na myśli Hindusów, społeczności od dawna zasymilowanej w Wielkiej Brytanii. Przykład premiera Rishiego Sunaka jest aż nadto wymowny.

Z przykrością zauważyłam, że Europa Wschodnia nie cieszy się respektem twórców „Very”. Jeśli się tam pojawiamy, to w roli sprzątaczk, narkomana, pomocy domowej. Wyższe miejsca zajęli przybysze z Afryki. Wiadomo: inżynierowie, lekarze. ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Przedszkolaki
z bantustanu

Filmik jest wstrząsający. Widać na nim całą dzisiejszą Polskę w obrazowym skrócie. To nagranie z telefonu któregoś z rodziców. Dzieci ubrane odświętnie śpiewają nieskładnie, ale z zaangażowaniem „Mazurek Dąbrowskiego”. Ale stoją... w korytarzu. Słychać też, że śpiewają gdzieś dorośli. Kamera telefonu przesuwa się za tym dźwiękiem i widzimy, że jest też sala główna, w której stoi śmietanka uśmiechniętej Polki i z wielką radością śpiewa hymn Polski. Dla dzieci – bohaterów tej uroczystości – zabrakło miejsca. To epickie przejście, godne dobrego reżysera; są i suspens, i nagła zmiana kontekstu na kompletnie nieoczekiwany. Ale ten scenariusz napisało życie.

Tak, to przekaz z otwarcia jakiegoś przedszkola, nagrany bez słowa komentara, ale jest on niepotrzebny. Bo widać to wszystko. Bohaterowie tego zdarzenia stoją w korytarzach, w sali głównej zaś elita polityczna kraju grzeje się w świetle kamer. Z radością i entuzjazmem ślepca, który nie widzi tej potężnej niezręczności, bo liczą się blichtr, pokazucha – gdy otwieramy dzieciom jakieś przedszkole, to ślemy dzieci do piwnicy, byleby było widać, że to my przyklejamy się do tej – przecież dla dzieci realnie ważnej – uroczystości. Po to tylko, by pozbierać punkty w grze o popularność.

I te dzieciaki, ściśnięte w korytarzyku, choć to przecież na ich cześć to wszystko. Jeszcze nieświadome hańbiącej sytuacji, w której się znalazły, ale na dobrej drodze: jeśli spotka je – a spotka – kilka takich przygód, to wkrótce dołączą przedwcześnie do zgorzkniałego grona Polaków spod sztandaru „Bo tutaj jest, jak jest”.

Szokuje też poziom przypinania się oficjeli do uroczystości otwarć. Kiedy w Chinach oddaje się bez sensacji setki kilometrów autostrad miesięcznie, my urządzamy medialne transmisje z otwarcia... przejść dla pieszych. Wokół któregoś z włodarzy stoi wtedy wianuszek jego urzędników. Nie wiem – symbolizujących mieszkańców, a może szacowne grono, które doprowadziło do tego wiekopomnego skoku cywilizacyjnego, którym może być instalacja dwóch pasów i trzech świateł?

Karujemy. Bo inaczej być nie może. Nasze aspiracje też idą w dół, skoro pociągają je tam nasi przedstawiciele, pośrednicy pomiędzy wolą ludu a jej realizacją. Pal licha, że tu nie ma większego przełożenia – ot, daje się jakieś ochłapy w nadziei na popularkę. Ale to, że przy wręczaniu tych ochłapów robi się hucpę, gdzie obdarowani schodzą na plan dalszy, dowodzi już poziomu bantustanu. Ot, przyjechali biali i mają parę paciorków dla pomijalnych tubylców. Skóra cierpnie... ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Dom cudów

Wczasach, gdy w Polsce spada liczba uczestniczących w niedzielnych nabożeństwach, gdy pustoszeją seminaria, a do furt klasztornych puka coraz mniej młodych, gdy każdego roku liczna grupa duchownych porzuca kapłaństwo, jest takie miejsce, gdzie kilku młodych mężczyzn postanowiło powołać nową wspólnotę – Braci Miłosiernego Pana. Po kilku latach w tym samym miejscu zjawiały się cztery panie, które ich śladem powołują wspólnotę Sióstr Miłosiernego Pana. Okres próby trwa dość długo, a chętnych przybywa, więc wszystko wskazuje na to, że decyzję młodych ludzi należy traktować bardzo poważnie.

Ekspertom od duchowości zostawiam analizę tego fenomenu z perspektywy nadprzyrodzonej, natomiast tym, co przyciąga tych ludzi w planie ludzkim, jest Dom Miłosierdzia Bożego. Kilka-nastu lat temu w Koszalinie z inicjatywy młodego charyzmatycznego rekolekcjonisty, ks. Radka Siwińskiego, z błogosławieństwem biskupa powstało świeckie stowarzyszenie, które za uzyskany kredyt kupiło potężny, stary budynek szpitalny. W tym miejscu zaczęło powstawać centrum modlitwne ewangelizacyjne i charytatywne. Istotna jest kolejność, ponieważ tak wyglądały priorytety księdza i jego przyjaciół. W pierwszym wyremontowanym pomieszczeniu powstała kaplica adoracji. Z czasem

dom zaludniali podopieczni, bezdomni, byli więźniowie niemający dokąd wracać, uzależnieni walczący o trzeźwość. Wspólnota i dzieła wokół niej się rozrastały i dziś, po 15 latach, Dom Miłosierdzia to tak naprawdę cztery domy (w tym trzy usytuowane w wioskach), w których żyje ok. 170 podopiecznych.

Obok Domu powstała jadłodajnia dla ubogich, która w gigantycznym namiocie wydaje ok. 400 ciepłych obiadów dzienne. Są też kawiarnia i prężnie funkcjonująca piekarnia. To także liczne inicjatywy ewangelizacyjne, w tym rekolekcje. Gdy pytam o biznesplan, ks. Radek z uśmiechem odpowiada: – To nieustające pasmo cudów. „Wsad do kotła” pomaga częściowo organizować miejscowy Caritas, ale nigdy nie wzięliśmy żadnych pieniędzy publicznych. Nic od samorządu, nie piszemy wniosków, nie dostajemy grosza z funduszy unijnych, nie bierzemy też nic z kurii. Dziś na biurku mam faktury na 150 tys. i ufam – a właściwie wiem – że żarliwa modlitwa przed Najświętszym Sakramentem i zawierzenie Panu Bogu sprawią, iż pojawią się pieniądze.

Wokół domu utworzyły się społeczności darczyńców, wolontariuszy, mecenasów, lekarzy, prawników, no i właśnie wspólnoty, które chcą stać się zgromadzeniami. – To prawdziwe dzieło Miłosierdnego Pana. On o to wszystko dba. Na Nim opieramy to dzieło – mówi s. Łucja. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Się beneficjenci cieszą?

Tuskowi się zarzuca, chyba nazbyt lekko, że jest patologicznym kłamcą, a z prawdą mijają ma się zawsze, kiedy otwiera usta (nie dotyczy konsumpcji). Tymczasem okazuje się, że być może wcale nie jest jednak permanentnym prawdomijaczem, tylko my niewłaściwie interpretujemy jego słowa. Stop. Kiedy Tusk powiedział, że „Polska będzie beneficjentem paktu migracyjnego”, wyobrażaliśmy sobie, że nie zaleje nas niekontrolowany strumień inżynierów i lekarzy z Afryki. Stop. Kanclerz Niemiec Scholz poinformował jednak, że nakazał Tuskowi przyjęcie do Polski bliżej nieokreślonej liczby tego dobra, które wylewa się wprost z niemieckich ulic, najczęściej na samotne dziewczynki i kobiety. Stop. Więc słowa Tuska mogą oznaczać, że dostaniemy w prezencie od Scholza najwięcej osób, które jeszcze 10 lat temu nazywano Murzynami, a teraz już tak nie można. Stop. Jak tam beneficjenci – cieszyć się?

Kandydatów na osobę prezydencką Rafał Czapkowski (o przepraszam, przejęczyłem się) bardzo dbał, żeby w Warszawie, w urzędzie, w którym pracuje (z tym „pracuje” to trochę przesadziłem) i w którym zdarza się, że bywa, odpowiednio zwracać się do stołecznych osobopostaci petenckich – w sensie, żeby one same mogły wybrać sobie płcie, a tych płci był legion. Stop. Po dojściu Trumpa do władzy i zapewne po ba-

daniach w sprawie nastrojów społecznych ten sam Rafał wypalił jednak, że płcie są jednak tylko dwie. Stop. Utwierdza nas to w przekonaniu, że Trzaskowski, znany też jako Człowiek Guma, powinien zaczynać każde swoje przemówienie w następujący sposób: „Powiedźcie mi, kochani, jakie ja mam dziś poglądy?”. Stop.

Jest nowa, a w zasadzie najnowsza jakość w polskim prawie. Stop. Minister sprawiedliwości i prokurator generalny Adam Bodnar zawiesił swojego zastępcę, prokuratora generalnego Michała Ostrowskiego, gdyż ten prowadził śledztwo w sprawie zamachu stanu, w którym to Bodnar był podejrzewany i mogło grozić mu nawet dożywocie. Stop. Ta Bodnarowa nowinka, w której podejrzewany zawiesza prokuratora prowadzącego śledztwo, które może doprowadzić podejrzewanego do więzienia, spotkała się z wielkim aplauzem wszelkiej maści bandziołów, a z zakładów karnych, jak kraj długi i szeroki, słychać było okrzyki: „Brawo, Adam, chcemy być jak Ty!”. Stop.

Po 14 miesiącach rządów, mając w rządzie 120 osób, Tusk poprosił przedsiębiorcę Brzoskę, żeby mu prawo pozmieniał, żeby było lepsze dla przedsiębiorców. Stop. Spokojnie, takie jawne przyznawanie się do kompletnej ignorancji i outsorsowanie tworzenia prawa to tylko element gry pod publiczność, że niby się wsluchują w głosy. Stop. Spokojnie, nic z tego nie będzie, ale było zabawnie. ©©

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Jaki znowu Madagaskar?

Niezwykle przemiany przechodzi ostatnio polska pamięć historyczna. Do niedawna mogła ona uchodzić za niezwykle wrażliwą. Nad tym, by „nie zarastała błoną podłości”, czuwały setki historyków, aktywistów i moralizujących publicystów, których ulubionym zadaniem było doszukiwanie się w wydarzeniach współczesnych złowrogich historycznych analogii.

Wystarczyło nieudolne graffiti, nagryzmolone w pobliżu trasy Marszu Niepodległości, by znakomicie wykształceni, a zarazem wrażliwi niczym mimoz tropiciele „polskiego faszyzmu” doszukiwali się w nim spuścizny ONR-owskich bojówek. W chuligańskim wybryku warszawskiego 16-latkę, który rzucił miał butelką w ścianę synagogi, natychmiast dostrzeżono echo niemieckiej Kristallnacht. Każdy podobny incydent wywoływał na intelektualnych salonach fale uzasadnionego oburzenia, porównywano do zbrodni dokonywanych podczas wojny przez Niemców lub Sowietów.

Po wybuchu wojny na Ukrainie tendencja ta przybrała jeszcze na sile. Założone przy Instytucie Pileckiego Centrum Dokumentowania Zbrodni Rosyjskich na Ukrainie im. Rafała Lemkina alarmować też miało świat cały, jak bardzo przypominają one zbrodnie sowieckie. Wojenne przesiedlenia porównywano więc do masowych stalinowskich wywózek całych

narodów na Sybir, akty przemocy wobec kobiet do setek tysięcy zbiorowych gwałtów, popełnianych przez krasnoarmiejców na terytoriach Polski i Niemiec. Budowaniem tych analogii zajmowali się utytułowani uczeni na licznych, poświęconych temu konferencjach.

Jak w tej sytuacji wyjaśnić, że płynące zza oceanu zapowiedzi masowej deportacji milionów mieszkańców Strefy Gazy do odległych, zamorskich krajów przeszły wśród naszych „zawodowych moralistów” właściwie bez echa? Czy zapakowanie całej ludności Gazy, mężczyzn, kobiet i dzieci, na statki, a następnie wysłanie ich, jak planuje Donald Trump, do egzotycznego Somalilandu, Puntlandu, a choćby i Maroka, nie może się nikomu skojarzyć z dyskutowanym w latach 30., a dotyczącym Żydów „projektem Madagaskar”?

Naszym akademickim nadwrażliwcom podobne analogie przez głowę nie przechodzą, a jeśli tak, to nie dają im wyrazu. Nikomu też nie kojarzą się zamiary Donalda Trumpa z sowiecką wywózką całych narodów – Czechenów i Ingusów – w odległe kazachskie stepy. Erudycja polskich badaczy totalitarnych zbrodni niespodziewanie poszła spać. Czyżby zmęczyły ją niedawne intensywne występy? Nie obudzą jej niestety tym razem hojne stypendia, granty i wszelkie możliwe frukty łączące się z przychylnością wpływowej ambasady i funduszami USAID. ©©



WOJCIECH
ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Tysiąc lat

Historia oczywiście się nie powtarza, ale pewne zdarzenia i ich kontekst nasuwają czasem wrażenie, że tak jest. Pod koniec X w. dwa ośrodki władzy w Europie – cesarstwo i papieństwo – przeżywały poważne problemy. W kwestiach duchowych cesarze musieli się liczyć z papieżami, ale w sensie politycznym ci ostatni byli zależni od cesarzy i musieli uzyskiwać zgodę na objęcie władzy w Państwie Kościelnym. Autorytet papieństwa osłabiała nie tylko ta zależność, lecz także fatalne niejednokrotnie prowadzenie papieży, czego przykładem był Jan XII. Koronował on

tylę niezależności, ile wynikało z ograniczonej kontroli cesarzy nad rubieżami imperium. Na rubieżach tych i tak swawolili możnowładcy niemieccy.

W obliczu nadchodzącego roku 1000, do którego przywiązywano symboliczną wagę, młodociany cesarz Otton III zapragnął wciągnąć formalnie w obręb władzy cesarskiej względnie niezależną Polskę oraz Czechy i Węgry. Taki był zamysł gnieźnieńskiego zjazdu z tego roku. Następca Ottona, Henryk II, chciał to zrobić siłą i napotkał opór Bolesława Chrobrego. Przez 16 lat (1002–1018) walczył on z cesarstwem, które – jak napisał ostatnio Andrzej Nowak – „chciało

[1025 – przyp. W.R.], Słowianin Bolesław, książę Polaków, zdobył z krzywdą [...] Konrada insygnia królewskie i tytuł królewski, lecz jego zuchwalstwo przyćmiła nagła śmierć”.

W tamtych czasach chrześcijański uniwersalizm tylko nieznacznie łagodził realia polityki. W kwestii niezależności królestwa liczyła się jego siła. Dzisiejszy, pożał się Boże, uniwersalizm ekologiczno-genderowy nie daje ani trochę więcej podstaw do uległości wobec ambicji stworzenia Unii Europejskiej na wzór Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. W tej sytuacji 1000-lecie koronacji Bolesława Chrobrego nabiera nowego, symbolicznego znaczenia. Czy mamy świętować ten znak niezależności Polski czy pominąć go milczeniem? Czy chcemy roztopić się w masie ludności europejskiej lękającej się globalnego ocieplenia, unijnych regulacji, mas „nachodźców” z obcych cywilizacji, ludności pogrążającej się z dnia na dzień wedle zasady „od każdego wedle możliwości, każdemu wedle potrzeb”? Czy może chcemy pozostać w Polsce sobą i rządzić się po swojemu, co najwyżej czerpiąc z dobrych przykładów wspólnej kultury europejskiej?

Dlaczego więc jedyną instytucją państwa, która upamiętniła rocznicę koronacji Chrobrego, jest Narodowy Bank Polski, który wydał kolekcjonerskie monety i banknoty? Czemu rząd nie organizuje oficjalnych uroczystości? Czyżby uważał, że Unia Europejska uzna je za „zuchwalstwo”, tak jak możnowładcy niemieccy na początku XI w.? ©©

Dzisiejszy, pożał się Boże, uniwersalizm ekologiczno-genderowy nie daje ani trochę więcej podstaw do uległości wobec ambicji stworzenia Unii Europejskiej na wzór Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego

wprawdzie cesarza Ottona I, ale ten zwołał w 963 r. synod, który złożył go z urzędu i powierzył władzę papieską Leonowi VIII. Jan zwołał swój synod, który odwołał Leona, ale sam wkrótce zmarł w kompromitujących okolicznościach. Leon powrócił, ale ani on, ani jego następcy, w tym Jan XIII, za którego Mieszko I przyjął chrzest w 966 r., nie przyniesli większego wzrostu autorytetu papieństwa. Tymczasem po śmierci Ottona I cesarstwo także przeżywało kłopoty dynastyczne i chwiejność władzy opartej na skomplikowanej strukturze księstw i królestw niemieckich. Ochrzczone państwo Mieszka mogło utrzymywać

mu zgąć kark. A on miał kark gruby i twardy, nie chciał – nawet udając – zginać go wobec niemieckiej przewagi”.

Polska Chrobrego ostała się jako byt niezależny. Korona, którą symbolicznie włożył na głowę Chrobrego w 1000 r. cesarz Otton III, należała się Polsce nie tylko symbolicznie, lecz także realnie, jako symbol tej niezależności. Koronę królewską przyjął Chrobry tuż przed śmiercią w 1025 r., prawdopodobnie w kwietniu, przy milczącej zgodzie papieża i cesarza Konrada, który nie mógł temu zapobiec. Niemiecki kronikarz Wipo zapisał: „W tym samym roku, który to wymieniałem już wcześniej

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Amerykańska Agencja do spraw Rozwoju Międzynarodowego udzielająca pomocy finansowej na całym świecie została zamknięta decyzją prezydenta Donalda Trumpa. Dotacje wstrzymano, 9,7 tys. pracowników zawieszono w obowiązkach. Amerykanie dowiedzieli się, na co szły ich pieniądze i są wściekli:

W jakim celu nasze państwo udziela pomocy zagranicznej różnym krajom afrykańskim? W jakim konkretnie celu wysyłamy forsy w miejsca, których przeciętny obywatel nie jest w stanie pokazać na mapie? Czemu forsy zebraną w podatkach wysyłamy na drugi koniec świata, zamiast ją wydać na miejscu lub zostawić ludziom w kieszeni? Jak to poprawia moje życie, że mój kraj wysła miliony dolarów do Etiopii? Czy w zamian za to dostaniemy coś, co poprawi życie naszych obywateli?

Powyższe stwierdzenia to rozmowa, która toczy się teraz w Ameryce, ale można ją w całości przenieść na grunt polski i pasuje: W jakim celu państwo polskie udziela pomocy zagranicznej takim krajom jak: Etiopia, Senegal, Uganda, Kenia, Tanzania, Liban, Jordania i Mjanma? To ostatnie to nie wiem, co to za państwo, ale wszystkie nazwy pobrałem z oficjalnej strony rządowej „gov.pl”. A na co idą pieniądze? Cytuję: „przebudowa i renowacja budynku szkoły podstawowej”, „budowa nowej szkoły, wyposażenie w meble i materiały szkolne”, „budowa, wyposażenie w meble i sprzęt medyczny centrum medycznego”. Każda z tych rzeczy przydałaby się w Polsce, np. na terenach zniszczonych przez



powódź. Dlaczego wysyłamy forsy za granicę? Darmowa pomoc bez zobowiązań – polski podatnik traci, ale Duda lub inny urzędnik ma okazję pojechać do Afryki z wizytą. O to chodzi?

Trump powołał DOGE, czyli Departament Efektywności. To była obietnica wyborcza: Do-wiem się, na co idą wasze pieniądze, i zlikwiduję wszystkie niepotrzebne wydatki. DOGE robi coś w rodzaju audytu wewnętrznego – sprawdza punkt po punkcie wszystkie wydatki administracji federalnej, we wszystkich urzędach i instytucjach. Pytania są proste: Na co idą pieniądze? Czy ten konkretny wydatek jest potrzebny, legalny? Jakże korzyści ma obywatel z wydatkowanych w ten sposób pieniędzy oraz czy przypadkiem nie przepłacamy?

Szefem DOGE został Elon Musk, który wcześniej przeprowadził podobny audyt w firmie Twitter i na początku wywalił całą masę niepotrzebnych pracowników i urzędników. Firma od razu zaczęła działać lepiej. Teraz Musk na prośbę Trumpa dokonuje podobnej akcji na poziomie całego państwa amerykańskiego. Wyniki ma doskonałe. Każdego dnia dowiadujemy się o milionowych oszczędnościach. Co tydzień uratowany miliard – tak było na początku, a tempo wzrasta. Ludzie dowiadują się, jak bardzo marnowano ich pieniądze – np. na eksperymenty ze zmianą płci u psów. Tego jest cała masa. Jednym ze skasowanych przez DOGE wydatków departamentu zdrowia była

wystawa o doktorze Faucim za 100 tys. dol. Na Ceylonie USAID wydał 7,9 mln dol. na przeszkolenie dziennikarzy w zakresie eliminowania „języka binarnego płciowo”. W Iraku 20 mln dol. przeznaczono na produkcję miejscowej wersji „Ulicy Sezamkowej”.

Wkurzeni podatnicy nagrywają wściekłe filmy o tym, na co poszły ich pieniądze, i publikują to pod wspólnym hasłem: ODDAJCIE MI MOJE PODATKI.

Cytat: Chcę wszystko z powrotem. Chcę odzyskać każdego pieprzonego centa, którego zapłaciłem rządowi Stanów Zjednoczonych w ciągu ostatnich 43 lat. Zarządzaliście moimi pieniędzmi na poziomie, który jest niepojęty. Nie tylko moimi, lecz także całymi pieniędzmi Ameryki. Zmarowaliście je. A tymczasem senator z Partii Demokratycznej stoi i mówi: „Och, czym jest 1,2 mln dol.? Czym są 3 mln dol.? To drobiazg w budżecie USA”. Oni mają to gdzieś. A my? My, k...a, nie mamy tego gdzieś! Pieniądze z podatków to aparat ortodontyczny dla naszych dzieci. To jedzenie. To rata za samochód, kiedy mają go zaraz zabrać z podjazdu. Chcemy nasze zmarnowane pieniądze z powrotem – co do centa. I pieprzcie się z tegorocznymi podatkami.

W USA istnieje już instytucja, która miała się zajmować tym, co robi DOGE, Amerykanie mają swój NIK – ponad 3 tys. pracowników i zero efektów. DOGE zatrudnia ok. 20 osób i efekty oglądamy codziennie – miliardy dolarów oszczędności

poprzez skreślanie i likwidację. Niewielka grupa informatyków wybranych przez Muska w internetowym konkursie grzebie w bazach danych. Szukają wszystkiego, co nie ma sensu lub jest nielegalne. Podwójne wydatki na to samo, dwa identyczne programy rządowe w dwóch różnych ministerstwach, wydatki niepotrzebne i ABSURDALNE...

Agencja USAID zajmująca się pomocą międzynarodową poszła do likwidacji cała. Gdy się czyta w cel jej powołania, widać, że pieniądze przekazywane za granicę miały służyć interesom Stanów Zjednoczonych. Jeżeli coś finansujemy, to dlatego, że jest to opłacalne dla amerykańskiego podatnika. Nie finansujemy wrogów ani głupot. Tak miało być. Ale przez dziesięciolecie agencję z ogromnym budżetem przejął deep state, czyli szare eminencje o poglądach sprzecznych z interesem Ameryki. Zaczęli finansować własne cele:

W Polsce finansowali np. lewacką „Krytykę Polityczną”. W Gwatemali 2 mln dol. poszły na programy zmiany płci. Posiłki warte 10 mln dol. sfinansowane przez USAID trafiły do grupy terrorystycznej powiązanej z Al-Kaidą. W jaki sposób takie wydatki realizują interes Ameryki?

Demokraci zostali złapani z ręką w słoiku z ciastkami. Deep state protestuje, ale ma małe szanse przekonać kogośkolwiek. Przeciwny audytom w urzędach może być tylko ktoś uwikłany w korupcję i kra-dzież pieniędzy podatników lub marnotrawstwo. Trump zabrał się za nich bardzo skutecznie – odcina im finansowanie, a jednocześnie wszystko odbywa się jawnie i na żywo, na oczach narodu. ©

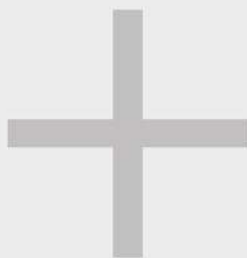
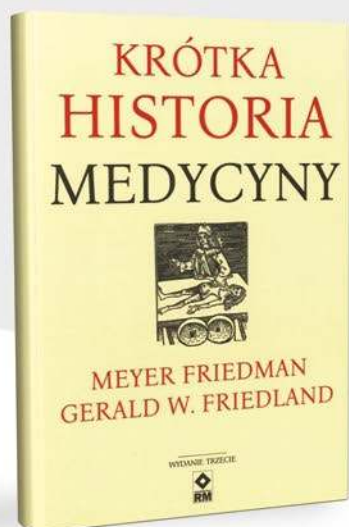
Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MEYER FRIEDMAN, GERALD W. FRIEDLAND:
„KRÓTKA HISTORIA MEDYCYNY”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~750~~ ZŁ

291,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

epresa.pl ec240cfdc



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Złoto Polaków 450 ton złota

dla bezpieczeństwa polskich rodzin



100
ton złota

450
ton złota

2016

Wzrost rezerw złota w trakcie kadencji prof. Adama Glapińskiego

2025

Polska z 450 tonami złota w rezerwach NBP znajduje się w światowej czołówce największych posiadaczy złota wśród banków centralnych, wyprzedzając m.in. Wielką Brytanię, Hiszpanię oraz Austrię i zbliża się do Europejskiego Banku Centralnego.